

MAGDALENA MAJCHER

Rodzinna tajemnica
Powstańcza miłość
Relacje, które warto naprawić

W CIENIU
TAMTYCH
DNI Pascal

MAGDALENA
MAJCHER

W CIENIU
TAMTYCH
DNI

Pascal

Autor: Magdalena Majcher
Redakcja: Magdalena Binkowska
Korekta: Zuzanna Wierus
Projekt graficzny okładki: Katarzyna Borkowska
Skład: IMK
Zdjęcia na okładce: Richard Tuschman/Trevillion Images, marekusz/Shutterstock

Redaktor prowadząca: Agnieszka Górecka
Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

© Copyright by Magdalena Majcher
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Pascal

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2018
Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
tel. 338282828, fax 338282829
pascal@pascal.pl
www.pascal.pl

ISBN 978-83-8103-351-0

Przygotowanie eBooka: Jarosław Jabłoński

*Pamięci powstańców i cywilów poległych w War-
szawie*

W historii nie chodzi o daty, miej-
sca i wojny.
Chodzi o ludzi.

Jodi Picoult, To, co zostało

Prolog

ZODDALI DOCIERAŁY DO NIEJ ODGŁOSY WALKI. Wiedziała, że to nie jest dobry znak. Znajdowała się w samym środku tragicznych wydarzeń, które miały się zapisać w historii stolicy jako jeden z najtrudniejszych momentów w jej dziejach. Była tak blisko, a jakby daleko. Czy to już? Czy właśnie teraz przyjdzie jej dołączyć do tysięcy młodych dziewcząt i chłopców, którzy oddali życie za wolność Warszawy? Nie bała się śmierci. Oswoiła ją. Patrzyła jej w oczy każdego dnia.

Stare Miasto broniło się resztkami sił przed naporem hitlerowców wściekłych z powodu – jak to nazywali – występku, jakiego dopuścili się *polnische Banditen*, a Mila toczyła wewnętrzną walkę ze słabościami własnego organizmu. W tamte sierpniowe dni przekonała się, że to samo ciało może w dużym stopniu ograniczać możliwość przeżycia, dopominając się o takie luksusy jak sen, czysta woda i zmiana opatrunku. Na przemian to traciła, to odzyskiwała przytomność. Nigdy nawet nie myślała, że kiedyś z upragnieniem będzie wyczekiwać potwornego huku kolejnych bomb spadających na zabudowania Starego Miasta, bo tylko, gdy docierały do niej takie odgłosy, wiedziała, że jeszcze żyje i nie znalazła się ani w niebie, ani w piekle, bo nawet tam nie mogło być gorzej niż w ostatnie dni sierpnia czterdziestego czwartego roku w Warszawie.

Ból stał się częścią jej codzienności. Dzięki niemu wiedziała, że żyje. Musiała odnaleźć Krzysia. Tylko to się dla niej liczyło. Myśl o nim pozwalała jej przetrwać najgorsze chwile. Mimo że nikt nie miał o nim wiadomości od kilkunastu dni, co mogło oznaczać właściwie tylko jedno, wierzyła,

że jest cały i zdrowy i tylko czeka na sygnał od niej. Miała mu tyle do opowiedzenia...

Myśl o Krzysztofie skierowała jej wycieńczony nieustającą walką umysł na właściwe tory. Dziecko. Musiała przeżyć, aby mogło się urodzić. Myśl o nim była jej ostatnią deską ratunku.

Rozdział 1

DŹWIĘK JEGO KROKÓW ODBIJAŁ SIĘ ECHEM OD ŚCIAN DŁUGIEGO KORYTARZA. Całkiem możliwe, że gdyby znalazł się w tym budynku w bardziej sprzyjających okolicznościach, nie wydałby mu się siecią połączonych labiryntów, lecz, niestety, w stresie nie potrafił odnaleźć właściwego bloku. Mężczyźni z reguły nie lubią przyznawać, że zabłądzili, a pytanie o drogę przychodzi im trudniej niż poproszenie ukochanej o rękę, niemniej jednak Mikołaj nie miał czasu na błądzenie bez celu, więc w końcu zaczepił jakąś blondynkę w kitlu i pozwolił jej nieco poharatać swoje ego.

– Przepraszam, którą na oddział chirurgii?

Kobieta spojrzała na niego pobłaźliwie i dość niechętnie wytłumaczyła mu, dokąd ma się udać. Pięć minut później stał już przed salą chorych, w której – jeśli wierzyć lekarzowi, który dzwonił do niego rano – oczekując na operację, leżała jego babcia. Wciągnął głośno powietrze i delikatnie popchnął drzwi. Był pewien, że trafił we właściwe miejsce, gdy tylko usłyszał pełen pretensji głos ukochanej staruszki. Babcia mogła być nieusatysfakcjonowana oczywiście tylko z jednego powodu. Na co dzień była raczej zadowolona z życia starszą panią, a złościła się tylko wówczas, gdy skończyły jej się papierosy lub gdy ktoś ośmielił się zwrócić jej uwagę, że gdzieś nie można palić. Babcia uważała, że to skandal. Ludzie jedli, pili, a nawet żuli gumę dosłownie wszędzie, a komuś mógł przeszkadzać dym?!

– Ależ drogie dziecko! – Łagodnie, choć nie bez irytacji, próbowała przedstawić swoje stanowisko młodej pielęgniarce, która przyglądała jej się

z niekrytym przerażeniem. – Twoich rodziców nie było jeszcze na świecie, kiedy ja zapaliłam pierwszego papierosa. Mam dobrze ponad dziewięćdziesiąt lat, palę od siedemdziesięciu, czuję się wyśmienicie, a ty śmiesz mówić mi, że nie mogę sobie zapalić. Jestem żywym dowodem na to, że papierosy nie szkodzą zdrowiu.

Mikołaj chrząkał nieśmiało, czym zwrócił na siebie uwagę. Pielęgniarka odetchnęła z ulgą, szukając w nowo przybyłym ratunku. Najwyraźniej nie poznała się jeszcze na jego babci, skoro liczyła, że jest on w stanie cokolwiek wskórać.

– Dziecko ty moje – zwróciła się do niego Emilia. Mówiła tak do każdego, nieważne, czy był z nią spokrewniony, czy nie. – Ta młoda dama nie rozumie, że ja po prostu muszę zapalić.

– Babciu, jak by to powiedzieć... W szpitalu obowiązuje zakaz palenia, obawiam się więc, że będziesz musiała chwilowo zapomnieć o dymku – bąknął, próbując wybawić z opresji zdenerwowaną pielęgniarkę.

– *Et tu, Brute, contra me?* – Emilia zmrużyła oczy, a Mikołaj poczuł, że cała jego odwaga odpływa. – No dobrze, panience już dziękujemy. – Machnęła ręką, co pielęgniarka przyjęła z niemałym zaskoczeniem. – Muszę porozmawiać z wnukiem.

Dziewczyna wyszła urażona, a Mikołaj na chwilę przeprosił babcię i wybiegł za nią. Gdy ją dogonił, mamrotała coś pod nosem i z niedowierzaniem kręciła głową.

– Przepraszam... – wyszeptał niewyraźnie, a ona chyba bardziej wyczuła jego obecność, niż go usłyszała. Spojrzała na niego z zainteresowaniem. – Proszę się nie gniewać na babcię. Ona jest trochę... specyficzna i pali jak smok, odkąd tylko pamiętam. W głowie mam taki obrazek z dzieciństwa: babcia siedzi na werandzie swojego domu i odpala jednego papierosa od drugiego. – Nagle zrozumiał, że odrobinę się zagalopował. Pielęgniarki prawdopodobnie nie interesowały jego wspomnienia z dzieciństwa, a on od zawsze stanowczo za dużo mówił, żeby ukryć swoje zakłopotanie. – W każdym razie proszę nie brać jej uwag do siebie. To naprawdę bardzo kulturalna starsza pani, tylko wścieka się, kiedy nie może zapalić.

Czy one nie mają czasem obowiązku noszenia identyfikatora z imieniem i nazwiskiem? Próbował dojrzeć plakietkę, jednak nie zauważył niczego, co mogłoby mu pomóc zidentyfikować kobietę, którą w myślach już nazwał Bezimienną. Dziewczyna wzruszyła ramionami, zdobyła się na wymuszony

uśmiech, który Mikołaj zinterpretował jako komunikat w stylu „spieprzaj stąd”, i bez słowa oddaliła się w sobie tylko znanym kierunku.

Wrócił do sali, w której babcia, mimo złamanej szyjki kości udowej próbowała wstać z łóżka, i, jak przypuszczał, znaleźć ustronne miejsce na dymka.

– Babciu, co ty wyrabiasz?! – zapytał z przerażeniem, podchodząc do Emilii i próbując ją ułożyć z powrotem na łóżku. Na nic się jednak zdały jego starania – zrobiła całkiem zgrabny unik i już po chwili znowu wstawała.

– Aaaa! – krzyknęła naprawdę głośno, co znaczyło, że próba okazała się bolesna. Babcia Emilia nigdy nie wrzeszczała ot tak, bez powodu. Jako dziecko Mikołaj przypuszczał, że staruszka ma coś wspólnego z superbohaterami, których oglądał na ekranie telewizora pamiętającego jeszcze czasy Gierka.

– Co się stało?

Mikołaj był bledszy niż białe szpitalne ściany, babcia jednak nie zamierzała tracić czasu na udzielanie mu odpowiedzi. Nałóg wzywał. Nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazała stojący w rogu sali wózek.

– Babciu, myślę, że to nie jest dobry pomysł... – Pokręcił głową, zmierzając w kierunku wózka. Z dwójga złego wolał zawieźć babcię do palarni, o ile takowa w ogóle w szpitalu istniała, niż pozwolić, aby podjęła kolejną próbę samodzielnego wstania z łóżka.

Wszystko poszło zadziwiająco sprawnie i już kilka minut później Mikołaj pocił się ze zdenerwowania przed damską toaletą, w której babcia oddawała się nałogowi. Postawiła wnuka na czatach, a jego niepokój wynikał głównie z faktu, że nie zapamiętał, jakim tajnym gestem ma ją powiadomić, gdyby zbliżał się ktoś z personelu.

Na szczęście nikt nie nakrył ponad dziewięćdziesięcioletniej pacjentki palącej papierosa w szpitalnej toalecie. Mikołaj miał wyrzuty sumienia, jednak jak nikt inny znał swoją babcię i wiedział, że nie odpuści. Miał przed sobą kilka godzin względnego spokoju.

– Dziecko ty moje – zwróciła się do niego, kiedy już dotarli do sali. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Twoja obecność tutaj to miód na moje serce po tym wszystkim, co mnie spotkało! – Teatralnie wywróciła oczami. – Żeby odmawiać biednej staruszce jedynej przyjemności!

Mikołaj miał poważne wątpliwości, czy można nazwać ją „biedną starsuszką”, ale postanowił zachować tę uwagę dla siebie. Wolał nie dyskutować. Wiedział, że z nałogiem Emilii jeszcze nikt nie wygrał, chociaż wielu już próbowało.

– Obawiam się, że ten papieros będzie ci musiał wystarczyć na wiele godzin, a może nawet dni. – Z każdym kolejnym słowem mówił ciszej. Ulatywała z niego cała pewność siebie. – No dobrze, dowiem się w końcu, co się stało? Kiedy zadzwonił lekarz i powiedział mi o wypadku...

Babcia Emilia natychmiast mu przerwała.

– Lekarze nie od dziś wykazują skłonności do przesady. To nie był żaden wypadek, po prostu niefortunnie upadłam – wyjaśniła z miną niewiniątka.

Mikołaj podszedł powoli do szpitalnego łóżka i delikatnie, aby nie narażać babci na ból, usiadł na jego brzegu.

– Tak niefortunnie, że czeka cię skomplikowana operacja wszczepienia endoprotezy biodra. – Spojrzał na nią zatroskany. – Babciu, martwię się o ciebie. Może niepotrzebnie wyjechałem do Katowic... To przecież tylko kilkadziesiąt kilometrów, mógłbym codziennie dojeżdżać. Nie powinnaś być sama w domu. – Czule pogładził jej pomarszczoną dłoń. – Zostawiłem cię samą i teraz mam koszarne wyrzuty sumienia. Gdybym był na miejscu, nigdy by do tego nie doszło!

– Kochany jesteś, ale nie masz racji – oświadczyła Emilia. – Jesteś dorosły i masz prawo żyć swoim życiem. Nie możesz wiecznie oglądać się na babcię! Mnie na tamtą stronę już bliżej niż dalej, a ty musisz zadbać o siebie. Myślałam, że cię nauczyłam zdrowego egoizmu!

Zasępił się. Nie lubił swobody, z jaką babcia mówiła o śmierci, ona jednak uciniała każdą dyskusję tłumaczeniem, że przeżyła takie czasy, kiedy umierali ludzie piękni i młodzi, więc jej, starej i pomarszczonej, śmierć w żadnym stopniu nie rusza. Niby wiedział, że babcia jest w wieku, jakiego nie dożyło wielu jej rówieśników, i to nie tylko z powodu wojny, jednak nie potrafił myśleć o śmierci z taką lekkością, z jaką przychodziło to Emilii. Może to zmienia się z upływem lat?

Sprowadził swoje myśli na właściwe tory.

– Babciu, ty chyba w ogóle nie powinnaś mówić o egoizmie. W twoich ustach brzmi to wręcz komicznie – zauważył.

– Nie zawsze tak było – stwierdziła Emilia, wzruszając ramionami.

Mikołaj nie zamierzał dać się spławić. Postanowił przyprzeć babcie do muru.

– Proszę cię, nie odwracaj mojej uwagi od tego, że znalazłaś się w szpitalu. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Czy dowiem się, co się stało?

Emilia głośno wypuściła powietrze. Była przekonana, że nie ma o czym mówić, wnuk jednak zdawał się nie podzielać jej poglądów.

– Potknęłam się o dywanik – powiedziała. – Rozumiesz, dziecko? Przez głupi dywanik muszę tkwić w szpitalu, zdana na łaskę lub niełaskę lekarzy! Dalej jednak uważam, że nie stało się nic takiego, żeby robić wielkie zamieszanie.

Wnuk uniósł brwi.

– Babciu, masz biodro do wymiany i uważasz, że nic się nie stało? – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Biodro do wymiany miałam już jakiś czas temu, a dzięki temu całemu zdarzeniu – przez usta nie chciało jej przejść słowo „wypadek” – nie będę musiała czekać cztery lata na operację. Zakwalifikowali mnie do trybu pourazowego pilnego, więc sam widzisz...

– Normalnie same zalety! – mruknął z ironią.

– A żebyś wiedział! Życie mnie nauczyło, że trzeba na świat patrzeć przez różowe okulary i w każdej sytuacji doszukiwać się pozytywów.

Mikołaj nie miał najmniejszej ochoty na pseudofilozoficznie wywody, którymi zamierzała uraczyć go babcia. Interesował go tylko powód, dla którego znalazła się w szpitalu.

– Kiedy będziesz operowana?

Emilia przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, próbując ułożyć się w wygodniejszej pozycji. Nawet najmniejszy ruch sprawiał jej ogromny ból, skupiła się więc na tym, żeby zrobić to w jak najdelikatniejszy sposób.

– Nie mam pojęcia – przyznała, kiedy udało jej się wygodnie ułożyć. – Byli dzisiaj u mnie tacy uroczy chłopcy, przypuszczam, że niewiele starsi od ciebie, podebatowali, a potem najstarszy z nich, orzekł, że pierwsze dni to okres stabilizacji pacjenta, cokolwiek to miało znaczyć, bo przecież czuję się świetnie – prychnęła. – Potem powiedział, że będą operować na dniach i wszyscy sobie poszli.

Mikołaj powoli skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości.

– W porządku, zajrzę do lekarza. Na pewno będziesz czegoś potrzebowała, prawda? Co mam ci przywieźć z domu? W głowie mi się nie mieści,

że leżysz tutaj już trzeci dzień, a dopiero dziś mnie o tym poinformowano! Czy oni – gestem wskazał drzwi – nie powinni zawiadomić rodziny pacjenta niezwłocznie po przyjęciu chorego do szpitala?! Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak mogłoby się to skończyć, gdyby pani Marylka nie postanowiła do ciebie zajrzeć...

Emilia zaczerwieniła się lekko, czym tylko utwierdziła Mikołaja w przekonaniu, że musiała zainterweniować, aby rodzina nie została natychmiast poinformowana o wypadku. Taka już była – najpierw myślała o innych, dopiero później o sobie. Wiedziała, że wnuk jest w trakcie sesji, postanowiła więc, że nie będzie zaprzętać mu głowy błahostkami.

– Och, no wiesz, lekarze na pewno mają mnóstwo innych obowiązków. A Marylka... – ucięła nagle, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji i nie zdradzić jej przed Mikołajem.

W końcu Maryla wyświadczyła jej przysługę, nie zawiadamiając go od razu. Emilia nie była głupia. Wiedziała, że wnuk rzuci wszystko i przyjedzie, a przecież miał obowiązki na uczelni.

– Z pewnością. – Uznał, że lepiej będzie, jeśli nie da po sobie poznać, że ją przejrzał. – No nic... W każdym razie zostały mi jeszcze dwa egzaminy, większość sesji mam za sobą, jakoś to wszystko ogarnę... – Podrapał się po brodzie. – I tak miałem przyjechać do ciebie na wakacje, więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! Spędzimy ze sobą więcej czasu, niż planowaliśmy.

Emilia zamrugła nerwowo.

– Jak to? O ile mnie pamięć nie myli, to miałeś z kolegami z grupy jechać na dwa tygodnie na Mazury!

– Chyba nie sądzisz, że w tej sytuacji mógłbym nie zmienić planów. – Dla wzmocnienia swoich słów podniósł się z krzesła i stanął nad łóżkiem, aby zyskać przewagę. – Babciu, nawet nie próbuj ze mną dyskutować! Nie zamierzam beztrosko wylegiwać się nad jeziorem, podczas gdy ty będziesz dochodzić do siebie po ciężkiej operacji! Nie i koniec. – Dla podkreślenia efektu, mocno tupnął nogą.

Cóż, w jego wieku można sobie jeszcze pozwolić na takie dziecinne gesty.

Emilia chyba była słabsza, niż utrzymywała, gdyż odpuściła zadziwiająco szybko. Kilkanaście minut później stwierdziła, że jest zmęczona i najchętniej uciąłaby sobie drzemkę.

Mikołaj poczekał, aż babcia zaśnie, i bezszelestnie wyjął z jej szafki papierosy. Nie miał pojęcia, jak się tam znalazły, wolał jednak uniknąć sytuacji, w której staruszka wpadnie na pomysł, aby spróbować samodzielnie wstać z łóżka. Wiedział, że będzie wściekła, gdy nie znajdzie w szafce ulubionych slimów, ale postanowił zaryzykować. Cel uświęca środki.

Po drodze odwiedził jeszcze pokój lekarzy, gdzie naraził się dyżurującemu doktorowi pytaniem o możliwość rozmowy z kimś kompetentnym („Tutaj wszyscy są kompetentni, proszę pana!”). W rezultacie nie dowiedział się nic nowego.

– Jutro zapadnie decyzja, kiedy będziemy operować pana babcię – podsumował lekarz, co nie było dla Mikołaja wystarczającym wyjaśnieniem, ale nie drażył dalej.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak funkcjonuje polska służba zdrowia.

– A co z rekonwalescencją? – Postanowił zmienić kierunek rozmowy. – Rozumiem, że babcia będzie musiała mieć całodobową opiekę.

– Proszę pana, jeszcze o tym nie myślimy. – Doktor popatrzył na niego znad prostokątnych oprawek. – Powrót do pełnej sprawności trwa zwykle od trzech do sześciu miesięcy, ale nie potrafię przewidzieć, jak to będzie w przypadku pana babci. Szczerze mówiąc, miewałem już pacjentów po osiemdziesiątce, ale w tak słusznym wieku jak pani Krajewska... – Zmarszczył nos. – Bądźmy dobrej myśli i miejmy nadzieję, że operacja i rekonwalescencja przebiegną pomyślnie.

Mikołaj przez ponad dwadzieścia minut czekał na autobus, który sprzed ogromnego gmachu chrzanowskiego szpitala zawiezie go na dworzec. Po godzinie wsiadł w autobus do Libiąża. W rodzinnym miasteczku szedł dobrze znanymi ścieżkami, mijając domy sąsiadów, a ciszę przerywało tylko szczekanie psów. Minął niewielki fragment lasu, który jeszcze się tu uchował, i po kilku minutach stanął przed płotem domu, w którym mieszkał od dziecka. Podniósł głowę i szybko ocenił stan budynku. Westchnął głośno. Kiedy ostatnio opuszczał to miejsce, nie przypuszczał, że wróci tu w takich okolicznościach.

Furtka zaskrzypiała złowieszczo, kiedy delikatnie ją uchylił. Prześlizgnął się przez nią i odszukał w kieszeni klucz.

Kiedyś nie lubił tego domu. Kojarzył mu się z matką, a właściwie z jej brakiem. Jako dziecko mieszkał z nią na piętrze, a babcia z dziadkiem zaj-

mowali parter. Później Jan zmarł, Helena wyjechała, a granice między dwoma mieszkaniami się zatarły.

Mikołaj został z babcią Emilią, która robiła, co mogła, żeby zastąpić mu matkę, jednak nawet najczulsza i najukochańsza babcia nie była w stanie zrekompensować dziecku tego, że zostało opuszczone przez matkę. Są rany, których nie jest w stanie zbliznić czas.

Już jako kilkulatek Mikołaj zastanawiał się, dlaczego mama postanowiła wyjechać i zostawić go pod opieką babci. Wymyślił w końcu, że widocznie nie jest wystarczająco dobry i nie zasługuje na jej miłość. Dorastał w przekonaniu, że coś jest z nim nie tak. Większość jego kolegów wychowywała się w pełnych rodzinach. Owszem, Konrad i Marek dorastali bez ojca, ale nikt, absolutnie nikt, nie został porzucony przez mamę. Matki były ze swoimi dziećmi mimo wszystko, ale jego Helena nie chciała. Woląca zacząć wszystko od nowa i podrzucić syna matce jak kukułka.

Kiedy zaczął dorastać, skierował całą swoją złość na matkę. Już nie czuł się winny, a zaczął rozważać, co za kobieta porzuca własne dziecko. Oddalał się od Heleny. Ostentacyjnie wychodził z domu, kiedy dzwoniła, a jeśli już z nią rozmawiał, mocno dawał jej odczuć swoją niechęć.

Teraz z ulgą doszedł do wniosku, że w rodzinnym domu czuje się swobodnie. Z czasem zrozumiał, że budynek nie jest niczemu winien i nie powinien darzyć go niechęcią. W końcu spędził tu też dobre chwile.

Babcia Emilia otoczyła go opieką i zapewniła mu mnóstwo ciepła. Był jej oczkiem w głowie. Czasem mamrotała pod nosem, że tylko zajmując się wnukiem, jest w stanie odkupić dawne winy. Pewnego dnia usłyszał, jak mówi do sąsiadki, że nie marzy już o niczym innym, jak tylko o tym, aby córka jej wybaczyła, ale uznał, że musiał się przesyłścić.

Co matka miałaby wybaczać babci? Czym Emilia mogłaby zawinić Helenie, która kierowała się w życiu własnym egoizmem i wybrała życie w luksusie i karierę zamiast opieki nad własnym dzieckiem?

Niemal bezszelestnie przekręcił klucz, a drzwi natychmiast ustąpiły. Wsunął się do mieszkania, zdjął buty i rzucił je w kąt. Emilia z pewnością zrugaby go i poprosiła, aby zachowywał się jak człowiek, ale przecież jej tu nie było.

Westchnął głośno. Wszystko się zmieniło, a miał zaledwie dwadzieścia lat. Czy był gotów wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność?

Wiedział, że babcia może nigdy nie odzyskać dawnej sprawności. Przecież była już po dziewięćdziesiątce! Całkiem możliwe, że będzie potrzebować całodobowej opieki nie tylko przez kilka miesięcy po wypadku, ale już do końca życia. Czy potrafił zdobyć się na takie poświęcenie? Odpowiedź na to pytanie nie przyszła mu łatwo. Kochał babcię nad życie, w końcu to ona go wychowała i odmawiała sobie wiele, aby jej ukochany wnuczek nie szedł spać głodny. Nigdy się u nich nie przelewało, a Helena bawiła się w artystkę w Paryżu. Wiedział, że nie będzie jej w stanie tego wybaczyć.

Matka. Wypadałoby ją poinformować o wypadku. W jego sercu zakiełkowała nadzieja, że może kiedy Helena dowie się o tym, co się stało, w końcu przestanie żyć mrzonkami i wróci do domu. Co ona sobie wyobraża? Miała dwudziestoletniego syna, który jej potrzebował, i ponad dziewięćdziesięcioletnią matkę, którą najprawdopodobniej trzeba się będzie opiekować.

Drżącymi rękami wybrał francuski numer Heleny. Nie rozmawiali ze sobą zbyt często, bo prosiła, by dzwonił tylko w nagłych wypadkach, a na co dzień kontaktował się z nią raczej drogą mailową. „Tak jest taniej” – tłumaczyła.

– *Bonjour c'est Lena. Je ne peux pas répondre pour le moment, laissez-moi un message après le bip.* – To był radosny głos matki. No tak, mógł się tego spodziewać: poczta głosowa. Z pewnością była bardzo zajęta.

Nic nie irytowało go bardziej niż usilnie starania rodzicielki, aby zerwać ze swoimi korzeniami. Na litość boską, rodzice nazwali ją Heleną, nie żadną Leną!

Ze złością rzucił telefonem o ścianę, lecz szybko się zreflektował, że przecież nie stać go na nowy aparat. Oceniał wzrokiem smartfon, ale na szczęście był cały. To nie był dobry pomysł, aby na nim wyładowywać złość. W końcu to nie wina aparatu, że matka postanowiła być nieosiągalna i wyłączyła telefon.

Miał dość. Położył się na łóżku w ubraniu i niemal natychmiast zasnął.

Rozdział 2

EMILIA UPIĘŁA ŁYK HERBATY Z CYTRYNĄ I POGRAŻYŁA SIĘ W ROZMYŚLANIACH. Prawdę mówiąc, ostatnio miała wiele powodów do zmartwień, i nie chodziło tylko o biodro. Zmiany zwyrodnieniowe zaczęły jej dokuczać już wiele lat wcześniej, więc wiedziała, że prędzej czy później czeka ją operacja, ale nie przejmowała się takimi błahostkami. Zresztą dochodziła do siebie w zadziwiającym dla wszystkich, łącznie z lekarzami, tempie i dwa tygodnie po zabiegu chodziła już dość stabilnie o kulach. Czasem tylko zbyt gwałtownie wstawiała, co wywoływało ból.

Nie, Emilia zdecydowanie bardziej przejmowała się Mikołajem, który był, delikatnie rzecz ujmując, niedzisiejszy. Każda babcia pewnie marzyła o tak dobrze wychowanym wnuku, jednak ona wiedziała, że dla młodego mężczyzny w jego wieku może to oznaczać tylko jedno: kłopoty.

Dzieciak wychowywał się bez matki i ojca, a jego brak pewności siebie i wycofanie były najlepszym dowodem na to, że nie da się tak po prostu zostawić za sobą trudnego dzieciństwa i pójść do przodu. Była zła na córkę, na ojca Mikołaja, którego z braku lepszego określenia często nazywała w myślach NN, a najbardziej na samą siebie. Cóż, gdyby niemal pół wieku temu miała tę wiedzę co teraz, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Teraz już wiedziała, że poczucie odrzucenia i strach przed życiem dostaje się w spadku po przodkach.

Przyjemny i orzeźwiający wietrzyk chłodził jej zmęczone upałem ciało. Niewielka weranda była miejscem, w którym Emilia spędzała zdecydowanie najwięcej czasu. Wpatrywała się w ogród, niegdyś jej największą chlu-

bę, teraz boleśnie przypominający o upływie lat. Starość zabrała jej siły i chociaż nadal utrzymywała, że nie czuje się staro, nie miała już energii, aby zadbać o ogródek. Jakiś czas temu postanowiła, że doprowadzi go do stanu używalności, jednak wypadek zniweczył jej plany.

W oknie balkonowym pojawiła się postać Mikołaja. Dzielnie walczył z firaną, chociaż wieszał to ustrojstwo po raz pierwszy w życiu. Emilia głośno westchnęła. Do czego to doszło! Starość zdecydowanie się Bogu nie udało, na co najlepszym dowodem była wszczepiona w jej biodro endoproteza. Mikołaj jeszcze przez kilka minut walczył z oporną płachtą materiału, aż w końcu, zdyszany i czerwony na twarzy, otworzył okno balkonowe i wyszedł na taras.

– Zwycięstwo! – oznajmił, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Dziecko, ale po co ty to robisz? Nic się nie stanie, jeśli okna będą brudne przez kilka tygodni! – Rozparła się wygodnie w fotelu. – Za jakiś czas poczuję się lepiej i będę mogła sama zadbać o dom. Proszę cię, żebyś nie robił nic ponad to, co konieczne. Zresztą nadal uważam, że powinieneś jechać z kolegami na te Mazury. Zdaje się, że będzie tam pewna panienka, która cię interesuje...

Spojrzał na nią zszokowany, ale po chwili jego twarz rozjaśniła się.

– Babciu, podsłuchiwałaś!

– Ależ skąd! – Uśmiechnęła się do niego. – Po prostu tak głośno rozmawiałeś przez telefon, że było cię słychać w całym domu.

Mikołaj wyraźnie się zasepił. Najwidoczniej rozmowa o dziewczynie nie sprawiała mu przyjemności. Emilia natychmiast wyczuła, że coś musi być na rzeczy. Nie zamierzała drążyć, ale Mikołaj sam zdecydował się na zwierzenia.

– To i tak już nieaktualne – przyznał niechętnie.

– Dlaczego? – zapytała ostrożnie, aby nie spłoszyć wnuka, który dość niechętnie rozmawiał o swoich uczuciach.

Cóż, po kimś to odziedziczył...

– Liwia pojechała na Mazury z moim kolegą z akademika – rzucił lekko Mikołaj, ale po jego minie było widać, że cała sprawa mocno leży mu na sercu.

– A ten kolega, przepraszam, nie wiedział, że ta cała Liwia jest... – zawahała się – że ta dziewczyna jest ci szczególnie bliska?

Emilia zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się to, co usłyszała od wnuka. Odezwała się w niej dawna natura. Chciała chronić Mikołaja przed całym światem, a przecież nie był już małym chłopcem. Wciąż musiała to sobie uświadamiać. Czas płynął tak nieubłaganie!

– Wiedział, wiedział, ale to najwyraźniej nie przeszkodziło mu w tym, żeby się wokół niej zakręcić – wyznał ze smutkiem Mikołaj.

– Czy to bliski kolega? – Emilia poruszyła się niespokojnie.

Nie mieściło jej się to w głowie! Za jej czasów dziewczyna kolegi była po prostu nietykalna!

– Raczej tak.

Mikołaj był taki sam jak matka. Mówił dużo, ale unikał rozmów na takie tematy. Emilia była jednak ostatnią osobą, która mogłaby tę cechę krytykować: sama ukrywała wiele faktów ze swojej przeszłości.

– W takim razie oboje są siebie warci – podsumowała. – Znajdziesz sobie lepszą dziewczynę i bardziej lojalnego przyjaciela. Nie przejmuj się tym!

Machnęła ręką, lekceważąc całą sprawę. Tego kwiatu jest pół świata!

– Tylko że to nie jest pierwszy taki przypadek. – Mikołajowi wyrwało się chyba więcej, niż zamierzał powiedzieć.

Emilia zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli? Ten kolega nie po raz pierwszy się tak wobec ciebie zachował? W takim razie dlaczego nadal jest twoim znajomym? Czegoś tu nie rozumiem...

– Nie, nie! – zaprotestował Mikołaj. – Tylko... No cóż, babciu, nie jestem ekspertem w tych sprawach.

Chłopak zachichotał nerwowo, a Emilia nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że nic nie zachęca do zwierzeń bardziej niż cisza, która krępowała rozmówcę na tyle, że decydował się kontynuować. Nie pomyliła się.

Utkwił wzrok gdzieś daleko, poza horyzontem. Emilia wiedziała, że w Mikołaju odzywa się ten mały chłopczyk, który nigdy nie dostał od matki miłości i wsparcia. Właśnie dlatego nie mógł w dorosłym życiu rozprostować skrzydeł i wzbić się w powietrze. Cóż z tego, że nie miał już dziesięciu lat? To nieważne, że zamiast ubrudzonego czekoladą chłopca siedział przed nią dwudziestoletni mężczyzna. Tęsknoty za matczynym uczuciem nie jest w stanie zagłuszyć upływ czasu.

– Dziewczyny omijają mnie szerokim łukiem – wyznał niepewnie. – Nie jeżdżę wypasionym samochodem i nie imprezuję od poniedziałku do niedzieli. Na dodatek w towarzystwie koleżanek zachowuję się jak idiota, bo chciałbym im zaimponować, a efekt jest zawsze odwrotny.

Emilia spojrzała na niego uważnie i w milczeniu pokiwała głową, co zachęciło go do dalszych zwierzeń.

– Odstaję od reszty – bąknął niewyraźnie. – Matka miała rację! Który normalny facet wybiera polonistykę? Moi koledzy z liceum poszli na Politechnikę Śląską albo Akademię Górniczo-Hutniczą, a znajomi z akademika studiują informatykę i matematykę. Tylko ja, jak ten palant, czytam książki i rozkładam zdania na czynniki pierwsze! – Uderzył dłonią w stół, a filiżanka, z której Emilia sączyła herbatę, lekko zadrżała. Nie uznawała kubków i taniej porcelany. To była jedyna ekstrawagancja, na jaką sobie pozwalała.

– Robisz to, co lubisz – powiedziała uspokajającym głosem. – Myślę, że to jest w życiu najważniejsze: znaleźć coś, co się kocha, i pozostać temu wiernym. Płeć nie ma tutaj nic do rzeczy! – Wypiła resztę zimnej już herbaty. – Rzeczywiście, utarło się, że mężczyźni wybierają zawody górnika, hutnika czy informatyka, a polonistyka jest bardziej kobiecym kierunkiem, ale uwierz, że byłbyś bardziej nieszczęśliwy, studiując coś, co cię nie interesuje. – Zamilkła na chwilę, aby dobrać odpowiednie słowa. – Jesteś jeszcze młody. Mało kto w twoim wieku w ogóle wie, czego chce. Wybrałeś takie studia, jakie cię interesują, i chwala ci za to. Poza tym, jak sam słusznie zauważyłeś, na polonistyce jest więcej kobiet, a więc masz większą szansę, aby poznać kogoś interesującego. – Puściła do niego oczko i zachichotała.

– Ale one wszystkie traktują mnie jak dobrego kolegę! – Mikołaj najwyraźniej nie podzielał entuzjazmu babci. – Nic więcej.

Emilia wyciągnęła rękę w uspokajającym geście.

– Ja wiem, że w twoim wieku chciałoby się dostać od losu wszystko naraz, ale czasem lepiej poczekać na kogoś wyjątkowego. Najpiękniejsze rzeczy przychodzą z czasem.

Odplynęła myślami gdzieś daleko, a Mikołaj nie chciał sprowadzać jej z powrotem na ziemię, więc milczał. Nie wiedział, czy to on stał się wrażliwszy i zwracał większą uwagę na nieco dziwaczne zachowanie babci, czy te jej chwile zadumy rzeczywiście zdarzały się coraz częściej. Nie miał pojęcia, gdzie staruszka wówczas była, ale miał wrażenie, że gdzieś daleko, pewnie w przeszłości.

Tę magiczną chwilę przerwał nagle natarczywy dzwonek dobiegający z tylnej kieszeni dzinsów Mikołaja. Babcia błyskawicznie wróciła do rzeczywistości i spojrzała na niego pytająco. Wyraźnie się zasępił, kiedy spojrzał na ekran: to matka próbowała się z nim skontaktować. Przez ostatnie dwa tygodnie wydzwaniał do niej kilka razy dziennie i pisał kilkanaście wiadomości. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Odezwała się dopiero teraz.

– Teraz to już naprawdę możesz sobie darować! – Złość narastała w nim od kilkunastu dni. Nie, zaraz, wróc. Należałoby powiedzieć: złość narastała w nim od kilkunastu lat, a apogeum osiągnęła w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nie mógł sobie darować tej uwagi. Zrezygnował nawet z przywitania.

– Mikołaj? – W głosie matki było słycać zaskoczenie. – Ale o co chodzi? Wróciłam z wakacji, włączyłam telefon i od razu do ciebie zadzwoniłam.

– Kto w dzisiejszych czasach nie zabiera ze sobą telefonu na wakacje? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Helena prychnęła ze złością. Nie lubiła, gdy ktokolwiek ją pouczał.

– Musiałam odpocząć. Zresetować się. No wiesz, pobyć przez chwilę sama ze swoimi myślami. Nie chciałam, aby mi przeszkadzano.

– Rozumiem. Chciałaś odpocząć, mamó – rzucił Mikołaj, kładąc nacisk na ostatni wyraz. Niby jedno krótkie słowo, a jednak jemu sprawiało mnóstwo trudności. Kiedy już je wymawiał, robił to cynicznie i ze złością. – A nie wpadło ci do głowy, że podczas gdy ty odpoczywałaś, mogło coś się stać i nikt nie miał szans, żeby się z tobą skontaktować?

– Moja matka umarła? – wypaliła nagle Helena. Mikołaj nie wiedział, a może raczej nie chciał wiedzieć, jak potężny ładunek emocjonalny krył się w tym jednym krótkim pytaniu.

– Skąd w ogóle taki pomysł?! – Podniósł głos, na chwilę zapominając, z kim rozmawia.

Może Helena nie była wzorem matki, ale jednak Emilia nauczyła go szacunku do niej. Mimo wszystko.

– No wiesz, nie jest już pierwszej młodości, a skoro wydzwaniasz do mnie od dwóch tygodni... Nieważne! Stało się coś? Mógłbyś w końcu przejść do sedna? – poprosiła zniecierpliwionym tonem.

Mikołaj wstał z fotela i odszedł na kilka metrów. Miał dziwne wrażenie, że do siedzącej tuż obok Emilii docierają wypowiedane przez Helenę słowa.

– Babcia miała wypadek. Niby nic poważnego, przewróciła się w domu, a jednak w jej wieku to groźne. – Spiorunował wzrokiem Emilię, która już miała się odezwać, pewnie po to, żeby zaprzeczyć słowom wnuka. – Lekarze musieli ją operować. Babcia ma wszczepioną endoprotezę i z uwagi na jej wiek okres rehabilitacji może się wydłużyć nawet do sześciu miesięcy.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Helena potrzebowała kilkunastu sekund, żeby pozbierać myśli i coś odpowiedzieć.

– Przykro mi, ale... Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Słowa matki niemal natychmiast wywołały w nim gniew. Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?! Jak to: co *ona* ma z tym wszystkim wspólnego? Babcia jest jej matką, do cholery!

Najpierw porzuciła kilkuletniego syna i wyjechała do Paryża, bo przecież stolica Francji była taka modna wśród artystów i tylko tam mogła zrobić prawdziwą karierę. Spakowała walizki i zaczęła zupełnie nowe życie, w którym nie było miejsca dla dziecka, a teraz zabrakło go również dla matki? Jakim trzeba być człowiekiem, aby tak traktować bliskich?

Zszedł z tarasu i ruszył w stronę ogrodu. Nie chciał, aby babcia była świadkiem tej rozmowy.

– Obawiam się, że masz z tym wspólnego o wiele więcej, niż ci się wydaje. – Nie chciał uderzać w błagalne tony, ale jakoś samo wyszło. – Mamo, przecież to twoja matka, zastanów się... Babcia ma już dziewięćdziesiąt cztery lata. Ona nas potrzebuje! Ja cię potrzebuję, do cholery! Teraz mam wakacje, więc mogę się nią zajmować. Pominę już to, że miałem w planach jakąś dorywczą pracę, aby odciążyć ciebie i babcię, a potem wyjechać na dwa tygodnie z kolegami na Mazury. Zrezygnowałem z tego bez żalu, bo wiem, że ona nie ma nikogo poza mną. – Spojrzał w kierunku tarasu. Emilia zaciągała się papierosem i dość nieudolnie udawała, że wcale nie przysłuchuje się ich rozmowie. – Ale przecież jesteś jeszcze ty! Chyba mogłaś przyjechać na kilka tygodni, maksymalnie kilka miesięcy, żeby pomóc babci? Od października chciałbym wrócić na studia, a nie wiem, czy to będzie możliwe, jeśli...

– Nie – przerwała mu stanowczo matka. – To nie wchodzi w grę.

Czekał, licząc, że powie coś więcej, jednak cisza po drugiej stronie przedłużała się.

– Ale dlaczego? Nigdy cię o nic nie prosiłem. Nigdy! Do czasu... Teraz cię błagam, przyjedź do domu i zaopiekuj się babcią!

– Na ile znam swoją matkę, radzi sobie całkiem nieźle. – Nawet z takiej odległości Mikołaj natychmiast wyczuł chłód w jej głosie. – Dacie sobie radę.

– Mamo, możliwe, że będę musiał przerwać studia. – Spróbował po raz ostatni. – Czy ty to rozumiesz?! Nie wierzę, po prostu nie wierzę... Nie masz serca!

– Zawsze możesz wziąć dziekanę. – Oczyma wyobraźni widział, jak matka wzrusza ramionami. – Znasz mój stosunek do twoich studiów. Polonistyka nie jest przyszłościowym kierunkiem, więc może dobrze by się stało.

Złość dusiła go od środka. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wiedział, że matka ma trudny charakter, ale dotychczas wierzył, że nie jest całkowicie pozbawiona uczuć. Tego dnia przekonał się, jak bardzo by się mylił.

– Czyli nie przyjedziesz?

– Mam w przyszłym miesiącu wystawę. – Jej głos od razu się zmienił. Najwyraźniej samo mówienie o tym sprawiało jej przyjemność. – Może w końcu uda mi się wybić.

Nie chciał być złośliwy, ale na usta cisnęła mu się uwaga na temat wielu innych imprez, które miały jej pomóc się wybić.

– Czyli nie? – wycedził przez zaciśnięte wargi.

– Przykro mi.

Helena coś jeszcze mówiła, ale Mikołaj już jej nie słuchał. Nacisnął czerwoną słuchawkę i ze złością włożył telefon do kieszeni. Spojrzał w stronę werandy. Babcia właśnie gasiła papierosa i dałby sobie rękę uciąć, że ukradkiem ociera łzy.

Rozdział 3

Z GŁĘBOKIEGO SNU WYRWAŁ GO HUK TŁUCZONEGO SZKŁA. Podniósł się szybko z łóżka, aż zakręciło mu się w głowie. Odruchowo spojrzął na zegar, który od zawsze wisiał na ścianie. Wskazówki zatrzymały się na trzeciej. No tak, miał wymienić baterie, ale tego nie zrobił.

Sięgnął po telefon, aby sprawdzić godzinę. Po lewej stronie u góry migała ikonka nieodebranej wiadomości. Z niesmakiem pokręcił głową, kiedy czytał SMS od matki. Nie mógł uwierzyć, że z tą kobietą łączy go najbliższy stopień pokrewieństwa.

*Mam tutaj swoje życie i nie rzucę wszystkiego tylko dlatego, że Emilia zła-
mała biodro. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogę zrobić przelew. Kocham
Cię, mama.*

Prychnął ze złością. Mogłaby sobie darować to czułe zakończenie. Poza tym irytowało go, że Helena mówi o babci „Emilia” lub „moja matka”. Uważał, że staruszka zasługuje na więcej, tymczasem córka nie potrafiła jej nawet okazać szacunku.

Nagle przypomniał sobie o dziwnym odgłosie, który go obudził. Zerwał się jak oparzony i popędził do kuchni, gdzie Emilia dość nieudolnie, podpierając się kulą, próbowała posprzątać bałagan. Natychmiast wkroczył do akcji.

– Babciu, proszę cię, usiądź... Posprzątam. – Pomógł jej usadowić się na krześle. – Co się stało?

– A cóż niby miało się stać? – Machnęła ręką. – Po prostu rozlałam herbatę.

Wystarczyło spojrzeć na Emilię, aby się domyślić, że jest wściekła. Z odrazą patrzyła na kulę, teraz rzuconą w kąt. Mikołaj nic nie powiedział, chociaż na końcu języka miał uwagę, że zbita filiżanka, to nie tylko „rozlana herbata”.

– Nie oparzyłaś się?

Emilia w milczeniu pokręciła głową, chociaż ochlapała nogi wrzątkiem. Nie chciała, aby wnuk skakał wokół niej i, co gorsza, próbował ściągać z niej te przekłete rajtuzy. To byłoby ponizające.

W takich chwilach powinna być z nią córka. Powinna, ale Helena mieszkała ponad tysiąc pięćset kilometrów stąd i ani myślała pomagać w opiece nad starą zniedołężniałą matką. Staruszka była więc zdana na dwudziestoletniego wnuka, który zdecydowanie nie powinien ściągać swojej starej babce rajstop! Co do tego Emilia nie miała żadnych wątpliwości.

– I na co mi to było? – Sama się zdziwiła, że wypowiedziała swoje myśli na głos.

Mikołaj spojrział na nią pytającym wzrokiem.

– Czyli?

– Na co mi była ta cała operacja? Funkcjonuję jeszcze gorzej niż przed zabiegiem. Wcześniej to chociaż byłam w stanie przenieść filiżankę z herbatą z kuchni do pokoju.

– Przez chwilę musi być gorzej, żeby mogło być lepiej – zauważył reżolutnie Mikołaj, a potem szybko zmienił temat, aby odciągnąć uwagę babci od tych najbardziej bolesnych spraw. – Dzisiaj przychodzi do ciebie pani Maryla, prawda?

Rzeczywiście, Emilia spodziewała się wizyty sąsiadki. Kiedy Mikołaj wyjeżdżał na studia do Katowic, cieszył się, że babcia ma na miejscu bratnią duszę – kogoś, kto w razie potrzeby wesprze ją dobrym słowem i dotrzyma jej towarzystwa. Wprawdzie część weekendów spędzał w rodzinnym domu w Libiążu, jednak w tygodniu nie mógł składać codziennych wizyt babci, więc cieszył się, że nie jest zdana tylko na siebie.

– Właśnie! Zapomniałabym! Ostatnio Marylka przyniosła mi cztery dorodne cukinie ze swojego ogródka – zreflektowała się Emilia. – Może masz ochotę na placki? Zetrę cukinie na tarce, dodam trochę cebuli, jajka,

mąkę... Tak jak lubisz! Poleję je jogurtem naturalnym zmieszany z czosnkiem. Masz ochotę, dziecko?

Mikołaj uśmiechnął się szeroko. Placki z cukinii to jego przysmak z dzieciństwa. Doskonale pamiętał, jak latem bawił się w ogródku, a babcia przerywała tę zabawę i wołała go na taras, gdzie czekało na niego ulubione danie. Najpierw zlizywał jogurt z czosnkiem, a dopiero później zabierał się do placków.

– Nie chciałbym, żebyś się przemęczała – zaczął nieśmiało.

Emilia ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

– Dziecko, ja cię bardzo proszę, ty nie rób ze mnie kaleki! – Rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. – Tyle jeszcze mogę dla ciebie zrobić. Przygotuj tylko patelnię, a ja zadbam o resztę. Wprawdzie nie jadłeś jeszcze śniadania, ale jest już jedenasta, więc myślę, że możemy zacząć od wczesnego obiadu.

Uwaga babci wpędziła go w zakłopotanie. W końcu przyjechał do domu, aby jej pomóc, a wylegiwał się w łóżku do południa.

Placki Emilii były dokładnie takie, jak zapamiętał z dzieciństwa. Zjadł je na tarasie, zupełnie jak wówczas, kiedy był chłopcem. Przeżuwając kolejne kęsy, co chwila unosił kciuk do góry, chwając babciną kuchnię.

– Przepyszne! – komentował, a Emilia uśmiechała się, zaciągając się cienkim papierosem.

Zawsze jadała niewiele, a prawdziwą przyjemność sprawiało jej palenie. Mikołaj w tej kwestii był zupełnym przeciwieństwem babci – papierosy wzbudzały w nim wstręt, za to jadł za dwóch, a nawet za trzech, jak czasem żartowała Emilia.

Kiedy przyszła Maryla, uznał, że najlepiej będzie, jeśli się ulotni i pozwoli im w spokoju porozmawiać. Po drodze do sklepu spotkał znajomego z liceum i na kilkanaście minut, kiedy z nim rozmawiał, zapomniał o bożym świecie i znów poczuł się młodym, pozbawionym trosk chłopakiem. Powymieniali informacje na temat dalszych losów kolegów i koleżanek z klasy, powspominali studniówkę i tych, którym nie udało się zdać matury. Podobno z egzaminem z matematyki nie poradziły sobie trzy osoby, a czwarta nie zdała z polskiego. Mikołaj wstępnie umówił się z Sebastianem na piwo, a potem się pożegnali.

Kiedy wrócił do domu, babcia nadal rozmawiała z panią Marylą, uznał więc, że pójdzie na górę, aby im nie przeszkadzać, jednak to, co usłyszał,

zaciekawilo go na tyle, ze zatrzymal sie w korytarzu i niepewnie spojrzal w kierunku drzwi.

– Szczerze mówiac, nie dziwie sie Helenie. – To byl stlumiony głos Emilii. – Na jej miejscu chyba tez nie chcialabym miec ze swoja matka nic wspólnego.

Wiedzial, ze nie powinien podsłuchiwać, ale to bylo silniejsze od niego. Od najmłodszych lat mial wrazenie, ze w tym domu nie mówi sie głośno o wszystkim i być może właśnie otrzymał potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Nie masz racji – powiedziala Maryla. – Po tym, co przeżyłaś...

O czym ona mówila? Co takiego wydarzylo sie w tej rodzinie i dlaczego nikt nie chcial z nim o tym rozmawiac?

– To nie ma nic do rzeczy – przerwala jej stanowczym głosem babcia.

– Alez oczywiscie, ze ma! – wtracila z przekonaniem w głosie sąsiadka. – Helena wie o tym, co cie spotkalo. Człowiek podniesie sie, ale juz nigdy nie będzie taki sam. Po tym, co widzialas, czego doświadczylas i co stracilas, nie można przeciez ot tak wyrzucic złych wspomnień z pamieci i zaczac od nowa.

– Tylko dlaczego cierpią kolejne pokolenia? – Emilia westchnęła głośno. Było jasne, ze nie oczekuje odpowiedzi na to pytanie.

Zapadła cisza. Mikołaj bal sie, ze zostanie nakryty, więc szybko i niemal bezszelestnie wszedł na górę. Słowa babci i sąsiadki jeszcze długo rozbrzmiewaly w jego głowie. Czy rzeczywiście jego matka miała powód, aby wyjechać z domu?

Zawsze myslal, ze Helena zostawila swoje poprzednie życie z czystego egoizmu. Była wygodnicka i marzyła o wielkiej karierze, a jej zdaniem tylko w Paryżu mogła osiągnąć to, na co bylo ją stać. Jeszcze w PRL-u ukończyła krakowską Akademię Sztuk Pięknych i uwierzyła swoim wykładowcom, którzy przekonywali ją, ze ma rzadko spotykany talent. Była ulubienicą profesora Jana Szancenbacha, wybitnego przedstawiciela koloryzmu, który wielokrotnie powtarzal, ze jest jego nadzieją. Po ukończeniu studiów jeszcze przez kilka lat próbowała wybić sie w kraju, w końcu jednak uznala, ze odradzajaca sie z popiołów Polski Ludowej Rzeczpospolita nie zapewni jej świetlanej przyszłości, i wyjechała. Nic to, ze miała kilkuletniego syna, dla którego była całym światem. „Babcia sie tobą zaopiekuje”, powiedziala, i juz jej nie bylo.

Nie obiecywała, że wróci, że po niego przyjedzie, bo i po co? Przecież wiedziała, że to nieprawda. Nie zamierzała okłamywać syna.

Mikołaj po raz pierwszy spojrzał na wyjazd matki inaczej. Czyżby przed czymś uciekała?

Poprzedniego wieczoru wypił o jedno piwo za dużo, więc teraz cierpiał z powodu paskudnego bólu głowy. Spotkał się z Sebastianem i wpadli na pomysł, aby zadzwonić do pozostałych kolegów z czasów liceum, więc niewinny wypadek do baru skończył się o nieprzyzwoicie późnej, a raczej wcześniejszej porze. Głupio mu było wracać, ale starał się być cicho i miał nadzieję, że Emilia rzeczywiście się nie obudziła. Podejrzywał, że gdyby mieszkała z matką, nie miałaby podobnych oporów, jednak wobec staruszki czuł respekt.

Nastawił budzik na dziewiątą. Kiedy alarm w telefonie zadźwięczał, nie miał najmniejszej ochoty, by unieść powieki choć na milimetr, zmusił się jednak, żeby otworzyć oczy i wstać z łóżka.

Emilia z dnia na dzień radziła sobie coraz lepiej, lecz nadal potrzebowała pomocy, więc nie chciał, żeby była zdana tylko na siebie, podczas gdy on będzie odsypiał nieprzespaną noc.

Trudno. Nie od dziś wiadomo, że na kaca najlepsza jest praca.

– Dziecko ty moje, dlaczego nie śpisz? – zapytała babcia, kiedy zombie w postaci Mikołaja weszło do kuchni.

– Właśnie dlatego! – Wskazał palcem drewnianą deskę, na której babcia siekała szczypiorek. – Muszę cię pilnować.

Zmarszczki wokół oczu Emilii zagęściły się, kiedy uśmiechnęła się do wnuka.

– Słyszałam, że wróciłeś nad ranem. – Czyli jednak udawała. – Nie chciałam cię budzić, a przygotowanie kanapki z pomidorem i szczypiorkiem nie przerasta moich kulinarnych możliwości.

Mikołaj łakomym wzrokiem spojrzał na butelkę wody mineralnej. Postanowił ją przemyścić po cichu do swojego pokoju. Miał wrażenie, że jego gruczoły ślinowe przestały spełniać swoją podstawową funkcję, bał się jednak, że babcia odkryje przyczynę wzmożonego pragnienia. Wiedział, że to idiotyczne – Emilia z pewnością nie miała nic przeciwko temu, że wyszedł z kolegami i wypił kilka piw, w końcu był dorosły. A jednak odczuwał zażenowanie.

Jego wewnętrzne dylematy rozwiązała babcia, podsuwając mu szklankę apetycznie pachnącego napoju.

– Zdawałam sobie sprawę z tego, że możesz być dzisiaj niedysponowany, więc ugotowałam z samego rana kompot truskawkowy.

Nic nie powiedział, ale wypił całą szklankę i poprosił o więcej.

– Może posprzątałbym na strychu? – zasugerował.

– Dzisiaj? – zdziwiła się Emilia.

Akurat tego dnia nie spodziewała się po wnuku tak szumnych deklaracji. W końcu na strychu nikt nie sprzątał od... Właściwie nie wiedziała, czy ktoś kiedykolwiek robił tam porządku.

– A co to za różnica? – Mikołaj wypiął dumnie pierś. – Pamiętam, że jest tam mnóstwo ciężkich przedmiotów, a sama sobie z tym na pewno nie poradzisz. Akurat jestem w domu, więc mogę się tym zająć.

– Jak tam sobie chcesz – skwitowała babcia. – Co zjadłbyś na obiad, dziecko?

Wzruszył ramionami. Chwilowo nie miał apetytu, więc Emilia postanowiła, że ugotuje zupę ogórkową z ukiszonych przez siebie ogórków, którą wnuk będzie mógł w każdej chwili sobie odgrzać.

Kiedy tylko za Mikołajem zamknęły się przykurzone drzwi, od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Piętrzącego się stosu nikomu niepotrzebnych przedmiotów nie byłby w stanie posprzątać w jeden dzień nawet w pełni sił. Nie zwykł jednak się poddawać, mimo że tym razem z góry przewidywał swoją porażkę. Postanowił, że uprzątnie chociaż część rupieci.

A czego tam nie było! Stara pralka frania, drewniane sztalugi pamiętające jeszcze pierwsze prace Heleny, niedziałający od kilkunastu lat stojący zegar, skrzynia z zabawkami. Z pewną nostalgią obracał w dłoniach przedmioty, które umilały mu dzieciństwo. Uśmiechnął się na widok Action Mana, prezentu na któreś święta. Przypomniawszy sobie, jak babcia zabawnie marszczyła nos, próbując powtórzyć po nim nazwę zabawki. „Akszon men” – tak mówiła.

– Rany! – westchnął na widok ogromnego pudła, w którym mieściła się jego kolekcja klocków Lego.

Z tego mężczyźni chyba nie wyrastają. Mimo iż nie był już chłopcem, z chęcią postawiłby jakąś budowlę. Kiedyś mógł to robić godzinami. Miał dużo cierpliwości.

– Wszystko w porządku? – Z dołu dobiegło do niego wołanie babci.

– Tak, tak!

Odstawił na bok skrzynię, w której znalazł jeszcze kilkadziesiąt niewielkich resoraków, i postanowił niczego nie ruszać. Zabawki mogły się jeszcze kiedyś przydać. Na razie ta perspektywa wydawała mu się bardzo odległa, ale *panta rhei*, jak mawiał Heraklit. Wszystko płynie.

Bez żalu postanowił wyrzucić stare obrazy matki, pamiętające jej studenckie czasy. Gdyby miała ich jeszcze w ogóle potrzebować, z pewnością dawno by się po nie zgłosiła.

Pożegnał się również ze swoimi rysunkami z dzieciństwa i szkolnymi zeszytami. Nie rozumiał, po co babcia to wszystko trzyma. Nie byłoby łatwiej po prostu wyrzucić? Wiedział, że Emilia zawsze była sentymentalna, jednak nie widział najmniejszego sensu w wynoszeniu na strych nikomu niepotrzebnych zeszytów małego Mikołaja, niechlubnych dowodów na to, że od najmłodszych lat fatalnie radził sobie z matematyką. Szczerze mówiąc, wciąż nie mógł się nadziwić, że jego nazwisko nie znalazło się w gronie tych trzech osób, które nie zdały matury z tego przedmiotu. To pokrzyżowałyby mu plany. Bez zdanego egzaminu z matematyki, w życiu nie dostałby się nawet na polonistykę.

Nagle jego uwagę przyciągnęła niewielka szkatułka, która jako jedyna była zamknięta i schludnie odłożona, a nie rzucona gdzieś niedbale. Delikatnie nacisnął wieko, przekonany, że będzie stawiało opór, jednak szybko ustąpiło, jakby niewielka skrzyneczka sama chciała się z nim podzielić swoją tajemnicą.

Na podłogę upadł kawałek materiału. Delikatnie podniósł skrawek, który skojarzył mu się dość jednoznacznie, jednak nie chciał przyjąć tej informacji do wiadomości. To byłoby absurdalne. Niby co powstańcza opaska z czasów, kiedy stolica stawiała opór hitlerowskiemu okupantowi, miałaby robić na strychu ich domu w Libiążu, ponad trzysta kilometrów od Warszawy? Nie mogła się tu przecież zaplątać przypadkiem. Uznał, że skrawek materiału musiał mieć w przeszłości inne zastosowanie i starannie odłożył go z powrotem do szkatułki.

Jego uwagę przyciągnęły poźółkłe koperty. Upływ czasu nie zamazał wykaligrafowanych starannie adresów nadawcy i adresata. W polu, w którym zwyczajowo umieszcza się dane autora listu, widniał ich libiąski adres. Nadawcą była Emilia.

Dziwne. Bardzo dziwne. Wyglądało na to, że korespondencja nie trafiła do adresata. Mikołaj nigdy nie słyszał o tym człowieku. Kim, do diabła, był Krzysztof Andrzejewski i dlaczego babcia pisała do niego listy, których nie wysłała? Może nie była pewna miejsca jego pobytu?

Wyjął ze szkatułki plik zaadresowanych kopert. Naliczył ich szesnaście. Wpatrywał się w warszawski adres, nic nie rozumiejąc, czuł jednak, że właśnie trafił na ślad rodzinnej tajemnicy, o której babcia najwyraźniej nie miała ochoty z nim rozmawiać. Ciekawiło go, kim był ten mężczyzna, a jeszcze bardziej, dlaczego listy nigdy do niego nie trafiły.

Włożył koperty do szkatułki, a następnie zamknął ją i odłożył na miejsce. Próbował zapomnieć o tajemniczych listach, ale jego myśli ciągle wracały do zawartości niewielkiego pudełka.

Nie czuł upływu czasu. Kiedy babcia zawołała go z dołu i zapytała, czy aby na pewno wszystko jest w porządku, bo wybiła siedemnasta, a on nic nie jadł przez cały dzień, zdziwił się, że spędził na strychu tyle godzin. Nie rozumiał swoich niecodziennych emocji. Jeszcze nigdy nie czuł takiego dziwnego dreszczyku podekscytowania zmieszanego z niezdrową ciekawością.

– Wszystko w porządku? – Emilia spojrzała na niego zatroskana, kiedy w końcu zszedł na dół.

Niemal mechanicznie skinął głową.

– Jest coś do jedzenia? Umieram z głodu.

– Nareszcie! Już się bałam, że coś z tobą nie tak. Przecież ty nigdy nie odmawiasz jedzenia!

Zachichotał, ale jakoś tak sztucznie, co nie umknęło uwadze Emilii. Wzruszyła ramionami, uznając, że alkohol zdecydowanie nie służy jej wnukowi, i podpierając się kulą, pokuśtykała do kuchni, aby odgrzać mu zupę.

Rozdział 4

N AWET JEŚLI EMILIA BYŁA ZDZIWIIONA, ŻE WNUK ZACZAŁ SPĘDZAĆ NA STRYCHU CORAZ WIĘCEJ CZASU, NIE DAŁA TEGO PO SOBIE POZNAĆ. Tymczasem Mikołaj czuł, że tajemnicza szkatułka przyciąga go niczym magnes. Im dłużej przyglądał się białoczerwonej opasce, tym większej nabierał pewności, że powinien poznać jej powstańczą historię.

Nie potrafił jednak rozgryźć, co ten symbol walczącej Warszawy robi na strychu jego rodzinnego domu. W pewnej chwili pomyślał nawet, że coś sobie ubzdurał, ale opaska w połączeniu z warszawskim adresem temu przeczyła. Zbyt długo zwlekał z zapytaniem babci o zawartość zagadkowego pudełka, a teraz sprawa przybrała w jego wyobraźni monumentalne rozmiary i trudno mu było się przełamać. Uznał, że gdyby Emilia chciała podzielić się z nim swoim sekretem, już dawno by to zrobiła.

W jego głowie piętrzyły się pytania. Zastanawiał się również nad ewentualnym związkiem zawartości szkatułki z rozmową, którą podsłuchał kilka dni wcześniej, jednak w końcu musiał się poddać. Nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

Bardziej wyczuł, niż zauważył czyjaś obecność. Odwrócił się, kiedy dotarł do niego zapach papierosowego dymu. Emilia przypatrywała mu się z nieukrywaniem zaciekawieniem połączonym z rozbawieniem.

– Drogi Sherlocku... – odezwała się delikatnym tonem.

Poderwał się gwałtownie z podłogi, uderzając z całej siły głową w zawieszoną dokładnie nad nim wielką deskę. Głośno jęknął z bólu.

– Babciu, co ty tu robisz? – wymamrotał, masując sobie głowę. Jak nic, będzie wielki guz.

– Bardziej zastanawiające jest to, co ty tutaj robisz. Postanowiłam w końcu sprawdzić, dlaczego spędzasz całe dni na strychu.

Mikołaj poczuł się niepewnie. Pospiesznie odłożona szkatułka była jak wyrzut sumienia. Próbował lekko kopnąć pudełko, aby schować je głębiej, ale Emilia przejrzała jego zamiary.

– Nie łatwiej byłoby mnie po prostu o to zapytać? Dziecko, nawet nie chcę sobie wyobrazić, co też przychodziło ci do głowy, podczas gdy tutaj siedziałeś i dumaleś nad zawartością tej skrzyneczki. – Roześmiała się głośno.

– Ale... twoje biodro! – zreflektował się. – Nie powinnaś tutaj wchodzić. Mogłaś spaść ze schodów lub...

Emilia nie pozwoliła mu rozwinąć myśli.

– Przecież rehabilitant nie zabronił mi wchodzić po schodach – zauważyła, całkiem zresztą słusznie. – Zalecił jedynie zachować ostrożność i robić to bez obciążania operowanej nogi. – Wbiła w niego spojrzenie. – Pokaż mi, co odkryłeś.

Schylił się po pudełko i na drżących nogach podszedł do babci. Emilia, jedną ręką wciąż opierając się na kuli, chwyciła ostrożnie drewnianą skrzyneczkę i zawahała się, jakby się zastanawiała, czy jej otwarcie nie obudzi wspomnień.

Mikołaj widział wszystkie emocje malujące się na jej twarzy. Zdawał sobie sprawę z tego, że myślami jest bardzo, bardzo daleko, a konkretnie, jeśli się nie mylił, w bombardowanej przez Niemców Warszawie. Zrozumiał już, że musiała wówczas być w stolicy, innego wyjaśnienia nie widział. Ale dlaczego nigdy o tym nie mówiła? Wprawdzie czasem opowiadała o siostrze, która do końca życia mieszkała pod Warszawą, bodajże w Żyrardowie, ale nie wspominała, że sama kiedykolwiek przebywała w tej okolicy. Wręcz przeciwnie – broniła się rękami i nogami przed wyjazdem na Mazowsze. To ciotka Łucja, kiedy jeszcze żyła, odwiedzała ich w Libiążu, nigdy odwrotnie.

– A więc przeszłość upomniała się również o ciebie – powiedziała Emilia zachrypniętym głosem, po czym oddała mu szkatułkę i zachęciła gestem, by ją otworzył. Podał jej wysłużony kawałek materiału, a kiedy spojrział w jej oczy, od razu zrozumiał, jak wiele znaczy dla niej ten skrawek.

Pogładziła opaskę i przyłożyła ją do ust. Mikołaj odwrócił wzrok. To była bardzo intymna chwila.

– Nie otwierałam tej szkatułki od trzydziestu lat, dasz wiarę? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – To już tyle czasu... Helena była wówczas młodsza niż ty teraz. Miała z siedemnaście lat. Tyle czasu, tyle czasu...

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do niego sens wypowiedzianych przez babcię słów.

– Chcesz powiedzieć, że mama... wie? – wyszeptał.

Miał wrażenie, że jeśli będzie mówił zbyt głośno, odbierze tej chwili całą magię.

– Oczywiście. – Emilia uśmiechnęła się smutno. – A żeby było śmieszniej, również trafiła na to pudełko zupełnie przypadkiem, i tak jak ty nie potrafiła się powstrzymać przed jego otwarciem. Najwyraźniej rodzinna tajemnica ma moc przyciągania kolejnych pokoleń. – Skrzywiła się z bólu. – Niewygodnie mi się stoi, a tutaj nawet nie ma gdzie usiąść. Może zejdziemy na dół?

– Oczywiście. – zgodził się ochoczo, ale po chwili się zawahał. – Ale co z tym? – Gestem wskazał na skrzyneczkę, która wywołała całe zamieszanie, ale babcia już się odwróciła i ruszyła w stronę schodów. Był przekonany, że się uśmiecha.

– Skoro już ją otworzyłeś, to chyba możesz ją zabrać ze sobą.

Kilka minut później siedzieli na tarasie, a szkatułka leżała między nimi na szklanym stoliku, boleśnie przypominając Emilii o jej największej stracie. Nie mogła opanować drżenia rąk, gdy odpalała papierosa. Zaciągnęła się mocno. Chciała, aby dym dotarł do każdego pęcherzyka w płucach, żeby wypełnił je boleśnie. Mikołaj czekał cierpliwie. Wiedział, że nie powinien jej poganiać.

Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni opowiadała o swoich wojennych przeżyciach. Właściwie mówiła o tamtych wydarzeniach tylko raz, trzydzieści lat temu, ale Helena nie rozumiała. Emilii wydawało się, że jej słowa zrobiły wrażenie na siedemnastoletniej wówczas córce, ale prawda ani nie pogorszyła, ani nie naprawiła ich relacji. Helena była dość obojętna na traumę, która naznaczyła życie matki, a więc także życie jej samej.

Emilia powoli wypuściła dym. Nie lubiła mówić i palić. Rozmowa psuła całą przyjemność palenia. Nadawała tej czynności niepotrzebny pośpiech, a ona była już w takim wieku, że nie spieszyła się absolutnie nigdzie.

– Od czego by tu zacząć... – odezwała się, kiedy już zgasła papierosa.
– Może od początku? – zasugerował Mikołaj.
– Jak się zapewne domyślasz, wszystko zaczęło się w Warszawie. – Zatrzymała się na chwilę. – Albo nie tak. Inaczej. Może lepiej zacząć od końca? – Poruszyła się niespokojnie. – Nie potrafiłam kochać twojego dziadka i twojej mamy w takim stopniu, w jakim na to zasługiwali. Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem, a więc zapewne się domyśliłeś, że adresat tych listów był mi kiedyś bliski. Bardzo.

Przytaknął milcząco. Rzeczywiście, do tego zdołał dojść sam.

Miał mnóstwo pytań. Nie wiedział, od którego zacząć, ale postawił w końcu na to najmniej intymne.

– Dlaczego nigdy nie wysłałaś tych listów?

– Do tego dojdziemy później. – Emilia wykonała dłonią gest, jakby chciała go powstrzymać. – Dużo później... Chcę, żebyś wiedział, że dopiero twoje pojawienie się na świecie wyrwało mnie z marazmu, w jakim się znalazłam na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego roku. Ty urodziłeś się w dziewięćdziesiątym szóstym, a więc mamy prosty rachunek – przez pięćdziesiąt dwa lata byłam zgorzkniałą babą, wrzodem na dupie dla swoich bliskich – oznajmiła takim tonem, jakby właśnie informowała go, że w markecie jest promocja na piersi z kurczaka.

– Babciu! – Zszokowało go to wyznanie. Nie wiedział, czy był bardziej zdziwiony treścią, czy formą.

– Ależ to prawda! Mówię, jak było. – Rozłożyła bezradnie ręce, pociągając łyk chłodnego kompotu truskawkowego. – W każdym razie przelałam na ciebie całą miłość, której istnienia nie byłam świadoma. Kiedy Helena wyjechała... – Odchrząknęła nerwowo. – Dziecko, możesz mnie za to zniechęcić, ale poczułam ulgę. W końcu miałam wrażenie, że wszystko jest na właściwym miejscu. Byliśmy tylko my! Dzisiaj wiem, że popełniłam błąd, pozwalając jej na wyjazd. Mogłam się nie zgodzić, powiedzieć, że się tobą nie opiekuję. Musiałaby zostać, bo nie była aż taką złą matką, żeby zostawić cię na pastwę losu. Ale ja... – zawahała się. – Ja życzyłam jej szczęśliwej podróży i przyjęłam cię z otwartymi ramionami.

Mikołaj nie wiedział, jak zareagować na wyznanie babci, więc uparcie milczał. Gdzieś zza płotu docierało gdakanie kur, które nagle zaczęło go irytować, chociaż wcześniej nie zwracał na nie uwagi.

– Chyba dobrze zrobiłaś – stwierdził ostrożnie. – W końcu ona i tak miała w głowie tylko ten swój szalony plan...

– Dzisiaj postąpiłabym inaczej – powiedziała Emilia zdecydowanym tonem. – Czasu nie cofnę, ale mam nadzieję, że brak matczynej miłości nie odbije się na twoim życiu. Chociaż kiedy patrzę na swoją córkę... – Przełknęła głośno ślinę. – Obawiam się, że możesz podzielić jej los.

– Ale ta szkatułka... – Przywrócił jej myśli na właściwe tory.

Emilia poprawiła się na krześle, krzywiąc się przy tym nieznacznie.

– Czy wiesz dlaczego nigdy nie podzieliłam się z tobą tą opowieścią? – Nawet nie czekała na jego odpowiedź. – Chciałam pozostać w twoich oczach ideałem. Poza tym, no cóż... – Skrzyżowała ręce na wysokości klatki piersiowej. – Urodziłeś się mężczyzną.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – zachnął się Mikołaj.

Emilia wyglądała, jakby nie usłyszała jego uwagi. A może jednak dotarły do niej jego słowa?

– Cieszyłam się wówczas, bo myślałam, że facetom jest zdecydowanie łatwiej na świecie. Z drugiej strony jednak wiedziałam, że nie będę mogła się z tobą podzielić moimi kobiecymi sekretami. To był świat, do którego żaden mężczyzna nie miał wstępu, chociaż walczyłam ramię w ramię z chłopakami, czasem młodszymi od siebie. – Wciągnęła do płuc powietrze. – Dziś wiem, że należy ci się prawda o przeszłości twojej rodziny. Tak, Mikołaju. Byłam żołnierką Armii Krajowej i brałam udział w najkrwawszym egzaminie w historii stolicy. A dziś nadszedł moment, kiedy powinienam podzielić się z tobą moją historią.

Rozdział 5

Emilia

P OWIETRZE BYŁO GĘSTE OD WYCZEKIWANIA I NIEPEWNOŚCI. W ostatnich dniach lipca nie było chyba w Warszawie osoby, która nie spodziewałaby się czegoś wielkiego. Mijając się na ulicy, wymienialiśmy ukradkowe, zniecierpliwione spojrzenia, jakbyśmy pytali: Wiesz coś?!

Kilka dni przed wybuchem powstania przyszedł rozkaz o mobilizacji, ale już następnego dnia został odwołany. Każdy z nas, członków konspiracji, wiedział, że prędzej czy później powstanie się zacznie, jednak oczekiwanie dawało nam się już we znaki.

Czekaliśmy na ten moment przez długie lata. Wstępując w szeregi Armii Krajowej, mieliśmy nadzieję, że cała działalność konspiracyjna prowadzi do wybuchu powstania zbrojnego, a wszelkie inne czynności są jedynie preludium tego, co miało nastąpić. Dzisiaj słyszy się głosy, że dowódcy Armii Krajowej popełnili błąd, podejmując decyzję o rozpoczęciu walk, jednak ja wówczas myślałam – i nadal tak uważam – że nie mieli innego wyjścia.

Młodzi chcieli walczyć, aż się palili do udziału w powstaniu. Byliśmy pierwszym pokoleniem wychowanym w wolnej Polsce. Dorastałam w duchu patriotycznych wartości. Ojciec pilnował, aby zaszcześcić we mnie i w siostrze miłość, wierność i oddanie ojczyźnie. Po wybuchu wojny mama trochę studziła jego zapał z bardzo prostej przyczyny – bała się o nas.

W trzydziestym dziewiątym miałam zaledwie siedemnaście lat. Uwielbiałam obcować z przyrodą, spędzać wakacje u cici w Żyrardowie. Zaczy-

tywałam się w Sienkiewiczu i w Dąbrowskiej. Tata wiele razy powtarzał, jak wielkie szczęście nas spotkało, że urodziłyśmy się w niepodległym kraju.

Bezszelestnie otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do mieszkania. Zdążyłam kilka minut przed godziną policyjną. Henio o tej porze zazwyczaj już spał, a że wiedziałam, ile sił i nerwów kosztuje Łucję położenie synka spać, nie chciałam go budzić.

Jego pojawienie się na świecie odmieniło życie naszej małej rodziny. Wtedy byliśmy już z Łucją tylko we dwie, ale zaraz ci wszystko wytłumaczę, dojdziemy do tego. Dzisiaj pewnie wzbudzałybyśmy żywe zainteresowanie, ale wówczas wiele kobiet było skazanych na życie w samotności. Chyba nie muszę ci tłumaczyć dlaczego... W każdym razie Henio wniósł do tego przesiąkniętego zapachem śmierci domu mnóstwo radości. Każdy jego bezzębny uśmiech był jak miód na nasze zranione dusze.

Nocami słyszałam, jak Łucja łka, dość nieudolnie próbując zagłuszyć odgłosy płaczu. Nigdy do niej nie poszłam, bo co miałabym jej powiedzieć? Że wszystko się ułoży?

– Martwiłam się, że nie zdążysz przed godziną policyjną. – Łucja wyłoniła się z kuchni.

– Nie musisz się mną przejmować, poradzę sobie – odparłam, nie patrząc jej w oczy.

Moja siostra nie była ślepa. Widziała, co się wokół dzieje. Przypuszczam, że była wówczas jedną z nielicznych osób w Warszawie niezadowolonych z obrotu spraw. Kiedy sytuacja uległa zmianie, większość ludności cywilnej zaczęła patrzeć na powstańców krzywym okiem. Ale to było później.

– Zjesz coś? – zapytała, poprawiając nerwowo włosy. – Udało mi się zdobyć trochę ziemniaków, co graniczyło z cudem. W mieście poruszenie, ludzie robią zapasy.

Weszłam w głąb mieszkania. Na stoliku paliła się świeczka. Zatrzymałam wzrok na jej zmęczonej twarzy.

– Niepotrzebnie. Trzy, cztery dni i wypędzimy Niemców – oznajmiłam bez wahania.

– Naprawdę w to wierzysz? – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Nigdy nie rozmawiałyśmy o konspiracji wprost, ale Łucja i tak wiedziała. Zresztą nie tylko ona. Do Armii Krajowej należał co dziesiąty obywatel,

więc każdy znał kogoś, kto działał w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego, nawet jeśli nie mówiło się o tym wprost. Łucja była inteligentna, więc szybko się zorientowała, gdzie znikam na całe dni i co trzymam pod klapą w podłodze.

Jakiś czas wcześniej znalazła w mieszkaniu gazetki. Zmierzyła mnie wzrokiem i powiedziała:

– Do jutra ma to zniknąć, rozumiesz?

Nie była złym człowiekiem. Wojna zabrała jej matkę, ojca i męża, więc bała się nawet własnego cienia. Zawsze mówiła szeptem, chodziła ze spuszczoną głową.

Moja siostra była w ciąży, kiedy zginął Stanisław, jeden z bestialsko zamordowanych w odwecie za zabójstwo kata Warszawy¹.

¹ 1 lutego 1944 roku wykonano wyrok na kacie Warszawy, Franzu Kutscherze. W odwecie Niemcy przywieźli na Pawiak około dwustu mężczyzn i kilkanaście kobiet. W nocy z 1 na 2 lutego aresztowali kolejne 385 osób. Część z nich została rozstrzelana [wszystkie przypisy pochodzą od autorki].

Kiedy pierwszego lutego nie wrócił, miała złe przeczucia. Zawsze był w domu przed godziną policyjną. Powtarzał, że ma dla kogo żyć i że nie będzie głupio ryzykował. Gdy nie pojawił się również następnego dnia, byliśmy już pewne, że coś musiało się stać. Dzięki doskonale działającej siatce łączności mojemu ukochanemu udało się ustalić, że Stanisław był w grupie aresztowanych mężczyzn. Wszystko wskazywało na to, że został rozstrzelany.

– Co on był winien? – powtarzała Łucja. – Przecież nie miał z tym nic wspólnego. Nic!

Szalała z rozpaczy, a ja na chwilę zwątpiłam. To był jeden jedyny raz, kiedy pomyślałam: „Czy to wszystko ma sens?”. Ginęli niewinni ludzie. Kolejne kobiety traciły mężów, synów, ojców i braci. Szybko jednak pozbyłam się wątpliwości. Przecież Niemcy i tak nas mordowali! Gdybyś ty, dziecko, widział te absurdalne obwieszczenia, którymi była pooklejana Warszawa... Kara śmierci groziła nie tylko za posiadanie broni, ale też za słuchanie radia czy handlowanie słoniną na czarnym rynku!

Spojrzałam na poszarzałą twarz Łucji. Miała tylko dwadzieścia cztery lata. To niewyobrażalne, co zrobiła z nią wojna. Już wówczas jej czarne

włosy nabrały odcienia siwizny, a zmarszczki odebrały jej młody i świeży wygląd.

– Powiedziałaś mu? – spytała, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Nie wytrzymałam jej spojrzenia i spuściłam głowę.

– Na razie nie ma o czym mówić. – Próbowałam uciąć dyskusję, ale nie zamierzała dać za wygraną.

– Nie krwawisz od trzech miesięcy, jesteś wrażliwa na smaki i zapachy – wyliczyła, bacznie mnie obserwując. – Męczą cię poranne mdłości, a nie dalej jak wczoraj mówiłaś, że twoje piersi stały się obrzmiałe i bolesne. Moja droga, przechodziłam przez to zimą i zapewniam cię, że urodzisz za mniej więcej siedem miesięcy.

Wobec tych argumentów musiałam się poddać.

– Może masz rację. Ale... – przełknęłam głośno ślinę – Łucjo, to nie jest najlepszy czas. Powiem Krzysztofowi, oczywiście, że mu powiem, ale jeszcze nie teraz.

– A kiedy? – Wbiła we mnie spojrzenie.

– Jak już to wszystko się skończy. – Odwróciłam wzrok.

– Rodzice z pewnością nie byliby z ciebie dumni – powiedziała wyniosłe. – Nie tak cię wychowali. Żeby żyć z mężczyzną bez ślubu...

Zignorowałam ją i skierowałam się w stronę kuchni. Byłam głodna jak wilk, a okupacja nauczyła mnie, aby nie wybrzydzać, więc zabrałam się do czekającej na mnie porcji ziemniaków.

Łucja podążyła za mną.

– Musisz mu powiedzieć. Krzysztof jest mężczyzną z zasadami, na pewno weźmie z tobą ślub – przekonywała mnie.

Dziś wiem, że chciała dla mnie dobrze, ale wtedy zirytowało mnie to jej gadanie. Nie chciałam, żeby wtrącała się w moje sprawy.

Ze złością rzuciłam miską, wysypując przy tym kilka ziemniaków. Siostra przeszła obok mnie i starannie zaczęła zbierać jedzenie ze stołu.

– Cicho, bo obudzisz Henia!

– Łucjo, proszę cię... – jęknęłam. – Jestem wyczerpana, nie mam siły się z tobą kłócić. Nie możemy ciągle stawać po przeciwnych stronach. Pamiętaj, czego uczyli nas rodzice? – Podeszłam do niej i delikatnie położyłam dłoń na jej ramieniu. – Rodzina jest świętością. Jeśli będziemy razem, nic nam się nie stanie. Wiem, że się martwisz i nie chcesz, aby powstanie

wybuchło, ale nie musisz się na mnie wyżywać, szukając pretekstu do kłótni.

– Przepraszam. – Usiadła na krześle i schowała twarz w dłoniach. – Jestem dla ciebie okropna, wiem.

– Lusi, no co ty... Nie załamujemy się, prawda? – Podeszłam do niej i czule ją przytuliłam.

– Boję się, co z nami będzie. – Otarła łzę, która zatrzymała się na jej długich, gęstych rzęsach. – Nie wiem, czy Niemcy tak łatwo odpuszczą. Henio ma zaledwie trzy miesiące. Gdzie ja się z nim podzieję?

Nie podzielałam jej obaw i nie rozumiałam, co ma na myśli. Niebawem życie miało zweryfikować moje przekonania, ale wtedy byłam pewna, że Łucja i Henio mogą spać spokojnie.

– A gdzie miałybyś się podziać? Będziecie tutaj, w domu! Obiecuję, że jeśli tylko będę miała chwilę, przyjdę sprawdzić, czy niczego wam nie brakuje.

– Zostałabyś jutro na chwilę z Heniem? – Spojrzała na mnie zaczerwionymi od płaczu oczami. – Pobiegnę szybko do drogerii po zasypkę...

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Umówiłam się z Krzysiem, że nas odwiedzi. Chętnie zostaniemy z Heniem – zapewniłam ją. – Ale proszę cię, nie zmuszaj mnie, abym już teraz powiedziała mu o dziecku. To nie jest dobry czas. – Ścisnęłam dłoń Łucji. – Lada dzień wszystko się zmieni. Chcę, żeby poszedł walczyć skupiony, a myśl o ciąży będzie go tylko rozpraszać.

– A może właśnie będzie bardziej ostrożny, jeśli się dowie, że wkrótce zostanie ojcem? – zasugerowała Łucja.

– Lusi... – westchnęłam ostentacyjnie. – Przepraszam, ale pozwól, że sama będę o tym decydować. Podjęłam już decyzję: powiem Krzysowi, kiedy cali i zdrowi wrócimy z powstania – oznajmiłam z przekonaniem. – Nie chcę, żeby działał pod wpływem emocji. A kiedy już wypędzimy Niemców z Warszawy... wszystko stanie się prostsze.

Jej spojrzenie wyrażało dezaprobatę, ale już nic nie powiedziała. Z pokoju dobiegał płacz niemowlęcia. Łucja wstała od stołu i poszła do Henia.

Kolejnego dnia od samego rana przygotowywałam się do wizyty narzeczonego. Kobiety mają taką wewnętrzną potrzebę, aby zadbać o ukochanego, nakarmić go, wyprawić. Czują się wtedy potrzebne. Byłam zdesperowana, żeby upichcić coś dla Krzysia, a że w spiżarni były tylko ziemniaki, fa-

sola i kilka buraków... A bo to pierwszy raz gotowałam coś z niczego? Wojna trwała od pięciu długich lat, a głód już dawno stał się nieodłącznym elementem codzienności. Przez cały okres okupacji nie najadałam się do syta. I nie byłam wyjątkiem.

Czekałam na Krzysia, ale on wciąż się nie pojawiał. Ten, kto nie przeżył wojny, nie zrozumie tego strachu o najbliższych. Dzisiaj pewnie dziewczyna zezłościłaby się na ukochanego, przekonana, że ten wystawił ją do wiatru, ale w tamtych czasach każda minuta spóźnienia była źródłem lęku o życie drugiej osoby. Uliczne łapanki i egzekucje były na porządku dziennym, a my z Krzysiem działaliśmy w konspiracji. W każdej chwili mogliśmy wpaść.

W końcu usłyszałam cichutkie pukanie. Łucja wyszła przed godziną, a Henio zasnął w końcu twardym snem. Na palcach, żeby go nie obudzić, poszłam otworzyć drzwi i od razu rzuciłam się Krzysztofowi w ramiona.

– Jesteś! Zaczynałam się niepokoić – wyszeptałam.

Wszedł do środka i od razu skierował się do kuchni. Nawet nie musiałam mu pokazywać, gdzie ma iść. W naszym domu życie od dawna toczyło się głównie w tym pomieszczeniu, co Krzysztof bezbłędnie wyczuł już podczas pierwszej wizyty.

Oczami wyobraźni znów widziałam tatę i Krzysia siedzących przy kuchennym stole i wpatrujących się w siebie z napięciem. Byłam ukochaną córeczką tatusia i było oczywiste, że ojciec nie odda mnie tak łatwo innemu. Poza tym tata zawsze był człowiekiem honoru, a przed wojną obiecał już moją rękę innemu. Ślad po Janie zaginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Nigdy nie napisał ani do mnie, ani do swoich rodziców. Moja niedoszła teściowa wciąż nie dopuszczała do siebie myśli, że jej jedynemu synowi coś mogło się stać, ale była chyba jedyną osobą, która wierzyła w jego powrót. Nowa miłość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. W końcu i tata musiał zaakceptować uczucie, które połączyło mnie i Krzysztofa.

– Miła, dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada. – Głos ukochanego wyrwał mnie ze wspomnień.

Machnęłam lekceważąco ręką, postanawiając zainteresować Krzysia zawartością garnka.

– Ugotowałam dla ciebie obiad – oznajmiłam z dumą, która uleciała, kiedy tylko przypomniałam sobie, czym tak naprawdę zamierzałam uraczyć

ukochanego. – To nic wielkiego, właściwie tylko zupa z ziemniaków, fasoli i buraków, coś jakby barszcz, ale...

– Ale jestem pewien, że będzie mi nieziemsko smakować – przerwał mi, uśmiechając się szeroko. – Dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

Czasem w krótkich chwilach beztroski wyobrażałam sobie, że jesteśmy z Krzysztofem małżeństwem, on właśnie wrócił z pracy, a wojny wcale nie ma. Nie potrafiłam myśleć o przyszłości. Dla mojego pokolenia była ona jedną wielką zagadką. Wiedziałam, że może nigdy nie nadejść, dlatego bezpieczniej żyło się w alternatywnej rzeczywistości. Lubiłam sobie wyobrażać, co by było gdyby, chociaż wówczas odzywały się wyrzuty sumienia. Gdyby nie wybuchła wojna, z pewnością wyszłabym za Janka. „Na cudzym nieszczęściu szczęścia nie zbudujesz”, przypomniały mi się słowa siostry i odruchowo się wzdrygnęłam.

– Smakuje ci? – zapytałam, bacznie obserwując Krzysztofa.

Potwierdził skinieniem głowy.

– A ty dlaczego nie jesz? – Łypnął na mnie znad talerza.

– Jadłam już wcześniej – odpowiedziałam, wruszając ramionami.

Poczekaliśmy, aż Krzysiek zje zupę i zapytałam go o to, co interesowało mnie najbardziej.

– Wiesz już coś?

– Czekamy na to, co zrobią Niemcy, Niemcy czekają na kolejny ruch Sowietów, a akowcy na rozkaz do powstania. – wyrzucił z siebie na jednym wdechu. – Podobno Niemcy się wzmocnili i znów ciągną na wschód.

– Wczoraj przez cały dzień biegałam z meldunkami. Mało brakowało, a nie zdążyłabym przed godziną policyjną wrócić do domu.

– To gorący czas. Spodziewamy się rozpoczęcia bitwy o Warszawę w każdej chwili – powiedział Krzysztof, ale w jego głosie nie usłyszałam oczekiwanego entuzjazmu.

Spojrzałam na niego czule.

– Tak długo na to czekaliśmy, prawda?

Ścisnął mocno moją rękę.

– Moja Mila, moja miła – wyszeptał.

Nikt nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił. Ta swoista gra słów była zarezerwowana dla mnie i dla Krzysia. Kiedy wstępowałam do konspiracji i zapytano mnie, jaki pseudonim sobie wybrałam, odpowiedziałam bez zastanowienia. Mila.

Cisza przedłużała się. Do mieszkania wdzierало się upalne powietrze. Tak, lato czterdziestego czwartego roku było bardzo ciepłe i słoneczne.

Krzyś odchrząknął nerwowo.

– Gdyby coś mi się stało... – zaczął nieśmiało.

– Ciii. – Położyłam palec na jego ustach. – Nic nie mów.

– Mila... – Przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. – Boję się o ciebie. Nigdy nie przypuszczałem, że można kochać kogoś tak mocno. Do utraty tchu. Jesteś moją pierwszą myślą po przebudzeniu i ostatnią, kiedy kładę się spać. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Coraz częściej się zastanawiam, czy to dobry pomysł, żebyś szła do powstania.

Wyrwałam się z jego uścisku.

– Przecież składałam przysięgę! – zawołałam oburzona. – Jestem członkinią Armii Krajowej, nie mogę stchórzyć. Zapomniałeś? „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary życia mego”².

² Rota przysięgi Armii Krajowej zatwierdzona w styczniu 1942 roku ze zmianami z 12 grudnia 1942 roku.

– Organizowana w konspiracji armia nigdy nie dorówna pod względem jakości i ilości uzbrojenia regularnemu wojsku – powiedział, nie patrząc mi w oczy.

Odwróciłam się od niego tyłem. To nie był ten Krzyś, jakiego poznałam i pokochałam.

– Brzmi to bardzo pesymistycznie – zauważyłam ze smutkiem.

– Raczej realistycznie – prychnął.

Uniosłam wysoko brwi. Od jakiegoś czasu obserwowałam, jak wygasają w nim wiara w słuszność sprawy i nadzieja na zwycięstwo. Czyżby zwątpił?

– Więc dlaczego idziesz do powstania?

– Dostałem rozkaz – wyjaśnił krótko.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową. Święcie wierzyłam w to, że powstanie potrwa kilka dni, tak jak przewidywało dowództwo Armii Krajo-

wej. Przecież znali się na rzeczy, wiedzieli, na co się porywają! W ogóle nie brałam pod uwagę innej możliwości.

– Zobaczysz, wypędzimy Niemców w ciągu trzech, czterech dni. Sowietci są już blisko, na pewno nam pomogą.

– Miła, Sowietci nie są naszymi sprzymierzeńcami, a sprzymierzeńcami naszych sprzymierzeńców. To kolosalna różnica – pouczył mnie, a ja poczułam się jak zrugane przez rodzica dziecko.

– Zanim tutaj dotrą, będzie po wszystkim! – zapewniłam go. Ileż we mnie było młodzieńczej wiary i nadziei!

– Brakuje nam broni – zauważył posępnie. – Oni mają żołnierzy, czołgi, cekaemy. A my? Trochę pistoletów i granatów. Coraz głośniej się mówi o tym, że będziemy musieli oszczędzać pociski i radzić sobie sami. Podobno mamy zdobyć broń we własnym zakresie!

– To ją zdobędziemy – rzuciłam szybko. – Czekaliśmy na to tak długo. Nie psuj tej chwili czarnowidztwem. Mamy przewagę nad Niemcami – przypomniałam mu. – Znamy miasto. Jesteśmy u siebie! Musimy w końcu głośno to powiedzieć. Przecież wiesz, że nie możemy czekać, aż nas wszystkich pozabijają. Nie ma innego wyjścia! Znosiliśmy łapanki, egzekucje, bydlęce traktowanie i masową zagładę Żydów, a teraz mówimy „dość”.

Krzysztof westchnął głośno.

– Ja to wszystko wiem i dotychczas byłem przekonany o słuszności powstania. Tylko... czy to jest dobry czas? – Zmarszczył czoło.

– Lepszego nie będzie. – Musnęłam delikatnie wargami jego usta, a on nie pozostał mi dłużny.

Liczyło się tu i teraz. Nie planowaliśmy przyszłości na następne lata, a nawet miesiące. Istotne były tylko najbliższe godziny, a ja wierzyłam, że te przyniosą upragnioną zmianę.

* * *

Pierwszego sierpnia rano dotarł do mnie meldunek, na który czekałam od kilku dni. Spojrzałam na siostrę z mieszaniną strachu i podekscytowania, lecz ona odwróciła głowę. Potem poszła do Henia i zamknęła się z nim w pokoju.

Biegałam po mieście i roznosiłam rozkazy. Ten dzień różnił się od wszystkich innych. Nie spotkałam żadnego Niemca, co wówczas wydawało mi się szczęśliwym zrządzeniem losu, lecz później dało mi do myślenia. Musieli wiedzieć, że coś się szykuje. Warszawa roiła się od młodych chłopców i dziewcząt. Wyróżniali się dość niecodziennym strojem. To był bardzo ciepły i słoneczny dzień, tymczasem na ulicach spotkałam mnóstwo ludzi ubranych w grube skarpety, ciężkie buty, z plecakami. Uśmiechaliśmy się do siebie ukradkiem. Każdy z nas gdzieś się spieszył, kogoś szukał, na coś czekał.

Gdzieś tam po drodze natknęłam się na Jadzię, którą znałam jeszcze z gimnazjum. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo.

– Idziesz?

– Idę!

O czternastej byłam już wolna. Do godziny W pozostało jeszcze trochę czasu, więc postanowiłam pożegnać się z Łucją. Kiedy weszłam do domu, w jej oczach pojawiła się nadzieja. Nie mogłam na to patrzeć, spuściłam wzrok i w milczeniu zaczęłam się pakować. Do powstania wzięłam trzy zmiany bielizny i trzy bluzki, w końcu miało potrwać tylko kilka dni. Wprawdzie dowództwo zaznaczyło, żeby zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ale przecież nie mogłam paradować przed Krzysiem i innymi chłopakami w jednej bluzce! Jak się okazało, nie tylko ja tak myślałam. Dziewczyny zabrały z domu sukienki na zmianę, a jedna z koleżanek wzięła nawet szminkę i puder, czym sprowokowała żarty kolegów.

– Emilka, moja mała siostrzyczka... – Nawet nie zauważyłam, że Łucja od dłuższej chwili mi się przygląda.

– Lusia...

– Uważaj na siebie, dobrze? – poprosiła, powstrzymując łzy.

Skinęłam powoli głową.

– A ty na siebie i na Henia. Jeśli tylko będę mogła, zajrzę do was, ale to może być gorący czas.

Usiadła na zapadającym się łóżku. Czułam w gardle wielką, dławiącą gulę. Nigdy nie lubiłam pożegnań, nawet jeśli miałam się zegnać tylko na krótki czas.

– Tata byłby z ciebie dumny – zauważyła posępnie Łucja.

– A mama z pewnością nie.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Mama też byłaby dumna, tylko najpierw musiałaby się trochę o ciebie pomartwić. – Potarła dłońmi ramiona, jakby chciała się ogrzać. – Już słyszę jej słowa: „Nieodrodna córeczka tatusia. Że też zachciało jej się w wojaczkę bawić! Wojna to męska sprawa”.

Nie potrafiłam już opanować łez.

– Brakuje mi ich – wychrypiałam.

– Mnie również – przyznała ze smutkiem. – Tata też walczył, ale inaczej niż ty.

– W walce z okupantem nieodzowne są edukacja i kultura – powtórzyłam słowa ojca. – Wyznaczają przyszłość narodu.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, aż dzwoniła w uszach.

– Musisz już iść? – Łucja jako pierwsza przerwała milczenie.

– Tak.

Podniosła się z łóżka. Byliśmy tego samego wzrostu, więc stojąc naprzeciwko, patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

– Powodzenia, Emilko. Wróć do nas szybko. Tylko ty nam zostałeś i...

Uciszyłam ją ruchem dłoni.

– Nie kończ. Za kilka lat to wszystko będzie tylko złym snem, a nasze dzieci będą się razem bawić w nowym, lepszym świecie. Wrócę, obiecuję.

Przytuliłyśmy się mocno. Mogłyśmy się nie zgadzać w wielu kwestiach, ale siostrzana więź była silniejsza niż wszelkie spory.

Wybiegłam z domu, nie oglądając się za siebie. Syreny fabryczne zawyły, ale tym razem było to hasło do walki, a nie do pracy. Godzina W zatrzymała życie milionowego miasta. Na ulicach mijałam cywilów biegnących do domów. Słyszałam pierwsze strzały, widziałam młodych ludzi z białoczerwonymi opaskami, którzy próbowali kierować zdeorientowaną ludność cywilną do mieszkań. Od tej chwili dzieliliśmy się na nas, żołnierzy, i na cywilów potrzebujących wyjaśnień i wsparcia.

– Na Żoliborzu podobno już się zaczęło. – Nagle pojawiła się obok mnie koleżanka, którą znałam jeszcze z czasów sprzed konspiracji. W podziemiu nasze drogi już wielokrotnie się krzyżowały. Moje życie już wtedy dzieliło się na to, co było przed przystąpieniem do walki, i na to, co nastąpiło później.

– Zośka! To naprawdę ty?

Okazało się, że dostałyśmy przydział do jednego oddziału.

Wpadliśmy na miejsce zbiórki dosłownie w ostatnim momencie przy akompaniamencie strzałów. Atmosfera była wyjątkowa: ogromna radość, wiara w zwycięstwo i chęć do walki. Jak mogłoby nam się nie udać z takim nastawieniem?

Rozdział 6

Emilia

MIŁOŚĆ – CZY BYWA NIEWŁAŚCIWA? Zdecydowanie więcej szkody może wyrządzić jej brak. Kiedy ludzie kochają, starają się być lepsi, nie tylko dla ukochanej osoby, ale też dla całego świata. W czasach, kiedy zło i nienawiść rozpanoszyły się po całej Europie, bardzo potrzebowaliśmy miłości, bo niosła nadzieję i pozwalała zachować człowieczeństwo.

Już pierwsza zima w okupacyjnej rzeczywistości dała nam się mocno we znaki. Pierwszy śnieg spadł w październiku, a potem było już tylko gorzej. Z każdą kolejną zimą w moje serce wkradał się przesywający chłód. Powybijane szyby, przejmujące zimno, długie noce... Z roku na rok było coraz gorzej.

W listopadzie czterdziestego drugiego zmarła mama, a kilka tygodni później poznałam Krzysztofa. Mocno wierzyłam w to, że to właśnie ona przyczyniła się gdzieś tam z góry do tego, że nasze ścieżki się przecięły. Po wybuchu wojny podupadła na zdrowiu i już nigdy nie wyzdrowiała. Odeszła nocą z uśmiechem na ustach. Dla niej ten koszmar już się skończył.

Tamtej nocy przyśniła mi się po raz pierwszy od śmierci. Pamiętam, że we śnie spojrzała na mnie czule i powiedziała: „Emilko, przyszłość jest taka niepewna. Nie rezygnuj z tego, co podsuwa ci los”.

Obudziłam się złana potem. Co takiego próbowała przekazać mi mama? Z czego miałam nie rezygnować?

Na tajnych kompletach zdałam maturę i rozpoczęłam studia na Wydziale Polonistyki tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Tata pękał z dumy. Sam był wieloletnim pracownikiem warszawskiej uczelni i wielkim patriotą. Gdy po zlikwidowaniu szkolnictwa średniego i wyższego w Generalnym Gubernatorstwie w grudniu trzydziestego dziewiątego roku zaczęły działać ośrodki tajnego nauczania, nie wahał się ani chwili. Dla niego było jasne, że musi zapewnić solidne wykształcenie kolejnym pokoleniom młodych Polaków.

Święta Bożego Narodzenia zbliżały się wielkimi krokami. Tylko o świąteczną atmosferę z roku na rok było coraz trudniej. Ze smutkiem myślałam o nadchodzących dniach. Co to za święta bez mamy? Grudzień był wyjątkowo mroźny, ale nawet najgorsza pogoda nie zmusiłaby mnie do tego, aby zrezygnować z tajnych kompletów. Uwielbiałam te zajęcia! Kiedy zdelegalizowano szkolnictwo średnie i wyższe, stało się jasne, że Niemcy próbują zniszczyć polską kulturę, ale te próby przynosiły tylko odwrotny skutek. Z jeszcze większym zapałem uczęszczaliśmy na zajęcia, mimo że groziła za to najsurowsza kara.

Tego dnia po tajnych kompletach miał się odbyć spektakl. Skrzyknęliśmy się w mieszkaniu jednej z koleżanek, a nasza wykładowczyni skontaktowała się z artystami amatorami.

– Grupa teatralna przyjęła moje zaproszenie i zgodziła się wystawić dla was sztukę – powiedziała z uśmiechem pani doktor. – To świąteczny prezent dla moich ulubionych studentów.

Mieszkanie, w którym odbywały się zajęcia, opuszczaliśmy w niewielkich grupkach. Dom Moniki, w którym mieliśmy się spotkać z aktorami, stał dosłownie dwie ulice dalej, więc dotarliśmy tam bez większych przygód. Było tak przeraźliwie zimno, że nawet Niemcom nie chciało się wyściubiać na zewnątrz nosa. Przynajmniej żadnego nie spotkaliśmy.

Rozsiadaliśmy się wygodnie z koleżankami, ciekawe, co też przygotowała nasza ulubiona wykładowczyni. Zawsze dbała o to, aby zajęcia nie były nudne, a dodatkowo często organizowała nam czas po wykładach. Na samym początku roku urządziła koncert, nie bacząc na to, że odgłosy dobiegające z prywatnego mieszkania mogą zainteresować Niemców. Powtarzała nam, że wszystkich nas przecież nie zabiją. Była niewiele starsza od nas,

więc kierowały nią młodzieńczy idealizm i wiara w wyższą sprawiedliwość. Kilka miesięcy później już nie żyła. Wpadła podczas ulicznej łapanki. Miała przy sobie gazetki konspiracyjne. Niemcy ją torturowali, ale nie zdradziła żadnych nazwisk. Zmarła w wyniku odniesionych ran. To był dla nas wszystkich ogromny cios.

Do pokoju weszła grupa aktorów. Moją uwagę przyciągnął od razu młody mężczyzna, którego kojarzyłam, gdyż był bratem mojej koleżanki z gimnazjum. Nigdy nie byłyśmy sobie bliskie, ale zawsze serdecznie witałyśmy się na ulicy. Kilka razy szła z bratem. Wiedziałam, że jest w konspiracji, bo mignął mi gdzieś podczas jednej z akcji, w których brałam udział jako harcerka.

Zaczerwieniłam się, kiedy skinął w moją stronę głową. Poznał mnie! Koleżanki od razu spojrzały na mnie z zainteresowaniem.

– Kto to? – Zosia z natury była ciekawska. – Znasz go?

– To brat mojej znajomej – rzuciłam nonszalancko, wzruszając ramionami, ale w środku wcale nie byłam taka spokojna.

Ucieszyłam się, że mnie poznał. Kiedy chodziłyśmy do gimnazjum, wszystkie dziewczyny z klasy chciały przyjaźnić się z jego siostrą, żeby znaleźć się bliżej niego. Wtedy nie interesowałam się jeszcze chłopakami, ale teraz... Przełknęłam ślinę, próbując odpędzić od siebie natrętne myśli.

Nawet nie wiedziałam, jak ma na imię, a jednak wzbudzał we mnie zainteresowanie. Chciałam poznać jego zwyczaje, dowiedzieć się, czym się zajmuje i jak wygląda jego dzień. Wydawał mi się taki tajemniczy. Kiedy czekał na rozpoczęcie spektaklu, z jego twarzy nie sposób było wyczytać żadnych emocji. Dopiero gdy wszedł gładko w postać Kirkora, który postanowił wziąć sobie „żonę z ludu”, coś w nim drgnęło i zmienił się nie do poznania. Zachwyciła mnie jego gra aktorska, naturalny dar do wcielania się w kogoś innego. Tego wieczoru patrzyłam tylko na niego.

– Psyt. – Gdzieś po mojej lewej stronie rozległ się teatralny szept. – Emilko, czyżbyś się zakochała?

Moje koleżanki zachichotały, ale ja nie zwracałam na nie uwagi. Nie mogłam oderwać wzroku od przejmującego spojrzenia młodego mężczyzny.

Był wysoki, bardzo wysoki. Regularne rysy dodawały jego twarzy szlachetności, a błękit oczu kojarzył mi się z niebem w bezchmurny dzień. Kie-

dy tak mu się przyglądałam, pomyślałam o innych oczach, zielonych. Czy jeszcze kiedyś spotkam Jana? Czy w ogóle miałam na kogo czekać?

Wiedziałam, że nie wypada, aby kobieta tak otwarcie wpatrywała się w mężczyznę, jednak po prostu nie byłam w stanie przestać na niego zerkać. Odtwórca roli Kirkora zrobił na mnie ogromne wrażenie. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie zaintrygował mnie do tego stopnia.

Po przedstawieniu rozległy się gromkie brawa, a potem wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Przy drzwiach czekała pani Ludmiła i wypuszczała nas małymi grupkami co kilka minut. Pojawienie się na ulicy dużej grupy mogłoby zwrócić uwagę Niemców, nawet jeśli nie spotkaliśmy wcześniej żadnego po drodze.

Długo ociagałam się z wyjściem, aż moje ślamazarne ruchy zwróciły uwagę Zosi.

– Rozumiem, że zostajesz po autograf?

– Nie opowiadaj głupot, przecież zbieram się i wychodzę z wami! – Aż się zarumieniłam.

Tęsknie spojrzałam w stronę mężczyzny i powoli skierowałam się do wyjścia. Jęknęłam w duchu, kiedy pomyślałam, że na ponowne przypadkowe spotkanie nie mam co liczyć, ale nie zamierzałam się narzucać. Honor by mi na to nie pozwolił. Dołączyłam do koleżanek. Po kilkudziesięciu metrach musiałyśmy się rozstać: Zosia i Róża skręciły w prawo, a ja poszłam dalej, przyspieszając, gdyż wokół panowały egipskie ciemności, a godzina policyjna była coraz bliżej. Wołałam nie ryzykować. Nagle usłyszałam za sobą czyjeś kroki i przeraziłam się nie na żarty. Nerwowo się odwróciłam i... zobaczyłam chłopaka z przedstawienia! Z wrażenia stanęłam w miejscu i nie byłam w stanie się odezwać.

– Coś się stało? Może odprowadzę panią do domu? – zapytał, zatrzymując się tuż obok mnie. – Niebezpiecznie chodzić samej o tej porze.

Rozejrzałam się nieprzytomnie, czy oprócz mnie jest na ulicy jeszcze ktoś, ale nie, okolica była wyludniona. Mówił do mnie! Stopniowo odzyskiwałam zdolność trzeźwego myślenia. Było minus piętnaście stopni, a ja mogłabym przysiąc, że nagle temperatura wzrosła sporo powyżej zera.

– Ale... jak pan potem wróci do domu? Zaraz się zacznie godzina policyjna.

– Mam swoje sposoby. – Uśmiechnął się szeroko, a ja wręcz usłyszałam bicie mojego szalonego serca, które próbowało wyrwać się z klatki piersiowej. Co się ze mną działo?

– W porządku. Będzie mi bardzo miło, jeśli potowarzyszy mi pan w drodze do domu.

– W którą stronę idziemy?

Gestem wskazałam kierunek. Ruszyliśmy, a ja co chwila na niego zerkałam, jakbym chciała sprawdzić, czy naprawdę tam jest i czy jego obecność nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Często ostatnio na siebie wpadamy.

Zauważył mnie! Miałam ochotę skakać z radości, ale nieco spokojniejsza strona mojej natury od razu zrugała tę wewnętrzną wariatkę. I cóż z tego, że cię skojarzył? To nic nie znaczy. Po prostu jest uprzejmy.

– Rzeczywiście, Warszawa jest mniejsza, niż mogłoby się wydawać – odpowiedziałam nonszalancko, wygrzebując z otchłani pamięci imię jego siostry. – A co u Grażynki?

Spojrzał na mnie smutno, a ja zamarłam i zasłoniłam dłonią usta.

– O mój Boże... Przepraszam, nie miałam pojęcia!

– W porządku, nic się nie stało, że pani zapytała – zapewnił mnie, po czym dodał, wzdychając przy tym głośno: – Śmierć w tych trudnych czasach zbiera krwawe żniwo.

– Moja mama zmarła miesiąc temu. – Nagle usłyszałam własne słowa. Nigdy nie zwierzałam się ze swoich problemów, a tymczasem w obecności tego tajemniczego mężczyzny przyszło mi to bez problemu. Nie znałam nawet jego imienia, a niemal zdążyłam mu opowiedzieć historię rodziny. – Szczęście w nieszczęściu, że nie zginęła z rąk hitlerowców. Zabrała ją choroba. Mama zawsze była słabego zdrowia, a wojna ją dobiła.

– Grażynka nie miała tego szczęścia. – Zadziwiające, że oboje uważaliśmy, że śmierć w wyniku choroby była „szczęściem”. – Została rozstrzelana, a wcześniej...

Nie musiał kończyć. Spuściłam głowę. W okupacyjnej rzeczywistości gwałty na młodych dziewczynach nie były niczym niezwykłym.

– Przykro mi. – Nie wiedziałam, co mogłabym więcej powiedzieć.

Szliśmy przez chwilę w ciszy, którą w końcu on przerwał.

– Nie rozmawiajmy o tym. Wokół jest tyle zła, że naprawdę nie musimy o tym gadać. Piękny księżyc... – zauważył, zatrzymując się na chwilę.

Odruchowo zerknęłam do góry.

– Ciekawe, jak tam jest. – Zamyśliłam się.

– Na Księżycu? Kto wie, może kiedyś człowiek tam dotrze?

– Ale my chyba tego nie dożyjemy! – roześmiałam się.

– Ja wierzę w potęgę ludzkiego rozumu – oświadczył z pełnym przekonaniem. – Jeszcze czterdzieści lat temu ludziom się nie śniło, że będą szybować w przestworzach, tymczasem człowiekowi udało się dorównać ptakom i podbić niebo.

Zarumieniłam się. Nie byłam najlepszym kompanem do rozmów o technice.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale mam nikłe pojęcie o temacie, jestem typową humanistką. Czasem mam wrażenie, że ostatnich kilkanaście lat spędziłam z nosem w książkach – bąknęłam nieśmiało, a na jego twarzy pojawiło się żywe zainteresowanie.

– O, a kogo pani czytuje?

– Przed wojną uwielbiałam Marię Dąbrowską, a jej powieść „Noce i dnie” jest moją ulubioną – przyznałam. – Chętnie czytywałam również Sienkiewicza i Leśmiana, ale ostatnio... jakby to powiedzieć: i czasu, i warunków brak – wyjaśniłam zawstydzona.

Z każdą minutą było coraz zimniej, a ja marzyłam, aby ten spacer nigdy się nie skończył. Było mi tak dobrze, tak lekko w towarzystwie tego nieznanego przecież mężczyzny!

– A Krzysia Baczyńskiego pani zna? To mój daleki znajomy, notabene mój imiennik.

– Widuję go czasem na zajęciach. Na polonistyce o jego wierszach jest coraz głośniejsze, ale ja... – wciągnęłam głośno mroźne powietrze do płuc – prawdę mówiąc, nie miałam okazji zapoznać się z jego poezją.

Czułam się strasznie. Ten młody mężczyzna próbował ze mną nawiązać rozmowę najpierw o zdobyczach techniki, potem o wierszach Baczyńskiego, a ja o niczym nie miałam pojęcia!

– To zrozumiałe. Tomiki jego wierszy nie są łatwo dostępne. – Zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jakiś czas temu trafił w moje ręce egzemplarz ukazującego się w Krakowie „Miesięcznika Literackiego”. Krzysó opublikował tam kilka wierszy. Spróbuję go dla pani zdobyć.

Moje serce zabiło szybciej, bo czyż nie brzmiało to jak obietnica kolejnego spotkania?

– Ależ proszę się nie kłopotać! – odmówiłam z grzeczności, chociaż miałam nadzieję, że będzie naciskać.

– To żaden problem, proszę mi wierzyć. Jeden z moich kolegów miał również tomik wierszy. Zapytam, czy nie mógłby go pani pożyczyć.

Uśmiechnęłam się nieśmiało, z wdzięcznością.

– Bardzo chętnie przeczytałabym któryś z wierszy Baczyńskiego. To jeden z najzdolniejszych twórców w Warszawie! Dziękuję.

– A pani pisze czy raczej zajmuje się teorią literatury?

– Nie, nie piszę. Mnie literatura interesuje z czysto teoretycznej strony – przyznałam. – Za to zdaje się, że pan ma wiele talentów.

Zaśmiał się w głos.

– Rozumiem, że ma pani na myśli dzisiejszy spektakl? – zapytał, a ja potwierdziłam skinieniem głowy. – To tylko taka zabawa, sposób na zapewnienie ludziom rozrywki w tych paskudnych czasach.

– Uważam, że jest pan całkiem niezłym aktorem – przyznałam. – Był pan bardzo przekonujący w roli Kirkora.

Posłał mi najbardziej czarujący z uśmiechów.

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego, niż przyjąć pochwały z pani ust i serdecznie za nie podziękować.

Przystanęłam, a on dopiero po chwili zorientował się, że się zatrzymałam.

– To tutaj – powiedziałam, wskazując kamienicę, w której mieszkałam.

Wahał się przez kilka sekund, zanim zapytał:

– Czy jutro ma pani zajęcia? Bo rozumiem, że uczęszcza pani na wykłady pani Ludmiły?

Z trudem zapanowałam nad mimiką. Nie chciałam, żeby się domyślił, jak wielką radość sprawił mi, pytając o plany na następny dzień.

– Owszem, mam zajęcia o tej samej porze co dziś. Jeszcze tylko jutro i pojutrze, a potem mamy dłuższą przerwę świąteczno-noworoczną – wyjaśniłam, poruszając skostniałymi palcami dłoni. Nie czułam zimna, ale nie można było powiedzieć tego samego o moich rękach.

Czy zatem będę mógł towarzyszyć pani w drodze do domu? A może uda nam się w któryś dzień wyskoczyć do Na Antresoli? Wystawiają tam naprawdę zabawne kabarety literackie...

Dłuższą chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałam, że właśnie zaproponował następne spotkanie. Chyba nie udało mi się ukryć, jak bardzo ucieszyła

mnie jego propozycja.

– W porządku, możemy się spotkać po moich zajęciach – odpowiedziałam dość nonszalancko, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Bardzo się cieszę. – Już zamierzał się pożegnać, ale się zawahał. – Jak pani na imię?

– Emilia.

– Emilia – powtórzył, jakby chciał sprawdzić, jak moje imię będzie brzmieć w jego ustach. A brzmiało cudownie, niczym najwspanialsza melodia! – Miła. Miła.

Przed dłuższą chwilę stałam na mrozie, patrząc mu głęboko w oczy. Nie miałam pojęcia, co się wokół mnie dzieje. Nie zwracałam na nic uwagi. Wojna, Niemcy, egzekucje, łapani – to wszystko na chwilę przestało istnieć. Jakie te niuanse miały znaczenie wobec radości, jaką sprawiło mi jego towarzystwo? Liczył się tylko on.

Gdzieś w moim sercu rodziły się już wyrzuty sumienia, a uporczywy głosik powtarzał: „Przecież obiecałaś, że będziesz czekać!”, ale ja już w tamtej chwili byłam po uszy zakochana w wyjątkowym mężczyźnie, który głęboko wierzył w to, że niebawem człowiek dotrze na Księżyc, i obiecał przynieść mi tomik wierszy Baczyńskiego.

– Pani już wie, że ja mam na imię Krzysztof. Jak Baczyński. – Jego zawiadycki uśmiech przyprawił mnie o szybsze bicie serca.

– Może darujemy sobie tę panią? Wystarczy po prostu Emilia.

– Dla mnie zawsze będziesz Miłą.

Pożegnaliśmy się, a ja jak na skrzydłach pognałam do domu, gdzie czekał na mnie już wyraźnie zdenerwowany ojciec. Kiedy tylko zamknęły się za mną drzwi, wyszedł z pokoju i spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Emilko! Gdzie ty się podziewałaś? – Zmierzył mnie wzrokiem, zatrzymując się dłużej na zarumienionych policzkach i zamglonych oczach. – No ładnie, jesteś przemarznięta do szpiku kości! Połóż się do łóżka, zaraz przyniosę ci gorącej herbaty. Jeszcze brakuje, żebyś się rozchorowała.

Skinęłam w milczeniu głową, powiesiłam płaszcz na wieszaku i poszłam do swojego pokoju. Podeszłam do okna, żeby jeszcze raz spojrzeć na oddalającego się Krzysztofa, ale jego już nie było. Westchnęłam głośno, przebrałam się i wskoczyłam pod pierzynę. Dopiero wówczas poczułam, jak bardzo zmarzłam.

Po kilku minutach do pokoju wszedł tata z „herbatą”, czyli zalanymi wrzątkiem skórkami owoców, które w tamtych paskudnych czasach często zastępowały prawdziwą herbatę.

– Dlaczego wróciłaś tak późno? Coś zatrzymało cię w mieście?

Zaprzeciżyłam ruchem głowy.

– Dzisiaj po kompletach grupa młodych aktorów wystawiła dla nas sztukę teatralną.

Tata w milczeniu pokiwał głową. Jak nikt inny znał rzeczywistość organizowanych w konspiracji zajęć.

– Dobrze się bawiłaś?

– Całkiem nieźle – przyznałam.

– Emilko – zaczął oficjalnie, więc wiedziałam, że chce mi zakomunikować coś ważnego. – Wiesz, że Łucja ze Stanisławem... oni... a raczej on... no, on po prostu nie radzi sobie w okupacyjnej rzeczywistości.

To nie była nowość. Stanisław z natury był nieporadny, a wojna odebrała mu resztki operatywności.

– I? – zachęciłam tatę, by przeszedł w końcu do meritum.

– Czy miałybyś coś przeciwko, gdyby z nami zamieszkali? Brakuje im pieniędzy na bieżące opłaty, nie bardzo mają co jeść, a...

– W porządku, tato – przerwałam mu. – Przecież wiesz, że nie mogłabym odmówić pomocy siostrze w potrzebie. Jakoś się tu wszyscy pomieścimy. A teraz, przepraszam cię, ale chciałabym iść spać. Jestem zmęczona.

Następnego dnia od samego rana zastanawiałam się, czy Krzyś, jak go nazywałam w myślach, zjawi się po moich zajęciach. Miałam kilka zadań w mieście – odebrać z Żoliborza broń, którą jeden z naszych porzucił po akcji w beczce kapusty, przenieść meldunek i rozprowadzić prasę. Nic nadzwyczajnego.

Szłam pewnie, z wysoko uniesioną głową. Z doświadczenia wiedziałam, że właśnie takie osoby wzbudzają najmniejsze zainteresowanie Niemców. Kiedy ktoś zaczynał się zachowywać niepewnie, okupanci od razu podejrzewali, że może coś ukrywać. Miałam długie warkocze i dziecienną twarz, co okazało się prawdziwym błogosławieństwem – nie zwracałam na siebie uwagi. Wszystko oczywiście do czasu, bo Niemcy dość szybko zorientowali się, że nawet dzieci przenoszą rozkazy i kolportują podziemną prasę.

Przed wyjściem założyłam swoją najlepszą bluzkę, chociaż przecież i tak nie było szans, aby ją dostrzegł pod grubym płaszczem. Termometr

wskazywał o kilka stopni więcej niż wczoraj, ale i tak było przeraźliwie zimno.

Na kompletach siedziałam jak na szpilkach. Nawet pani Ludmiła zauważyła, że jestem jakaś nieswoja i nie potrafię skupić się na nauce.

– Przepraszam – bąknęłam pod nosem. – Źle spałam.

Zosia i Róża zachichotały, jakby wiedziały, że przyczyna mojego rozkojarzenia jest zupełnie inna.

W końcu zegar wskazał upragnioną godzinę. Szybko się ubrałam i pierwsza wyszłam z mieszkania. Po chwili dogoniły mnie koleżanki, dopytując, dokąd tak się spieszę.

– Ja? Donikąd. – Ostentacyjnie wzruszyłam ramionami.

Zatrzymałam się przed kamienicą, nerwowo rozglądając się to w prawo, to w lewo. Moje niecodzienne zachowanie nie umknęło uwadze Zosi i Róży.

– Czekasz na kogoś? – zapytała ta druga.

– Ja... – Nie wiedziałam co odpowiedzieć, ale na szczęście z opresji wybawił mnie Krzysztof. Wyrósł przede mną jak spod ziemi, a jego pojawienie się wywołało szeroki uśmiech na mojej twarzy.

– Dobry wieczór paniom – powiedział głębokim głosem, a moje przyjaciółki spojrzały na siebie porozumiewawczo.

Podejrzewałam, że następnego dnia zostanę zmuszona siłą, aby wszystko im opowiedzieć, ale na razie to nie było ważne. Nie liczyło się nic poza tym chłopakiem.

– To my nie będziemy przeszkadzać. – Gdzieś z oddali dotarł do mnie głos Zosi, która, ciągnąc osłupiałą Różę, szybko oddaliła się w kierunku domu.

– Już się bałam, że nie zdążę, a tego bym sobie nie wybaczył – powiedział Krzysztof na jednym wdechu. – Idziemy?

Potwierdziłam skinieniem głowy. Tym razem wspominaliśmy czasy przedwojenne, dyskutowaliśmy o zbliżających się świętach, rozmawialiśmy o naszych rodzinach, bliskich. Tylko o Janku nie potrafiłam mu powiedzieć. Wiedziałam, że powinnam to zrobić, ale postanowiłam przemilczeć istnienie narzeczonego. Krzysztof wyglądał mi na człowieka honoru, zapewne zakończyłyby tę znajomość, gdyby dowiedział się, że na kogoś czekam. Ale czy rzeczywiście czekałam? Pogodziłam się już chyba z myślą, że Janek nie wróci. A ja... no cóż, a ja nie mogłam być pewna, czy dożyję następnego

dnia. Przyszłość nie rysowała się w jasnych kolorach, dlatego postanowiłam żyć tu i teraz.

– Przed wojną cieszyłam się na każde Boże Narodzenie, a teraz? Nie wyobrażam sobie świąt, to będzie pierwsza Wigilia bez mamy... – zauważyłam posepnie.

Tata musiał chyba czekać na mnie w oknie, bo kiedy weszłam do mieszkania, miał poważną minę. Zmierzył mnie wzrokiem i zapytał:

– Moja panno, kim był ten młodzieniec, który odprowadził cię do domu?

– To mój znajomy – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Przecież między mną a Krzysiem nie padły żadne wiążące obietnice. Jeszcze nie.

Ojciec westchnął głośno i usiadł przy stole, podpierając twarz zniszczoną dłonią.

– Jesteś już dorosła. Nie mam prawa zabronić ci się spotykać z mężczyznami, ale... Emilko, przecież ty już masz narzeczonego! – Spojrzał na mnie z rezygnacją.

– To twój narzeczonego, nie mój! – zaprotestowałam.

– Co ty też pleciesz? – Poruszył niespokojnie wąsem. – Przecież do niczego nie zostałam zmuszona. Zapytaliśmy cię o zdanie, kiedy Jan przyszedł poprosić o twoją rękę.

Bezwiednie opadłam na taboret. Zapowiadała się dłuższa rozmowa.

– Tato, ja miałam siedemnaście lat, kiedy Janek wyznał mi miłość i pojawił się ze swoimi rodzicami w naszym domu. Wiesz, że zawsze go lubiłam, przez chwilę nawet myślałam, że czuję do niego coś więcej...

– To dobry mężczyzna – powiedział tata. – Znam się z jego ojcem od trzydziestu lat i mogę cię zapewnić, że...

– Wiem. – Zachowałam się niegrzecznie, wchodząc mu w słowo. – Janek poprosił o moją rękę, a chwilę później wyjechałam na wakacje do ciotki do Żyrardowa. Kiedy wróciłam, on miał już w kieszeni powołanie do wojska i powiedział, że będzie wojna. Ja... – urwałam na chwilę. – To wszystko stało się tak szybko. Minęły trzy długie lata, a Janek ani razu do mnie nie napisał.

– Wojna to nie zabawa! – oburzył się tata. – Nie wiemy, jak potoczyły się jego losy.

– No właśnie, do tego zmierzam – wyjaśniłam, wpatrując się z napięciem w ojca. – Tato, myślisz, że ja się czuję dobrze w tej sytuacji? Dane

słowo jest świętością, a ja obiecałam, że będę czekać, tylko... widzisz, coraz częściej się zastanawiam, czy jest na kogo.

Po moich słowach zapadła krępująca cisza. Chyba po raz pierwszy wypowiedziałam na głos to, co wszyscy od dawna podejrzewali – że Janek zginął na froncie i nigdy nie wróci do domu. Nie on jeden dostał powołanie do wojska, a jednak inni pisali listy do swoich rodziców i ukochanych. Rzeczywiście, te wiadomości czasem szły długimi tygodniami, innym razem ginęły gdzieś w samym środku wojennej zawieruchy, ale jeśli ktoś się nie odezwał ani słowem przez długie trzy lata, nie napawało to optymizmem.

– Chciałbym, żebyś była szczęśliwa – odezwał się ostrożnie ojciec – ale wiesz, że honor jest dla mnie jedną z nadrzędnych wartości. Obiecałem już komuś twoją rękę, a teraz widzę, że twoje oczy błyszczą nieznanym dotąd blaskiem po spotkaniu z innym mężczyzną. – Podrapał się po łysinie. – Co ja mam robić? Wiem, że w trakcie wojny doszło do pewnego, hm, rozluźnienia obyczajów, ale nie możemy wyzbywać się naszych wartości tylko dlatego, że ona ciągle trwa.

Spuściłam bezradnie wzrok. Niby co miałabym zrobić? Tata miał rację, wiedziałam o tym od początku, a mimo to serce zdążyło szybciej zabić dla Krzysztofa. Przed chwilą się rozstaliśmy, a ja już nie mogłam się doczekać kolejnego spotkania.

– Tato, ja się zakochałam – wypaliłam ni stąd, ni zowąd.

– Od kiedy znasz tego człowieka? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Od wczoraj – odparłam.

Ojciec głośno wciągnął powietrze i przytrzymał je dłużej w płucach. Minę miał nietęgą, ale nic nie powiedział. Sam mi kiedyś wyznał, że zakochał się w mamie od pierwszego wejrzenia, nie był więc najbardziej odpowiednią osobą do prawienia mi kazań.

– Może przyprowadziłabyś go do domu? Chciałbym wiedzieć, z kim moja córka spędza czas.

Za odpowiedź posłużył siarczysty całus, który złożyłam na jego policzku.

* * *

Następnego dnia Krzysztof znów odprowadził mnie do domu. Na tajne komplety miałam wrócić dopiero w nowym roku, dlatego był to ostatni wieczorny spacer w ciągu najbliższych dni. Skądś zdobył dla mnie tomik wierszy Baczyńskiego, czym mnie mocno zaskoczył. Nie spodziewałam się, że tak łatwo mu pójdzie. Podejrzywałam, że przyjdzie mu poruszyć niebo i ziemię, tymczasem on wręczył mi książkę już dwa dni po tym, jak obiecał, że ją dla mnie zorganizuje. Później często czytaliśmy razem Baczyńskiego. Kochałam „Białą magię”, jeden z wielu wierszy napisanych dla ukochanej Basi. Ależ oni musieli być zakochani!

Powoli stawaliśmy się nierozłączni. Zaprosiłam Krzysia do nas na pierwszy dzień świąt. Wigilię miał spędzić ze swoimi rodzicami. Nic dziwnego, w końcu tylko on im został, bo Grażynkę stracili w drugim roku wojny.

To była bardzo smutna wieczerza. Puste miejsce przypominało o bolesnej stracie. Cichutko chlipałyśmy z Łucją, przełykając wodnisty barszcz z samych buraków. Tata również nie był w nastroju do rozmów. Stanisław próbował nas zająć konwersacją, w końcu jednak się zorientował, że jego starania są skazane na porażkę, więc resztę wieczoru spędziliśmy w ciszy, każdy pogrążony we własnych myślach.

W pierwszy dzień świąt atmosfera uległa zmianie. Od samego rana wyczekiwałam Krzysia, a kiedy w końcu przyszedł, z dumą przedstawiłam go najbliższemu. Łucja robiła wszystko, aby go nie polubić, ale w końcu musiała się poddać. Krzysztof był tak serdeczną osobą, że nie sposób było nie zapalać do niego sympatią. Jeszcze rano siostra robiła jawne aluzje do mojej niewyjaśnionej sytuacji z Jankiem, wieczorem jednak zmieniła front i przyznała dyplomatycznie, że mój ukochany jest czarującym i ujmującym mężczyzną, a ona nie zamierza się wtrącać.

Najbardziej obawiałam się spotkania Krzysia z tatą. Jako najmłodsze dziecko w rodzinie byłam ukochaną córeczką tatusia i ojciec często powtarzał, że byle komu mnie nie odda. Krzysztof dzielnie wytrzymał jego miazdzące spojrzenie, zdecydowanie wyciągnął w jego kierunku dłoń i przedstawił się:

– Krzysztof Andrzejewski, miło mi.

Widziałam, jak mocno ojciec ściska jego dłoń, lecz Krzyś wytrzymał to bez mrugnięcia okiem.

– Aleksander Żmigrodzki – bąknął pod nosem tata.

A potem usiedli po przeciwnych stronach stołu i przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Gdy w końcu zaczęli mówić i okazało się, że mają ze sobą wiele wspólnego, odetchnęłam z ulgą. Miałam dobre relacje z tatą i bardzo zależało mi na jego opinii.

I tak rozpoczął się nowy, czterdziesty trzeci rok, kolejny z serii tragicznych dla mojej rodziny, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałam.

Koleżanki z zazdrością patrzyły na moje szczęście. Śmiały się, kiedy wpadałam na chwilę i zaraz biegłam do Krzysia.

– Patrzcie ją, jaka zakochana! – żartowały.

Czułam, że jesteśmy z Krzysztofem jednością. Coraz głębiej wsiąkaliśmy w działalność podziemia. Krzys jeszcze w październiku trzydziestego dziewiątego przystał do Służby Zwycięstwu Polski³, aby po uformowaniu się w lutym czterdziestego drugiego roku Armii Krajowej⁴ wstąpić w jej struktury.

³ Służba Zwycięstwu Polski – organizacja konspiracyjna uważana za załączek Armii Krajowej, powołana jeszcze podczas oblężenia Warszawy 27 września 1939 roku.

⁴ Oficjalnie powstanie Armii Krajowej datuje się na 14 lutego 1942 roku.

Wiosną czterdziestego trzeciego również i ja złożyłam przysięgę i stałam się pełnoprawnym członkiem Armii Krajowej. Żołnierką walczącą o wolną Polskę. Czy się bałam? Zawsze można było zginąć, bo Niemcy mordowali zarówno cywilów, jak i żołnierzy. Jak można było nie wstąpić do konspiracji, skoro śmierć i tak czyhała na każdym kroku?

Nie byłam bohaterką. Wokół było wielu bohaterów, którzy dokonywali wielkich rzeczy. Ja robiłam to, co musiałam: nic wielkiego.

Zabijanie nie pasowało mi do kobiecości. Nigdy do nikogo nie mierzyłam z pistoletu, nikt nie zginął z moich rąk. Nie bezpośrednio. Przenosiłam broń, odbierałam pistolety z kryjówek. W torebce często nosiłam materiały wybuchowe i prasę podziemną. Dostarczałam meldunki, rozkazy, raporty... Nic wielkiego.

Z Krzysiem dogadywaliśmy się bez słów. Wiem, że wiele osób tak mówi, ale w naszym przypadku jedno drugiemu dosłownie czytało w myślach. Był dla mnie wsparciem, kiedy mój świat zawalił się po raz drugi...

Pewnej nocy ze snu wyrwało mnie głośnie pukanie do drzwi. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Czwarta trzydzieści. To właśnie o tej porze najczęś-

ciej zjawiali się gestapowcy. Ich wizyta nigdy nie wróżyła nic dobrego. Po kogo przyszli? Po mnie czy po ojca?

– Wracaj do łóżka – szepnął tata i siłą wepchnął mnie do pokoju.

Po chwili rozległo się ponowne, nieco bardziej zniecierpliwione pukanie do drzwi.

Wtedy widziałam go po raz ostatni. Nie pozwolili mu się nawet ubrać. Wyprowadzili go tak jak stał, we flanelowej zniszczonej piżamie. Później dowiedziałam się, że jeden z uczniów uczęszczających na komplety prowadzone przez ojca wpadł podczas łapanki z podręcznikiem w plecaku i w czasie tortur podał jego nazwisko. O ironio, jego starszy brat był ulubieńcem taty, kiedy jeszcze przed wojną wykładał na Uniwersytecie Warszawskim.

Tata został wywieziony do obozu w głąb Niemiec. Po trzech miesiącach przysłała depecha zawiadamiająca o śmierci ojca. Nikt z nas nie uwierzył w zawał serca. Podobno wszyscy w obozie umierali na „zawał” lub „grypę”.

To obecność Krzysztofa pomogła mi się podnieść po tych wydarzeniach. Wciąż miałam w głowie myśl, że jeśli przetrwamy wojnę, weźmiemy ślub, spłodzimy gromadkę dzieci i będziemy nieprzyzwoicie szczęśliwi. Jeśli. My wtedy właśnie tak myśleliśmy. Nigdy „kiedy”, zawsze „jeśli”.

Coraz głośniej mówiło się o tym, że działalność ruchu oporu, którego Warszawa była kolebką, prowadzi do wybuchu powstania. Niemcy realizowali chory plan zagłady Żydów, a my nic nie mogliśmy zrobić. Każdego dnia na ulicach ginęli niewinni ludzie, podczas gdy my walczyliśmy z okupantem, rozprowadzając nielegalną prasę i malując znak Polskiego Państwa Podziemnego w miejscach publicznych. Byliśmy wściekli, że możemy tak niewiele. Wraz z upływem czasu nasze poczynania były coraz śmielsze. Z walki dywersyjnej i akcji małego sabotażu przeszliśmy do akcji zbrojnych. Chęć odwetu rodziła się w nas długimi miesiącami.

Na chwilę przed wybuchem powstania zorientowałam się, że jestem w ciąży, ale nie zmieniłam swoich planów. Do walki ruszyłam z uśmiechem na ustach, pełna nadziei i wiary w lepsze jutro.

A potem wszystko się zmieniło.

Rozdział 7

Emilia

BIAŁO-CZERWONA FLAGA POWIEWAŁA ODŚWIĘTNIE NA PLACU KRASIŃSKICH. Powstańcy byli w szampańskich nastrojach. Warszawa upijała się wolnością.

– Uszczypnij mnie – szepnęła mi Zosia do ucha.

Tak, to był niezwykły widok. Uświadomiłam sobie, że nie widziałam polskiej flagi od trzydziestego dziewiątego roku!

– Prudential zdobyty! – krzyknął ktoś z tłumu.

Pierwszego sierpnia brakowało nam broni i przeszkolenia, ale nikt nie mógł nam zarzucić, że poszliśmy do powstania pozbawieni entuzjazmu i odwagi.

Już pierwszego dnia spotkałam na Starówce schorowaną starowinkę, która wcisnęła mi do ręki pół bochenka chleba.

– Tobie się, dziecko, bardziej przyda – powiedziała wzruszona. – Dokopcie tym Niemcom!

Tego dnia stolica szła spać pijana ze szczęścia. Rysą na idealnym obrazku były wieści z Pragi czy Okęcia, gdzie powstanie się załamało. Naszym żołnierzom nie udało się przejąć mostów, dworców czy lotnisk, ale to nic. Kładliśmy się spać wolni, o czym przypominały polskie flagi, które pojawiły się dosłownie wszędzie. Zachłysnęliśmy się tą wolnością po długich pięciu latach. Ktoś puścił w obieg „Biuletyn Informacyjny”, a ja w pierwszym odruchu chciałam go schować głęboko do torby. Dopiero po chwili sobie

uzmysłowiłam, że przecież wyzwoliliśmy Warszawę z rąk okupanta i teraz wolno nam wszystko.

Z Krzysiem udało mi się spotkać jeszcze tego samego wieczoru. Zasnęłam wtulona w niego w jednym z opuszczonych mieszkań. Tak radziły sobie pary w powstaniu. My mieliśmy wielkie szczęście, że udało nam się znaleźć kąt dla siebie już w tę pierwszą noc.

– Mówiłam, że wszystko będzie dobrze. – Byłam nieprzytomna ze zmęczenia i upojona euforią.

– Mila, spokojnie. – Krzys zawsze myślał racjonalnie. – Za nami dopiero pierwsze godziny, musimy poczekać na odpowiedź Niemców. Zginęło wielu naszych. Droga do zwycięstwa będzie długa i kręta.

– Ale zwyciężymy!

W nocy obudził mnie odgłos padającego deszczu. Krzysiek spał w najlepsze, a ja długo nie mogłam zasnąć. Obserwowałam z okna budzącą się Warszawę. Tego, co przyniosły kolejne dni i tygodnie, nie mogę nazwać inaczej niż rzezią, ale wtedy zapach powietrza po deszczu budził najgłębiej skrywane tęsknoty i nadzieje.

Krzys zerwał się jak oparzony, gdy się zorientował, że nie ma mnie obok. Rozejrzał się nieprzytomnie i dopiero kiedy dostrzegł zarys mojej sylwetki przy oknie, jego oddech spowolnił. Podszedł do mnie i mocno przytulił. Nasze usta same odnalazły drogę. W tym pocałunku było coś rozpaczliwego i ostatecznego. Przypomniałam sobie jego wypowiedziane dzień wcześniej słowa: „zginęło wielu naszych”. Nie mogłam mieć pewności, że nie całuję ukochanego po raz ostatni. Chyba musieliśmy myśleć o tym samym, bo oderwał się ode mnie i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Żałuję, że nie wzięliśmy ślubu. – Czekałam w napięciu na jego kolejne słowa. – Ale zawsze możemy to nadrobić – dodał.

Roześmiałam się i wymierzyłam mu delikatnego kuksańca w zębra.

– Czy ty mi się właśnie oświadczasz?

Po jego entuzjazmie nie został nawet ślad.

– Wiem, że nie tak powinno to wyglądać... Mila, przecież za kilka godzin możemy być martwi. Dlaczego nie zdecydowaliśmy się na to wcześniej?

Zastygłam w bezruchu. On... on chyba mówił poważnie!

– No cóż, nigdy nie proponowałeś mi małżeństwa – przypomniałam mu.

– Musimy to zmienić, i to jak najszybciej – oznajmił z przekonaniem.

Uniosłam wysoko brwi.

– Chcesz wziąć ślub teraz, kiedy trwa powstanie?

– A dlaczego nie?

Zmarszczyłam nos, zastanawiając się intensywnie.

– Prawdę mówiąc, nie znajduję żadnych przeciwwskazań – przyznałam w końcu.

– A widzisz! – ucieszył się. – Jeśli przeżyjemy, będziemy opowiadać naszym dzieciom i wnukom o zorganizowanym naprędce powstańczym ślubie, a jeśli nie... Mila, będziemy razem, póki śmierć nas nie rozdzieli!

Pokręciłam z niedowierzaniem głową. Nie żartował!

W powstaniu, początkowo nazywanym sierpniowym, uczucia wybuchaly z wielką intensywnością. Ryzyko śmierci przyspieszało wyznania i deklaracje – chyba właśnie dlatego już drugiego dnia walk Krzysztof oznajmił, że się ze mną ożeni, a ja wiedziałam, że mówi całkiem poważnie.

Musieliśmy jednak odłożyć nasze plany na później, bo Krzysiek dołączył do grupy powstańców, która ruszyła w stronę Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych przy Sanguszki⁵. Od samego rana biegałam z rozkazami i meldunkami, nie miałam nawet czasu odetchnąć i zastanawiać się nad tym, czy jest bezpieczny. Chowałam się przed niemieckim ostrzałem za wzniesionymi przez powstańców i cywilów barykadami, przemieszczałam się dobrze znanymi uliczkami, które zamieniły się w regularne pole bitwy. Starówka została całkowicie opanowana przez powstańców, czego nie można było powiedzieć o pozostałych częściach miasta. Niemcy nie odpuszczali, a ciężkie walki toczyły się niemal w każdej dzielnicy Warszawy.

⁵ Powstańcy opanowali Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych 2 sierpnia 1944 roku. Był to kluczowy obiekt w Starym Mieście.

Staralam się właśnie przedostać na drugą stronę ostrzeliwanej ulicy, kiedy usłyszałam głośne wołanie, wręcz błaganie o pomoc. Spojrzałam w stronę, z której dobiegał krzyk. Pięć, może sześć metrów ode mnie leżał chłopak, niestety, już na pierwszy rzut oka poważnie ranny. Z rany w okolicach klatki piersiowej płynęła krew, morze krwi. Nie miałam innego wyjścia – musiałam po niego iść. Pierwsza zasada w powstaniu brzmiała: nie zostawiamy swoich. Nigdy. Ale jak tu do niego dotrzeć, kiedy cała ulica była regularnie ostrzeliwana przez Niemców? Wahałam się tylko kilka sekund.

Wychyliłam się i pędem pobiegłam w stronę rannego. Jęczał przeraźliwie, wzywając mamę. Oni zazwyczaj w takich chwilach wołali matki...

W sekundę zdążyłam ocenić, że mam do czynienia z wysokim i podstawnym mężczyzną, podczas gdy ja nie miałam nawet metra sześćdziesięciu i ważyłam mniej niż pięćdziesiąt kilogramów. Nie było jednak czasu na wątpliwości, bo koło ucha przeleciał mi pocisk z niemieckiej broni. Sekunda wahania mogłaby mnie kosztować życie.

Chwyciłam mocno chłopaka pod pachy i pociągnęłam w stronę barykady, zza której przed chwilą wyskoczyłam. Pięć metrów, cztery, trzy, dwa i pół, dwa, nie, nie dam rady... Ciągnąc go po ziemi pod ostrzałem ostatkiem sił zeszałam z linii ognia. Byłam bezpieczna. Ktoś musiał nade mną czuwać tam na górze. Że też żadna kula mnie nie dosięgła, kiedy wlokłam za sobą bezradne ciało dwukrotnie większego ode mnie faceta! To zakrawało na cud.

Niestety, dla niego nie było już ratunku. Jedyne, co mogłam zrobić, to zabrać go z linii ognia. Chłopak był już martwy. Śmierć była tak blisko mnie, taka zwyczajna. Nie miałam czasu jej rozpamiętywać, musiałam iść dalej. Jemu już nic nie było w stanie pomóc, a ktoś gdzieś mógł czekać na mój meldunek. Sięgnęłam do jego kieszeni i wyjęłam legitymację, żeby sprawdzić nazwisko. Pomyślałam, że dobrze by było zawiadomić rodzinę: ktoś przecież czekał na tego chłopaka. Spojrzałam jeszcze raz na jego zastygłą w cierpieniu twarz, wzięłam dokumenty i zrobiłam kilka kroków, ale nagle się zatrzymałam.

Jaką miałam pewność, że przeżyję najbliższe godziny? Żadną. Jeśli zabiorę legitymację tego człowieka i zginę, nikt nie będzie mógł poinformować najbliższych o jego śmierci. Szybko podeszłam do ciała i wcisnęłam dokument do kieszeni, z której przed chwilą go wyjęłam.

Kiedy wróciłam do oddziału, od razu spotkałam zapłakaną Zosię.

– Róża... Róża nie żyje.

Skinęłam tylko głową. Z godziny na godzinę ubywało ludzi, ale to do mnie tak naprawdę nie docierało. Nie miałam czasu roztrząsać śmierci koleżanki, którą znałam od lat. Łączyło nas tyle pięknych wspomnień! A ja? Zobojętniałam.

– Słyszysz? – Zosia pobiegła za mną. – Róża nie żyje!

Spojrzałam na nią nieprzytomnie, nie rozumiejąc, czego ode mnie chce. Wiadomo było, że ludzie będą ginąć...

Już ktoś mnie wołał, już gdzieś byłam potrzebna. Ukradkiem rozglądałam się za Krzysiem, ale nigdzie go nie widziałam. Dowiedziałam się, że powstańcom udało się opanować Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych. Wołałam jednak nie pytać, czy są straty wśród naszych, i najzwyczajniej w świecie czekać na kolejne spotkanie gdzieś w ferworze walki.

Zosia jakoś wzięła się w końcu w garść i otrząsnęła się z szoku po śmierci Róży, bo jakiś czas później dołączyła do mnie w szpitalu, gdzie pomagałam sanitariuszkom w opiece nad rannymi. W powstaniu każdy robił, co mógł. Zacierały się granice między łączniczkami a sanitariuszkami. Każdy z nas miał ręce pełne roboty. Oczywiście, kiedy padał rozkaz, wypełniało się go bez ociągania, ale gdy wywiązało się już ze swoich obowiązków, biegło się do szpitala czy w inne miejsce, gdzie akurat było się potrzebnym.

W korytarzu pospiesznie zorganizowanego szpitala natknęłam się na kolegę. Biegał wokół jak opętany, patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Dopiero kiedy mocno złapałam go za ramię, zatrzymał się i mnie rozpoznał.

– Mila! – odetchnął z ulgą. – Słuchaj, potrzebna pomoc. Będiesz asystować przy operacji!

– Ja? Jesteś pewien? Przecież ja...

– Nieważne! – przerwał mi zniecierpliwiony. – Pomagałem przenosić rannych i jeden z nich od razu trafił na stół operacyjny. Chyba wiesz, że brakuje ludzi i sprzętu. Wszystkie sale operacyjne są zajęte, więc lekarz postanowił operować w piwnicy, ale tam panują egipskie ciemności... No już, chodź! – Pociągnął mnie w stronę schodów. – Nie ma ani chwili do stracenia! Potrzy masz to. Ja muszę już iść z oddziałem, im się bardziej przydam. – Zostawił mnie samą w piwnicy, wręczając starą lampę, która pamiętała chyba jeszcze czasy poprzedniej wojny.

Lekarz zapytał, czy jestem sanitariuszką, ale moja odpowiedź chyba za bardzo go nie zainteresowała, bo od razu przystąpił do działania.

– Musi pani poświecić, o tutaj.

Miałam wrażenie, że stoję tam całą wieczność. Dawno zdążyłam stracić czucie w zeszywniałej ręce, ale skoro kazali trzymać tę przeklętą lampę, to trzymałam. Tak zostałam mimowolnym świadkiem amputacji nogi przy słabym znieczuleniu. Pacjent wrzeszczał wniebogłosy, jakby obcinano mu nogę żywcem, co w sumie tak wyglądało, a ja stałam, patrzyłam i się zasta-

nawiałam, ile może trwać taka operacja. W końcu lekarz podziękował mi za asystę, a pacjent stracił przytomność z nieludzkiego bólu.

– W porządku, służę pomocą na przyszłość – rzuciłam, odchodząc.

Na górze spotkałam Zosię, która opatrywała ranę młodemu mężczyźnie. Aż się uśmiechnęłam, kiedy usłyszałam słowa chłopaka:

– Ja się z panią ożenię, zapewniam panią! Jak tylko stąd wyjdę, odnajdę panią i staniemy na ślubnym kobiercu!

– Widzę, że nagle wszyscy palą się do żeniaczki – powiedziałam, kiedy już wyszliśmy na zewnątrz, a Zosia podała mi papierosa, którego dostała od swojego szpitalnego amanta.

– Palimy na pół!

Odetchnęłam z ulgą. Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o szkodliwym wpływie nikotyny na płód.

Zaciągnęłam się szybko.

– Jak to: wszyscy palą się do żeniaczki? – Dopiero po chwili do Zośki dotarł sens wypowiedzianych przeze mnie słów.

– No wiesz, Krzys dzisiaj rano wspominał o ślubie...

Zosia aż zeszywniała.

– Oświadczył ci się?! Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Wcześniej nie było okazji. – Wzruszyłam ramionami. – Zresztą o oświadczeniach raczej nie było mowy. Stwierdził jedynie, że dobrze byłoby wziąć ślub, bo nie wiadomo, co przyniesie następny dzień.

– Jest w tym sens – podsumowała Zośka, zaciągając się mocno papierosem. – Nie ma na co czekać. Sama widzisz, wczoraj Róża cieszyła się razem z nami z wolności, a dziś już nie ma jej wśród żywych...

Zamilkłyśmy. Miasto powoli kładło się spać. Wróg przerywał ostrzał, aby rozpocząć go ponownie z samego rana. Znalazłyśmy z Zośką wolny kawałek podłogi i szybko zasnęłyśmy na siedząco.

Rozdział 8

ROZEJRZAŁA SIĘ WOKÓŁ NIEPRZYTOMNYM WZROKIEM, JAKBY NIE DO KOŃCA ROZUMIAŁA, GDZIE SIĘ ZNAJDUJE. Prosto z walczącej Warszawy trafiła na werandę swojego libiąskiego domu. Obok siedział wnuk, wpatrując się w nią z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy.

To wszystko, o czym opowiedziała mu właśnie babcia... Owszem, fakty historyczne były mu znane, bo zdawał rozszerzoną historię na maturze, a na studiach musiał zaliczyć egzamin z historii Polski, aby znaleźć się na drugim roku, ale w życiu się nie spodziewał, że jego babcia była w samym sercu tych burzliwych wydarzeń!

Wydaje nam się, że wielka historia toczy się gdzieś obok, nie mając wpływu na nasze życie, tymczasem ona kształtuje każdego człowieka, nawet jeśli on sam nie ma o tym pojęcia. Tylko ludzie, którzy zdobyli się na to, aby zgłębiać dzieje swojego narodu, są w stanie wystrzec się błędów popełnionych przez przodków. Wielka szkoda, że tak często dzisiaj o tym zapominamy...

Dopiero teraz dostrzegł w otoczonych głębokimi zmarszczkami oczach babci świadectwo wielkiej historii. Tyle razy na nią patrzył, a tak naprawdę nic nie widział.

– Byłaś... – urwał, próbując staranniej dobrać słowa. – Babciu, jesteś prawdziwą bohaterką!

Emilia uśmiechnęła się nieśmiało, a Mikołaj mógłby przysiąc, że zobaczył w niej tamtą młodą dziewczynę, która w wieku dwudziestu dwóch lat,

pełna nadziei i wiary w lepszy świat, poszła do powstania.

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła stanowczo. – Prawdziwi bohaterowie, nasi najlepsi ludzie, zginęli. Później przyszedł czas, kiedy trzeba było odbudować ten kraj ze zgliszczy i właśnie wtedy się okazało, że brakuje bohaterów, którzy spoczęli gdzieś pod gruzami Warszawy. Ich miejsce zajęli wyjątkowo śliscy ludzie. Dziecko, to już nie jest ten sam kraj...

Od natłoku informacji rozboleła go głowa. Babcia dopiero zaczęła snuć swoją historię, a on już był przytłoczony ogromem zła, które ją spotkało. Ze złością pomyślał o współczesnych „patriotach” w kominiarkach, którzy nosząc na bluzach symbol Polski Walczącej, wdają się w bójki na stadionach i wrzucają na portale społecznościowe zdjęcia pełne agresji i przemocy. Babcia miała rację! To już nie był ten sam kraj. Czy współczesna młodzież zdobyłaby się w ogóle na taki heroizm jak ich rówieśnicy ponad siedemdziesiąt lat temu?

Jego wzrok przykuły leżące na stole listy. Teraz już wiedział, kto był ich adresatem, ale nadal nie rozumiał, jak to się stało, że niedostarczona poczta znalazła się w szkatułce na strychu. Jego myśli krążyły jak oszalałe między tajemniczym Krzysztofem a dzieckiem, którego spodziewała się babcia. Co się z nim stało? Czy przeżyło wojnę? Helena urodziła się w sześćdziesiątym dziewiątym, więc to nie mogła być ona. Wszystko wskazywało na to, że babcia miała jeszcze jedno dziecko. Dlaczego w rodzinie o nim nie mówiono?

Babcia podążyła za jego wzrokiem i z czułością pogładziła poząłkłe koperty.

– Chciałabym, abyś je przeczytał – powiedziała, wyciągając ostatniego papierosa z paczki. – Czy mógłbyś przedtem pójść do sklepu?

– Miałbym przeczytać te listy? – zignorował pytanie. – Nie wiem, czy powinienem.

– Dziecko, przecież przed chwilą ci na to pozwoliłam. Możesz je wziąć ze sobą. Podejrzewam, że to żadna frajda dla młodego mężczyzny czytać listy nieszczęśliwie zakochanej baby, ale dzięki temu lepiej poznasz historię swojej rodziny.

– Rozumiem, że to ty je napisałaś?

Potwierdziła skinieniem i zaciągnęła się mocno papierosem. Było widać, że sprawia jej to przyjemność.

– Owszem.

– Dlaczego ich nie wysłałaś?

– Zabrakło mi odwagi – powiedziała, wzruszając ramionami. – Poza tym... byłam już mężatką. Z jednej strony codziennie wyobrażałam sobie spotkanie z Krzysiem, z drugiej bałam się szkód, jakie mogę wyrządzić mojemu małżeństwu. – Nawet teraz, po tylu latach, mówiła o ukochanym z przeszłości z ogromną czułością. – Te listy to jedyne, co łączyło mnie z dawnym życiem.

– Babciu, nie nadążam...

Emilia wyraźnie się zniecierpliwiła.

– Oj, po prostu je przeczytaj! Nie wysłałam ich, bo nie miałam pewności, że Krzysztof żyje. Jeśli nawet przeżył, nie wiedziałam, co się z nim stało po wojnie. Adres, który widnieje na kopercie, to ten, pod którym mieszkał w czasie wojny. Nie mam pojęcia, czy listy w ogóle trafiłyby do niego.

– Ale wciąż je pisałaś – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Przez dwadzieścia trzy lata – potwierdziła Emilia. – Ostatni napisałam, kiedy urodziła się twoja matka.

Mikołaj odetchnął z ulgą. Z niejasnych przyczyn poczuł się pewniej, kiedy się dowiedział, że babcia przestała pisać listy do ukochanego z przeszłości, gdy na świat przyszła jego mama. Tak było lepiej dla całej rodziny, nawet jeśli ta korespondencja nigdy nie została wysłana.

– Po prostu przeczytaj – powiedziała zachrypniętym z nadmiaru emocji głosem.

– Teraz?

– Otwórz pierwszy z brzegu.

Emilia pisała te listy tak dawno temu, że już nawet nie pamiętała ich treści. O czym mogła pisać do ukochanego jako mężatka? Pewnie wyrażała w nich swoją tęsknotę. Listy przeleżały bezpiecznie na strychu przez kilkadziesiąt lat, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, no, może poza chwilową uwagę Heleny. To nie tak, że Emilia o nich zapomniała. Oczywiście, zawsze gdzieś w jej głowie tliła się myśl, że one tam są i w każdej chwili może je wysłać lub spalić. Nie zrobiła jednak nic. Tak było bezpiecznie.

Puszka Pandory została otwarta bez jej udziału, przyszedł więc czas, aby rozliczyć się z przeszłością i dać szansę teraźniejszości.

Mikołaj westchnął głośno i powoli zaczął przeglądać identyczne pożółkłe koperty, zastanawiając się, od której zacząć.

- Są ułożone w porządku chronologicznym – powiedziała Emilia.
- Może chciałabyś, bo ja wiem, najpierw przeczytać te listy w samotności? – Zawahał się przed otwarciem koperty.
- Nie. – Głos Emilii wyrażał pewność. – Mam już dość samotności. Dużyłam tę tajemnicę w sobie przez kilkadziesiąt lat, zatruwając córcie życie. Dość już tych niedomówień. Czytaj, dziecko, bo bez okularów to ja prawie nic nie widzę.

Delikatnie otworzył kopertę, aby jej nie zniszczyć, i wyjął zapisaną starannym, dobrze sobie znanym pismem kartkę. Spodziewał się raczej eleganckiej papeterii, a nie prostego, niczym niewyróżniającego się świstka. Odchrząknął głośno i zaczął czytać.

Najdroższy!

Nosiłam się z zamiarem napisania do ciebie już od wielu miesięcy, ale wciąż nie mogłam się na to zdobyć. Dzisiaj, kiedy piszę ten list, nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek go wyślę, poczułam jednak, że w końcu muszę wykrzyczeć cały swój ból i tęsknotę, choćby tylko na papierze. Nie wiem nawet, czy żyjesz, i prawdopodobnie nigdy nie będę miała okazji się o tym przekonać. Chyba że wyślę ten list, a Ty wspaniałomyślnie odpiszesz... Tylko czy jest sens rozdrapywać rany, które zaczęły się już zabiżniać?

Nigdy nie wrócę do Warszawy. Nie wiem, dlaczego zaczynam od końca, ale chciałabym, byś wiedział, że postanowiłam zerwać wszelkie więzi łączące mnie niegdyś z tym miastem. Warszawy, którą znałam i kochałam, już nie ma, a ja nie mam w sobie tyle sił, aby patrzeć na to zniszczone miasto i myśleć o tych wszystkich chłopcach i dziewczynach, którzy zginęli na darmo. Nasze poświęcenie nic nie dało. Dzisiaj największy żal mam o to, że zdecydowano się na kapitulację. Przecież mogliśmy walczyć dalej! Do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi... Jeśli żyjesz, jeśli wróciłeś do Warszawy, wiedz, że cię podziwiam. Nasze miasto potrzebuje takich ludzi jak ty. Ktoś musi przecież stolicę odbudować. Warszawa powinna się odrodzić, chociaż na pewno już nigdy nie będzie taka sama.

Głęboko wierzę w to, że udało ci się wydostać z oblężonego miasta i jesteś w dobrym zdrowiu. Ta myśl pozwala mi nie zwariować.

Osiedliłam się na południu Polski. Mój mąż dostał pracę w kopalni Janina w Libiążu. Po wojnie kopalnia została upaństwowiona i... Dobry Boże,

a co Ciebie to interesuje, prawda? Wyobrażam sobie, jaki szok musiałeś przeżyć, kiedy dotarły do Ciebie słowa: „Mój mąż dostał pracę”. Tak, Krzysiu, wyszłam za mąż. Wiem, że nie tak miało być. Wciąż pamiętam tę pierwszą noc powstania, którą spędziliśmy wspólnie, i ten poranek, kiedy rozmawialiśmy o naszym ślubie. To wydawało mi się takie nierealne. Nie udało się zrealizować tych planów, a ja dzisiaj jestem żoną innego człowieka. Minęły ledwie dwa lata. Tylko i aż dwa... Cóż, czy tylko ja mam wrażenie, że to wszystko działo się w poprzednim życiu? Ty, ja, my i niezłomna wiara w to, że Warszawa będzie wolna. Kiedy wychodziłam z miasta, Niemcy niszczyli budynek po budynku. Nie mogłam na to patrzeć. Przecież mury nie zawiniły! Niewyobrażalna tragedia spotkała ludność cywilną. Krzysiu, czy było warto? Powiedz... Czy było warto płacić tak wysoką cenę za chwilę wolności?

Nie miej do mnie żalu. Byłam bardzo, bardzo samotna i chciałam stworzyć normalny dom. Pragnęłam zacząć zwykłe życie, żyć jak inni. Myślałam, że gładko wejdę w nową rolę, tymczasem powstanie jest we mnie nawet teraz, kiedy staram się o nim nie myśleć. Codzienne życie sukcesywnie wypełnia mój czas i staram się zatrzeć wspomnienia, jednak one wracają do mnie nocą. Wiesz, Krzysiu, niemal każdej nocy znów jestem na Starym Mieście i widzę rozczłonkowane zwłoki, korpusy bez głowy, rąk i nóg, ludzkie szczątki. Nie potrafię zapomnieć tego dnia. To był trzynasty sierpnia, zdecydowanie najgorszy dzień mojego życia. Eksplozja niemieckiego czołgu napakowanego materiałami wybuchowymi jest moim największym koszmarem. A potem w snach nagle przenoszę się do kanałów. Błądzą i tracę nadzieję, że wyjdę stamtąd żywa...

Krzysiu, teraz już wiem, że nie wyślę tego listu. Nie mogę Cię narażać. Nawet tu docierają do mnie pogłoski o represjach, których ofiarami padają byli żołnierze Armii Krajowej. Sowietci tak bardzo nas nienawidzą... Zrównali nas z niemieckimi oprawcami. W ich oczach jesteśmy takimi samymi bandytami. Krzysiu, przecież nie o taką Warszawę i nie o taką Polskę walczyliśmy...

Mój mąż o niczym nie wie. O Armii Krajowej, o powstaniu, o nas. Tak będzie lepiej. Jesteś bezpieczny w moim sercu.

Napiszę jeszcze. Może kiedyś, gdy nastaną lepsze czasy, moje listy do Ciebie dotrą, a Ty zrozumiesz i mi wybaczysz. O nic nie śmiałybym Cię prosić, ale gdybyś jednak zechciał spełnić jedno moje życzenie... Wybacz.

*Na zawsze Twoja
Mila*

Mikołaj nie zauważył, że Emilia dyskretnie ociera łzy. Nie padło ani jedno słowo o dziecku. Czyżby ukochany babci nigdy nie dowiedział się, że jego wybranka była w ciąży? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Nie mógł się doczekać dalszego ciągu opowieści właśnie ze względu na dziecko, którego się wówczas spodziewała. Podświadomie czuł, że ta informacja jest kluczowa i powinien się na niej skupić.

– To nie był najlepszy pomysł, aby otwierać ten list, kiedy skończyły mi się papierosy – próbowała żartować babcia, ale najwyraźniej nie była w formie.

Mikołaj zauważył, jak chaotyczny był list napisany siedemdziesiąt lat temu i miał dziwne wrażenie, że sen, o którym wspominała, wciąż do niej wraca. Przeraził się na myśl o tym, jak wiele bólu musiała w sobie skrywać ta drobna kobieta przez te wszystkie lata.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć – przyznał.

– Po prostu idź po papierosy – powiedziała nieswoim głosem, a po chwili dodała: – Proszę.

Odniosł wrażenie, że babcia chce pobyć sama, dlatego postanowił, że do sklepu pójdzie okrężną drogą. W drodze powrotnej zaskoczył go telefon od matki. Nie odzywała się od czasu, kiedy odmówiła mu pomocy w opiece nad babcią. Mikołaj przez chwilę rozważał, czy nie odrzucić połączenia, ale w końcu zwyciężyła ciekawość.

I słusznie. W życiu by się nie spodziewał, że Helena zadzwoni do niego z takimi rewelacjami.

– Słucham.

– Synku, tak się cieszę, że słyszę twój głos! – Na chwilę odsunął od ucha aparat, aby sprawdzić, czy na pewno rozmawia z Heleną. Nie inaczej, na wyświetlaczu widniało jej imię. – Jak się czuje babcia?

– Babcia? Powoli wraca do siebie – przyznał, ale odniósł wrażenie, że matki tak naprawdę to nie interesuje. Szybko przeszła do rzeczy.

– Dzwonię do ciebie, żeby zaprosić cię na ślub – trajkotała podekscytowana. – Alain już zamówił dla ciebie bilet lotniczy. Oczywiście za wszystko zapłacił – podkreśliła z satysfakcją.

Kim, do diabła, jest Alain? Mikołaj miał poważne powody, by przypuszczać, że tajemniczy Alain w prosty sposób jest powiązany ze ślubem, na który chciała zaprosić go matka. Ta wiadomość zrobiła na nim na tyle piorunujące wrażenie, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Jesteś tam? Mikołaj?

– Przetrawiam to wszystko – bąknął pod nosem.

– Czyli rozumiem, że mogę na ciebie liczyć? Przyjedziesz?

Był u matki tylko raz. Kiedy zaczynał naukę w gimnazjum, Helena nagle przypomniała sobie o istnieniu syna i postanowiła pokazać mu „swój Paryż”, cokolwiek to miało znaczyć. Nie miał najlepszych wspomnień z tamtej wizyty. Tak bardzo się starał zadowolić rodzicielkę, że nie miał z wycieczki żadnej przyjemności. Przez cały czas pilnował się i uważał na to, co mówi i robi. Nie chciał przynieść Helenie wstydu.

– A co z babcią? – wypowiedział na głos pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy.

– Wiesz, jakkolwiek by na to patrzeć, moja matka ma już dziewięćdziesiąt cztery lata. To nie jest najlepszy wiek na latanie samolotem.

W życiu nie słyszał większej bzdury. Podejrzewał, że babcia, nie licząc biodra, była w o wiele lepszej kondycji niż niejedna sześćdziesięciolatka, jednak tym razem darował sobie komentarz.

– Oświeć mnie, proszę. Czy dobrze rozumiem, że nie zamierzasz zaprosić babci na swój ślub? – zapytał zirytowany. – Kim jest ten cały Alain?

Czasem, kiedy rozmawiamy z kimś przez telefon, widzimy w wyobraźni uśmiech, który rozjaśnia twarz rozmówcy. Właśnie tak było tym razem. Mikołaj dałby sobie rękę uciąć, że matka promieniała ze szczęścia za każdym razem, kiedy temat schodził na Alaina, kimkolwiek był.

– To mój narzeczony – wyjaśniła, ignorując poprzednią uwagę.

– Tego domyśliłem się sam. – warknął. – Wybacz, ale nie zostawię babci samej. Jest po operacji biodra i...

– Jak zwykle – bąknęła Helena. – Cały świat się kręci wokół mojej matki. Widzisz, jakie pranie mózgu ci zafundowała? Jesteś moim jedynym synem i nie chcesz towarzyszyć mi w tej wyjątkowej chwili, bo twoja babka właśnie postanowiła sobie złamać biodro!

– Przypuszczam, że babcia sama namawiałaby mnie do wyjazdu, gdyby wiedziała o twoich planach. – Westchnął głośno, ignorując niegrzeczną

uwagę Heleny. – Kiedy ten ślub?

– Za sześć tygodni.

– W porządku, zastanowię się i niebawem dam ci odpowiedź. – Już zamierzał się rozłączyć, kiedy nagle coś sobie przypomniał. – Aha, mammo... Czy wiedziałaś, że babcia brała udział w powstaniu warszawskim?

Zapytał, bo był ciekaw reakcji Heleny. Babcia przecież sama mu powiedziała, że w przeszłości podzieliła się swoją historią z córką, jednak z niejasnych przyczyn Helena nie przywiązywała do tego większej wagi.

– Ciebie też nakarmiła tymi historyjkami? – prychnęła matka. – Nie tylko ona miała trudne dzieciństwo.

– Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy wybuchło powstanie, więc określenie „trudne dzieciństwo” nie jest tutaj najwłaściwsze – przypomniał jej. Zahałał się przez chwilę, ale w końcu postanowił zapytać: – Mammo, czy babcia... no wiesz, czy powiedziała ci o dziecku?

– O jakim dziecku?! – Z tonu Heleny wywnioskował, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mówi jej syn.

– Nieważne – uciął temat. – Musiało mi się coś pomylić...

– Jak sobie chcesz. – Oczyma wyobraźni zobaczył, jak wzrusza ramionami, a przy okazji z przerażeniem odnotował, że za nic w świecie nie potrafi odtworzyć w pamięci rysów jej twarzy. Widywał swoją matkę tak rzadko, że zapominał, jak wygląda. – Będę musiała kończyć. Za godzinę zaczyna się wystawa moich prac, a Alain już wymownie zerka na zegarek... A, nie powiedziałam ci! Jest moim menedżerem. Jestem pewna, że się polubicie. To do usłyszenia, synku!

„Synku”. Aż się wzdrygnął, wciskając telefon do kieszeni.

Babcia wciąż siedziała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Ani drgnęła, kiedy położył przed nią paczkę slimów. Dopiero po chwili do niej dotarło, że Mikołaj jest już z powrotem. Od razu wyjęła jednego papierosa i szybko go odpaliła.

– Tylko jedno? – jęknęła, wskazując na opakowanie.

– Babciu, nie uważasz, że za dużo palisz? – Nie potrafił zliczyć, ile razy już to mówił.

– A ty, mój kawalerze, nie jesteś przypadkiem za młody, aby mi to wypominać? – zachnęła się.

Przez chwilę bił się z myślami, jednak w końcu postanowił podzielić się z babcią nowiną, którą przekazała mu Helena.

– Wygląda na to, że mama wychodzi za mąż.

Emilia aż zakrztusiła się dymem. Kiedy w końcu znów zaczęła oddychać, wbiła we wnuka spojrzenie.

– Dziecko ty moje, o czym ty mówisz? Jak to... wychodzi za mąż?

– Przed chwilą do mnie dzwoniła. – Skinął głową w stronę uliczki. – Podobno poznała jakiegoś Francuza, który jest jednocześnie jej menedżerem, i za sześć tygodni zamierzają wziąć ślub. Facet ma na imię Alain.

– A... czy zapytałeś, jak długo ona zna tego całego Alaina? Cóż, Helena miewa czasem dziwaczne pomysły – przeraziła się babcia.

Mikołaj zaprzeczył, kręcąc szybko głową w prawo i lewo.

– Byłem w zbyt wielkim szoku, aby o cokolwiek zapytać.

– Jak by to powiedzieć... jest dorosła. Chyba wie, co robi, a przynajmniej taką mam nadzieję – stwierdziła Emilia bez większego przekonania.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Najważniejsze, żeby była szczęśliwa. – Zgasiła papierosa i natychmiast odpaliła następnego, na co Mikołaj odruchowo się skrzywił. – Wybacz, informacja o ślubie twojej matki wstrząsnęła mną na tyle, że muszę znowu zapalić. Rozumiem, że zaprosiła cię na ten ślub?

Zawahał się chwilę, niepewnie zerkając na babcie.

– Tak, ale jeszcze nie wiem, czy pojadę.

– Niby dlaczego miałbyś nie pojechać? – spytała, jedną ręką trzymając papierosa, a drugą poprawiając fryzurę. Nadal była bardzo elegancką starszą panią. – Mną się nie przejmuj, dam sobie radę. No to kiedy ten ślub?

– Podobno za sześć tygodni. – Podniósł ze stolika paczkę papierosów i zaczął się nią bawić, nie patrząc babci w oczy.

– Uważam, że powinieneś pojechać. Mikołaj, to twoja matka – powiedziała poważnym tonem. – Dość już w tej rodzinie było niedopowiedzeń i niewypowiedzianych pretensji. Musicie poukładać swoje relacje.

Nie był do końca co do tego przekonany, ale już nic nie powiedział. Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami ptaków, które po wyjątkowo upalnym dniu obudziły się wieczorem do życia. Babcia z wnuczkiem siedzieli bez słowa przez kilkanaście minut, każde pogrążone we własnych myślach. W końcu Emilia przerwała przedłużającą się ciszę:

– A do naszych spraw wrócimy jutro.

W pierwszym momencie nie zrozumiał, o co jej chodzi, ale leżące na stole listy przypomniały mu o temacie, od którego oderwała go wiadomość

o ślubie matki. Skinął głową.

– W końcu jutro też jest dzień, prawda?

Rozdział 9

Emilia

SŁOŃCE NIE DAWAŁO ANI CHWILI WYTCHNIENIA. Dopiero późnym wieczorem odetchnęłam z ulgą. Z dnia na dzień czułam się coraz gorzej. Wymagałam od swojego organizmu coraz więcej, więc w końcu zaczął się buntować. Nie odczuwać głodu, nie spać, nie odpoczywać, pozostać silnym – dużo żądałam od tego mojego dwudziestodwuletniego ciała. Już w pierwszych dniach powstania odczuwałam skrajne zmęczenie. Nie pokonaliśmy Niemców po trzech dniach, w co jeszcze niedawno wierzyliśmy. Walka dopiero się zaczynała.

Doskonałe nastroje z pierwszych dni powstania zostały przyćmione przez słupy dymu, które letnie wiatry przynosiły znad wciąż palącej się Woli.

– Co tam się dzieje? – pytaliśmy się nawzajem.

Ktoś mówił o masowych mordach, których dopuszczali się Niemcy na ludności cywilnej, ale nie chciałam w to wierzyć. Wiedziałam, do czego zdolni są esesmani, ale to nie mieściło mi się w głowie.

Po czterech długich dniach w końcu spotkałam się z Krzysiem. Przez cały ten czas, kiedy się nie widzieliśmy, próbowałam przekonywać samą siebie, że mój ukochany jest cały i zdrowy, chociaż przed oczami wciąż miałam ciała dziewczyn i chłopaków, które mijałam każdego dnia na ulicach powstańczej Warszawy. Gdy go w końcu zobaczyłam, padłam mu w ramiona i zaczęłam płakać.

– Jesteś cała? – Krzyś delikatnie odsunął mnie od siebie i dokładnie zlustrował wzrokiem. Nie wiem, jak wówczas wyglądałam, ale przypuszczam, że nie był to ciekawy widok. Nie zmieniałam bielizny i ubrania od wybuchu powstania. Nie miałam też gdzie się wykąpać. No cóż, pewnie nikt się wtedy nie dał rady umyć. Dla niego i tak byłam najpiękniejsza, nawet jeśli się nie myłam i nie chesałam od kilku dni.

– Tak bardzo się bałam. – Wtuliłam się w niego. – Tyle osób zginęło... Róża, Alina, Piorun, Juri, Witold... Wciąż docierają informacje o kolejnych...

– Mila – przerwał mi twardo. – Mila, uspokój się.

Spojrzałam na niego zdumiona. Rzadko podnosił na mnie głos.

– Pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć.

– O czym? – Zadrżałam. Nie wiem dlaczego, ale pierwsze, co przyszło mi na myśl, to to, że coś się stało Łucji i Heniowi. W ciągu zaledwie kilku miesięcy straciłam mamę i tatę. Siostra i siostrzeniec byli moją jedyną rodziną.

– Mówią, że na placu Teatralnym zginął Baczyński.

Aż otworzyłam usta ze zdumienia. Z jednej strony czułam wdzięczność, że to nie Łucja i Henio, ale... Baczyński? Z jego śmiercią skończył się dla mnie bardzo ważny etap w życiu. Gdy moja miłość do Krzysia, imiennika poety, się rodziła, w tle zawsze były jego wiersze. Nigdy nie poznałam Baczyńskiego, ale czułam mocną więź z nim i jego ukochaną Basią, żoną i muzą. Uważałam, że jego najpiękniejsze wiersze powstały właśnie z miłości do Barbary Drapczyńskiej. Basia... Ukochana Basia. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co właśnie przeżywała. A może nie wiedziała? Może wciąż miała nadzieję, że wróci cała i zdrowy? Tak byłoby pewnie lepiej.

Śmierć poety przeżyłam po stokroć mocniej niż śmierć przyjaciółki, z którą łączyły mnie wspólne wspomnienia. Wiedziałam, że Róży już nie ma, że nigdy do nas nie wróci. Umarła, tak jak tysiące innych. Tak wypełniał się los naszego pokolenia. Byliśmy dziećmi tamtego kraju i tamtej epoki. Naszym przeznaczeniem było umrzeć w walce o wolną i niepodległą Polskę. Ale Baczyński? On miał zostać świadkiem, przekazać potomnym świadectwo. Nie potrafiłam i nie chciałam przyjąć do wiadomości jego śmierci. Nie mogłam przestać łkać.

– Nie powinien pchać się do konspiracji! – rzuciłam ze złością, odpychając Krzysia. Jego twarz powoli zaczynała się zmieniać. Najpierw zobaczyłam szok i niedowierzanie, a po chwili złość.

– Ach tak? – wycedził przez zęby. – A ty co tutaj robisz? Nie powinnaś być z siostrą w domu? Kim jesteś, żeby osądzać cudze wybory?

Przeraziłam się. Przez półtora roku naszej znajomości nigdy nie pokłóciłam się z Krzysiem. Zdarzały nam się drobne różnice zdań, ale zazwyczaj byliśmy zgodni, wystarczyło więc, aby podniósł głos, a ja oczami wyobraźni widziałam, jak odchodzi i zostawia mnie samą. Wiesz, nawet jeśli byłam w Armii Krajowej, to nadal byłam kobietą.

– Krzysiu... – zaczęłam ostrożnie.

– Jesteś taka sama jak Baczyński, Róża, Alina czy Piorun! Taka sama jak ja! Każdemu z nas zachciało się wolnej Warszawy, więc musimy się liczyć z tym, że każda chwila może być naszą ostatnią!

Jego nagły wybuch wzbudzał coraz większe zainteresowanie mijających nas powstańców, jednak kiedy na nich patrzyłam, szybko odwracali wzrok.

– Krzysiu, to nie jest miejsce ani moment na takie rozmowy. – Przygryzłam wargę. – Przepraszam cię. Masz rację, jutro może nas nie być, więc błagam cię, nie kłóćmy się.

– Miła. – W jego oczach nadal było widać złość, ale spuścił nieco z tonu. – Będzie tylko gorzej.

– Dlaczego jesteś takim pesymistą? – Teraz to ja się zdenerwowałam. – Rzeczywiście, dodajesz mi chęci i sił do walki! Co w ciebie wstąpiło? Myślisz, że ja nie widzę zła, które nas otacza? Jeszcze nie oślepiłam! Staram się zachować resztki człowieczeństwa w tych okrutnych czasach, a ty wcale mi tego nie ułatwiasz.

Spuścił wzrok i przysunął się bliżej.

– Przepraszam. – Bezradnie spuścił głowę. – Może rzeczywiście jestem zbyt słaby...

Pokręciłam głową i stanęłam na palcach, aby go objąć i wsunąć palce w jego włosy. Wcześniej, przed wojną, to było nie pomyślenia: panienka podchodząca do młodzieńca w miejscu publicznym, wtulająca się w niego i kradnąca całusa, ale w powstaniu zrozumieliśmy, że nie możemy odkładać miłości na później, bo... tego później może nie być. Miałam w nosie konwenanse i zasady dobrego wychowania. Mogłam widzieć Krzysia po raz ostatni.

– Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam... Odwaga wcale nie polega na tym, aby samemu pchać się w paszczę wroga. Ty jesteś bohaterem, bo przed każdą walką obmyślasz strategię, nie posuwasz się do bezmyślnych czynów i zawsze dbasz o bezpieczeństwo swoje i walczących przy twoim boku chłopaków.

Uśmiechnął się do mnie nieśmiało, czule pogłaskał mnie po twarzy, a ja po raz pierwszy pomyślałam, że głupio zrobiłam, nie mówiąc mu o swoich przypuszczeniach. Był ojcem rozwijającego się w moim łonie dziecka i ponad wszelką wątpliwość miał prawo wiedzieć o jego istnieniu. Powinnam mu była powiedzieć wcześniej, jeszcze przed wybuchem powstania... Łucja miała rację, głupio zrobiłam.

– Andrzej, wszędzie cię szukamy! – Zza moich pleców nagle dobiegł nas głos kolegi z oddziału Krzysia. Nie mogłam przyzwyczaić się do konspiracyjnego pseudonimu ukochanego, dlatego za moją sprawą po jakimś czasie zaczęły funkcjonować dwa: Andrzej i Krzyś, choć tylko ten pierwszy był oficjalny.

– Muszę iść – powiedział, a ja jęknęłam głośno. Widzieliśmy się zaledwie kilkanaście minut, w ciągu których zdążyliśmy się pokłócić, ale taka była powstańcza rzeczywistość. Często nie sposób było znaleźć chwilę tylko dla siebie.

Cała ta sytuacja – kłótnia z Krzysiem, ciągle trwające walki, śmierć Baczyńskiego – przyczyniły się do tego, że z meldunkiem poszłam rozkojarzona i nieuważna. W głowie wciąż rozbrzmiewały mi słowa ukochanego: „Jesteś taka sama jak Baczyński, Róża, Alina czy Piorun! Taka sama jak ja!”. Czy rzeczywiście konsekwentnie zmierzaliśmy w stronę śmierci?

Ostrzał trwał w najlepsze. W powstańczej Warszawie coraz głośniej mówiło się o gołębiarzach, czyli niemieckich strzelcach wyborowych, którzy działali nawet na terenach kontrolowanych przez powstańców⁶. Byli niebezpieczni dla łączniczek, a więc i dla mnie, ale nie ograniczali się tylko do walki z powstańcami. Mieli głęboko w poważaniu reguły prawa wojennego i strzelali do każdego przechodnia, w tym do kobiet i dzieci.

⁶ Jeszcze przed 1 sierpnia 1944 roku Niemcy liczyli się z wybuchem powstania w Warszawie, dlatego uzbrojono i przygotowano większość przebywających w stolicy Niemców, również cywilów, do udziału w walce. Gołębiarze działali więc tam, gdzie zastało ich powstanie.

Nagle usłyszałam świst kuli. Przyspieszyłam. Do najbliższej barykady, za którą widziałam kilku powstańców, zostało mi ledwie kilka metrów. Chłopcy zatrzymali się na mój widok i zaczęli machać, dając mi znak, że bym się pospieszyła. W tym momencie rozpętało się piekło. Na moje oko strzelców było co najmniej trzech, a ja, jak ostatnia idiotka, zamiast uciekać, zatrzymałam się i przez ułamek sekundy nie byłam w stanie się ruszyć. Straciłam władzę nad ciałem. Powstańcy krzyczeli z całych sił, a ja ciągle stałam na linii ognia.

– Biegnij! Uciekaj!

To trwało ledwie kilka sekund, ale wystarczyło. Poczułam przeszywający ból w prawym ramieniu. Adrenalina zaczęła krążyć w moich żyłach, co pozwoliło mi odzyskać władzę w nogach. Chwilę później byłam już za barykadą, dysząc z przerażenia.

– Dziewczyno, czy ty zwariowałaś?! Dlaczego się zatrzymałaś? Życie ci niemiłe?! – krzyczał jakiś nieznajomy.

– Ja... nie wiem! Nie wiem, co się stało! – Poczułam, że po moim policzku toczy się łza.

– No już, nie becz! Cała jesteś, to najważniejsze! Pokaż tę rękę... – Jeden z mężczyzn szarpnął mnie za ramię, a ja syknęłam z bólu. – Do wesela się zagoi. Wygląda na niewielkie draśnięcie. – Próbował jakoś mnie pocieszyć. – No, ale dobrze by było, gdyby ktoś to zobaczył. Możesz ruszać ręką?

Potwierdziłam skinieniem.

– W porządku, my... – zawahał się, patrząc na kolegów. – Nie chcę cię tu tak zostawiać, ale tam – wskazał ręką w bliżej nieokreślonym kierunku – walczą chłopaki z naszego oddziału, więc musimy ich wesprzeć i...

– Idźcie – przerwałam mu. – Poradzę sobie.

– Jesteś pewna?

– Tak – odpowiedziałam bez wahania.

– Pamiętaj, żeby komuś pokazać tę rękę. Musi ci ją opatrzyć ktoś, kto się na tym zna.

– Dziękuję.

– Uważaj na siebie, mała! – rzucił i pobiegł do kolegów.

Spojrzałam na krwawiącą ranę. Zawsze mogło być gorzej, ale dobrze to nie wyglądało. Przez chwilę szarpałam się ze spódnicą, w której wyszłam do powstania i której jeszcze nie miałam okazji zmienić, aż w końcu udało

mi się wydrzeć podłużny pas materiału, który miał mi posłużyć za opatrunek. Wiedziałam, że najważniejsze to zatamować krwawienie, więc lewą ręką owinęłam ramię materiałem i zaciągnęłam, zagryzając jeden koniec. Po kilkudziesięciu sekundach opatrunek był gotowy, a ja na trzęsących się nogach wstałam i wyjrzałam zza barykady. W tej samej chwili gołębiarz posłał w moją stronę serię pocisków. Nie odpuszczał.

Zabudowa Starego Miasta zawsze była gęsta, co ułatwiało nam przemieszczanie się. Do tego w piwnicach poprzebijano podziemne przejścia między budynkami. Unikałam piwnic i schronów z prostej przyczyny – bałam się, że zostanę żywcem przysypana gruzem, ale kilka razy po prostu musiałam skorzystać z tej drogi ratunku. Pierwszy raz właśnie w tamten fatalny dzień.

Zaniosłam meldunek, lecz droga powrotna do oddziału prowadziła przez ulicę, na której zostałam postrzelona. Nie zamierzałam tamtędy iść, zdecydowałam się więc zejść do podziemi. W piwnicach tłoczyli się cywile, którzy z pewną rezerwą i szacunkiem zerkali na moją powstańczą opaskę. Wyobraziłam sobie, że gdzieś w Śródmieściu Łucja z Heniem ukrywają się właśnie w takiej piwnicy, i coś ścisnęło mnie w sercu. Może byłoby dla nich lepiej, gdyby wyjechali do ciotki do Żyrardowa jeszcze przed wybuchem powstania? Na takie rozważania było już jednak za późno. Trwały zacięte walki, a ja mogłam jedynie mieć nadzieję, że moi najbliżsi są cali i zdrowi.

Do szpitala siłą zaciągnęła mnie Zosia. Kiedy tylko zobaczyła moje zakrwawione ramię, oznajmiła z pełnym przekonaniem, że nie odpuści, dopóki nie obejrzy mnie lekarz lub chociaż sanitariuszka.

– Zwykle draśnięcie! – rzuciłam nonszalancko, ale jedną z wrodzonych cech charakteru Zośki był upór. Tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, że w końcu dla świętego spokoju poszłam do szpitala.

Kolejka chorych i rannych była długa, ale kiedy przechodząca sanitariuszka dostrzegła moją powstańczą opaskę, zawołała mnie od razu.

– Najpierw powstańcy, potem cywile! – rzuciła w odpowiedzi na zbiorowy jęk bardziej lub mniej poważnie rannych. – Drodzy panowie, bądźcie dżentelmenami!

Od razu ją polubiłam. Wyglądała na jakieś czterdzieści lat i już przed wojną pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. Błyskawicznie opatrzyła

moją ranę, a ja nawet się nie spostrzegłam, kiedy podzieliłam się z nią moją największą tajemnicą.

– Podejrzewam, że jestem w ciąży. Mam nadzieję, że utrata krwi nie jest groźna dla dziecka.

Poderwała się i wyszła, mamrocząc pod nosem: „Kto to widział, te młode dziewczyny teraz takie nierozważne, w ciąży i do powstania, kto to widział!”, a po kilku minutach wróciła z lekarzem. Na jego widok zbladłam i poczułam, że uginają się pode mną kolana.

– Dziewczyno, przecież mi zaraz tutaj zemdlejesz! – Sanitariuszka złapała mnie za zdrowe ramię. – Panie doktorze, niech pan coś z nią zrobi!

– Od jak dawna pani nie krwawi?

Zaczerwieniłam się. Kto to widział, żeby mężczyzna zadawał tak intymne pytania!

– No niech panienka odpowiada, jak pan doktor pyta! – skarciła mnie sanitariuszka.

– Już od ponad trzech miesięcy – przyznałam, uparcie wpatrując się w zakrwawioną podłogę.

– A inne dolegliwości ma? – zwróciła się do mnie pielęgniarzka. – Mdłości, gorsze samopoczucie, bolesność piersi?

– Zdarza się. – Przygryzłam dolną wargę.

– Teraz panią zbadam... – Musiał wiele wyczytać z mojego spanikowanego spojrzenia, bo szybko dodał: – Ogólnie. Nie jestem ginekologiem, a pani Miecia – posłał twarde spojrzenie sanitariuszce – akuszerką, więc nie będziemy tutaj pani denerwować, prawda?

Pani Miecia wydała niezrozumiałe mruknięcie, a ja ze wstydem opuściłam spódnice i położyłam się na drewnianej kozetce.

– Rzeczywiście, macica jest powiększona – przyznał lekarz, kiedy już starannie zbadał mój brzuch. – Jeśli nie krwawi pani od ponad trzech miesięcy, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że jest pani w ciąży, jednak może to być z pełnym przekonaniem stwierdzone dopiero wówczas, gdy zacznie pani odczuwać ruchy dziecka. Tętno płodu można usłyszeć przez stetoskop też dopiero w okolicach piątego miesiąca, więc teraz nic więcej nie mogę zrobić. – Zatrzymał się na chwilę, jakby chciał się zastanowić, czy to, co powie, jest na miejscu. – I proszę na siebie uważać. Oczywiście na tyle, na ile to możliwe...

Doktor pokręcił głową i wyszedł, a pani Miecia pomogła mi wstać z łóżka, jeszcze raz sprawdziła opatrunek na ramieniu i robiąc znak krzyża, wyszła z pokoju.

Kilkanaście minut później natknęłam się na Zośkę, która najwyraźniej znów odwiedziła swojego amanta, do czego oczywiście w życiu by się głośno nie przyznała. Nie lubiła mówić o uczuciach, chociaż uwielbiała słuchać historii miłosnych innych osób.

Przed szpitalem wręczyła mi papierosa. Doprawdy nie wiem, skąd ten jej absztyfikant miał ich tyle, że mógł je rozdawać na prawo i lewo, ale się ucieszyłam, gdyż brakowało mi palenia.

Paliłyśmy w ciszy, a potem ruszyłyśmy przed siebie. Stare Miasto było jeszcze w rękach powstańców, co nie zwalniało nas z obowiązku zachowania ostrożności. Moja nieciekawa przygoda z gołębiarzem była tego najlepszym przykładem. Rozglądałyśmy się niepewnie to w prawo, to w lewo i dopiero za barykadą odetchnęłyśmy z ulgą.

Wiedziałam, że Zośka jest jedyną osobą, której mogę się zwierzyć, gdyż jeśli ją o to poproszę, będzie milczeć jak grób.

– Boję się – wyznałam niepewnie.

– Ty? – zdziwiła się. – Nie znam osoby nastawionej do życia bardziej optymistycznie od ciebie!

– Nie o to chodzi. – Schowałam twarz w dłoniach. Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, że zamarła w bezruchu.

– Mila... Co się dzieje?

Spojrzałam na nią między palcami.

– Obiecuj, że nikomu o tym nie powiesz! – zażądałam.

– Przecież wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Nabrałam głośno powietrza.

– Chyba jestem w ciąży. – Powiedziałam „chyba”, bo ta myśl nadal wydawała mi się nieprawdopodobna. Nie potrafiłam myśleć o nowym życiu, podczas gdy otaczała mnie śmierć.

Zośka zaniemówiła. Dosłownie! W historii naszej kilkuletniej przyjaźni chyba się jeszcze to nie zdarzyło.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznała po dłuższej chwili. – Chyba powinnam ci pogratulować.

– Czego? Głupoty? Nawet jeśli to dziecko się urodzi, pomyśl, na jakie cierpienie skazałam je już na samym początku. W jakim świecie przyjdzie

mu żyć?

– Dlaczego: „nawet jeśli się urodzi”? – Zosia nie rozumiała.

Wzruszyłam ramionami.

– Bo matka musi żyć, żeby dziecko mogło się urodzić. – To było jasne jak słońce. – Poza tym, no cóż... Akuszerka, która odbierała poród Łucji, mówiła, że w czasie wojny drastycznie wzrosła śmiertelność noworodków, a było to jeszcze przed wybuchem powstania. Podejrzewam, że teraz może być tylko gorzej.

– Zanim zdążysz urodzić, powstanie już dawno przejdzie do historii – zauważyła Zosia.

Cmoknęłam, w milczeniu kiwając głową. Zbliżał się wieczór, odgłosy walk cichły. Za chwilę miała nastać kolejna noc powstania. Która to już? Szósta? Siódma? Straciłam rachubę, a najgorsze wciąż było przed nami.

– Co na to Krzys? – Głos Zosi dotarł do mnie jakby z oddali. Spojrzałam na nią zawstydzona, a ona domyśliła się wszystkiego. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że... Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– To był właśnie powód, dla którego poprosiłam cię, żebyś zachowała tę wiadomość dla siebie – przyznałam. – Zorientowałam się na krótko przed wybuchem powstania. Nie krwawiłam już od dłuższego czasu, ale nie przywiązywałam do tego większej wagi. Sama wiesz, że wiele kobiet nie ma teraz miesiączki ze stresu lub z wycieńczenia. To Łucja mi uświadomiła, że coś dziwnego dzieje się z moim organizmem. Nie chciałam rozpraszać uwagi Krzysia przed samym wybuchem powstania... Uwierzyłam, że walki potrwać nie dłużej niż trzy, cztery dni, a widzisz sama, że Niemcy stawiają o wiele większy opór.

– Musisz mu powiedzieć.

– Nie! – zaprotestowałam stanowczo. – To znaczy oczywiście, powiem mu, ale... nie wiem kiedy. Nie chcę go tym teraz obarczać.

– To jest wasze wspólne dziecko – powtórzyła Zośka.

– Ale to nie jest odpowiednia chwila. Obstawałam przy swoim.

– Obawiam się, że lepsza może się nie zdarzyć.

Spojrzałam jej w oczy i zobaczyłam w nich lustrzane odbicie swoich niepewności i lęków.

Rozdział 10

Emilia

WRAZ Z UCHODŹCAMI NA STARE MIASTO DOCIERAŁY NIE-
POKOJĄCE WIEŚCI O LOSACH WOLI. Najtragiczniejszy był
los ludności cywilnej. Niemcy wywlekli ludzi siłą z kamienic
i szpitali. Wszystkich rozstrzelano. Już wówczas mówiło się o kilkudziesię-
ciu tysiącach bestialsko zamordowanych Polaków. Próbowałam to sobie
wyobrazić, ale nie byłam w stanie – dla mnie to była przede wszystkim
liczba. Ogromna, niewyobrażalna.

Powstańcy i cywile przedarli się przez ruiny getta. To właśnie oni mieli
przekazać światu świadectwo wydarzeń, które w historii zapisały się pod
nazwą Rzeź Woli. Dziś myślę, że nie istnieje bardziej adekwatne słowo, aby
opisać to, co w tamtych dniach spotkało mieszkańców tej dzielnicy. Zrozu-
miałam to, kiedy spojrzałam w oczy dziewczynie, która stamtąd uciekła.
Nigdy wcześniej i nigdy później nie widziałam w ludzkim spojrzeniu takie-
go niedowierzania i bólu.

Ci, którzy przetrwali, już nigdy nie byli takimi samymi ludźmi: za życia
trafili do piekła. Piekła, które człowiekowi zgotował drugi człowiek...

Dziewczyna miała czternaście, może piętnaście lat. Natknęłam się na nią
przypadkiem, kiedy przenosiłam meldunek. Leżała na ziemi, cała zakrwawiona,
więc w pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje, ale gdy już mia-
łam iść dalej, zorientowałam się, że poruszyła ręką. Szybko się okazało, że

czuła się lepiej, niż wyglądała, przynajmniej fizycznie. Psychiczenie, no cóż, była wrakiem człowieka.

Na Woli straciła całą rodzinę i o wiele, wiele więcej. Niemcy odebrali jej nie tylko najbliższych, ale przede wszystkim przyszłość. Była świadkiem najstraszniejszych czynów. Nie zabił jej głód, nie zginęła z powodu odniesionych ran, nie została też rozstrzelana przez wroga. Umarła, gdyż nie potrafiła udźwignąć ciężaru tego, czego stała się świadkiem.

Zabrałam ją do szpitala, gdzie sanitariuszka opatrzyła jej rany. Powinam już była iść, w końcu miałam do dostarczenia jeszcze jeden meldunek, ale nie mogłam zostawić jej na pastwę losu.

– Jak ci na imię? – spytałam, siadając przy jej łóżku.

Nie odpowiedziała. Kolejne minuty upłynęły nam w ciszy. Już miałam wyjść, kiedy w końcu się odezwała:

– Nie odchodź. – To był głos kogoś, kto nie mówił od dłuższego czasu. Jej struny głosowe musiały sobie przypomnieć, jak wytwarza się dźwięk. – Irena – powiedziała, a widząc moją zdziwioną minę, dodała: – Pytałaś, jak mam na imię.

Pokiwałam głową i złapałam ją za rękę, lecz ona szybko ją cofnęła.

– Czy chcesz, żebym kogoś zawiadomiła o tym, że tu jesteś?

Spojrzała na mnie smutno, a ja już wiedziałam. Wiedziałam, że wszyscy ci, których mogłabym zawiadomić, odeszli.

– Jak masz na imię? – Wbiła we mnie świdrujące spojrzenie.

– Mila.

– Ładnie – przyznała. – To od Mileny?

– Nie. Od Emilii – wypaliłam, zanim zdążyłam się zastanowić. Nie postąpiłam najrozsądniej, podając nowo poznanej dziewczynie pełne imię, ale jak ona mogła mi zaszkodzić?

– Uciekłam z Woli, wiesz? – Zmieniła temat, znów wbijając we mnie wzrok. Potraktowałam to jak zaczepkę. – Nie macie szans z Niemcami. Oni was wszystkich zabiją.

Poczułam złość, ale nie dałam się sprowokować. Kiwnęłam tylko głową, zastanawiając się, co ja, u diabła, tutaj robię. Powinam była już iść, a tymczasem tkwiłam przy jej łóżku.

– Opanowaliśmy Stare Miasto, Śródmieście, Żoliborz, Mokotów...

Prychnęła głośno, nie pozwalając mi dokończyć.

– Nie byłaś na Woli. Inne dzielnice Warszawy czeka ten sam los. Niemcy masowo mordują mieszkańców: rannych, kobiety, dzieci... Na Woli krew spływa rynsztokami.

Spuściłam głowę. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Ta dziewczyna z pewnością widziała dużo więcej ode mnie.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytałam cicho.

– A ty chcesz mnie wysłuchać?

Przytaknęłam. Irena chyba tylko na to czekała. Ból, jaki odczuwała, był intensywny, a potrzeba jego wylania – paląca. Psychika kilkunastoletniej dziewczyny nie była w stanie wytrzymać najbardziej traumatycznych wspomnień i makabrycznych scen, które wciąż rozgrywały się przed jej oczami.

Ojciec Ireny zginął jeszcze przed wybuchem powstania. Jej rodziców nie łączyły chyba najlepsze stosunki, bo kiedy Niemcy wyciągali rodzinę z piwnicy ich domu, matka miała powiedzieć: „Miał łąjdak szczęście, że tego nie dożył”.

Irena była jedną z trojga rodzeństwa. Tereska miała osiem lat, Antos kilka tygodni przed rozpoczęciem powstania skończył pięć.

– Często pomagałam mamie w opiece nad siostrą i bratem – opowiadała dziewczyna. – Nawet kiedy ojciec żył, bo nie było z niego większego pożytku.

Kilka pierwszych dni powstania Irena wraz z matką i rodzeństwem spędziła w piwnicy.

– Kiedy weszli Niemcy, w piwnicy zapadła cisza. W powietrzu, gdzieś między nami, zawisło ogromne napięcie. Przez ułamek sekundy obie strony wpatrywały się w siebie z niepokojem, zastanawiając się, co zrobią ci drudzy. Spojrzałam na Niemca, który jako pierwszy wszedł do piwnicy, i pomyślałam, że przecież oni też są ludźmi. W całej swojej naiwności uwierzyłam, że nie zrobią nam nic złego, że przecież sami są zagubieni... To trwało krótką chwilę, gdyż z ich twarzy szybko zniknęły zaskoczenie i niepewność. Znow wcielili się w rolę panów życia i śmierci. Wypędzili nas z piwnicy. Na ulicy dołączyliśmy do innych. Mama trzymała na rękach przerażonego Antosia, a ja ciągnęłam za sobą Tereskę.

Na początku światło dzienne oślepiło Irenę, ale kiedy odzyskała ostrość widzenia, od razu zauważyła stopy martwych ciał. Setki zastygłych w bezruchu twarzy, splątanych kończyn. Wokół roznosił się swąd palonych zwłok. Ogień szalał w domach, kamienicach, szpitalach. Był wszędzie.

Nagle z tłumu wyrwał się mężczyzna z dzieckiem na rękach. Dostał w plecy całą serię. Dziecko, jeszcze żywe, Niemcy wrzucili do płonącego domu.

– Nie mieliśmy pojęcia, dokąd nas prowadzą – kontynuowała Irenka. – Antoś wciąż zawodził, a mama nie miała sił, by go pocieszać. Ktoś powiedział, że na pewno wywiozą nas do obozu. Pamiętam, że spojrzała na niego tak smutno... Z drugiej strony rozległ się głos jakiegoś mężczyzny: „Panie, do jakiego obozu?! Przecież nas na rzeź prowadzą!”. Popędzili nas Wolską w stronę Młynarskiej. Tam kazali się zatrzymać. Kiedy zaczęli egzekucję, zapadła cisza. Trwała nie dłużej niż kilka sekund. Już po chwili rozległy się krzyki mordowanych, lamenty ich bliskich i jęki oczekujących na egzekucję, przerywane przez wystrzały. Antoś wył, Tereska skuliła się gdzieś obok mnie... – Schowała twarz w dłoniach. – Nie znam słów, aby to opisać.

Ludzie zaczęli śpiewać: „Słuchaj, Jezu, jak cię błaga lud”. Dla Ireny brzmiało to jak najprawdziwsze błaganie. Nikt jednak nie usłyszał rozpaczliwej prośby konającej Woli.

– Oni wszyscy zginęli. Mama, Tereska, Antoś... – Pokręciła z niedowierzaniem głową. Wciąż nie docierało do niej, że została sama. Ja tak samo zareagowałam na śmierć rodziców. Nie wierzyłam, że nie ma ich już wśród żywych.

– Jak ci się udało uciec? – zapytałam.

– Kiedy szliśmy, mama powiedziała: „Jak cię kula nie trafi, to leż, nie ruszaj się. Nie wstawaj i nie wychodź spod trupów! Poczekaj, aż zapadnie noc, aż zrobi się cicho. Wtedy możesz uciekać”.

Nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa. Dłonią zasłoniłam usta i spojrzałam na nią wielkimi oczami. Mój Boże... Co ta dziewczyna przeżyła!

– Jak długo tam leżałaś? – zapytałam szeptem.

Wzruszyła ramionami.

– Wyszłam późną nocą, a egzekucja odbyła się, kiedy słońce było wysoko. Nie potrafię ci powiedzieć...

Nagle ta niepozorna dziewczyna, stała się dla mnie prawdziwą bohaterką. Co ona musiała przeżywać, leżąc wśród ciał rodziny, sąsiadów, znajomych... Nie potrafiłam sobie wyobrazić rozmiarów tej tragedii. Poczulałam palący gniew i wszechogarniającą nienawiść. Byłam przytłoczona rozmiarami obrzydzenia i pogardy, jakie w jednej chwili poczułam do hitlerow-

ców. Ta wrogość narastała we mnie latami, ale jeszcze nigdy nie odczuwałam jej tak bardzo, jak po rozmowie z Ireną.

– Pomścimy Wolę – powiedziałam twardo, patrząc jej w oczy.

Pokręciła głową, dając mi do zrozumienia, że nie tego oczekuje.

Później, kiedy przypominałam sobie nasze spotkanie, żałowałam, że nie wyczułam zbliżającej się tragedii. Powinnam była bardziej zatroszczyć się o tę dziewczynę. Zaoferować pomoc, zostać z nią... Ale nie było na to czasu. Ktoś gdzieś czekał na meldunek.

– Nie potrzebuję waszej zemsty. Widziałam więcej, niż człowiek może znieść. Już jestem trupem.

Wzdrygnęłam się. Słowa Ireny wywołały we mnie niepokój, ale zignorowałam złe przeczucie. Pożegnałam się, zapewniłam, że ją jeszcze odwiedzę, i już mnie nie było.

Tę noc spędziłam z Krzysiem. Czułam się piękna, bo tego dnia udało mi się umyć włosy. Wracając z okolicy placu Zamkowego, weszłam w opuszczone podwórko, gdzie spotkałam dziewczyny z mojego oddziału. Wyglądały tak beztrosko, tak niewinnie.

– Mila! Chcesz umyć włosy?

Pytanie! Oczywiście, że chciałam. Okazało się, że niemal cała kamienica jest opuszczona, a w piwnicy stoi mnóstwo wiader pełnych wody. Skąd, jak – nie wiedziały, ale nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać. W końcu mogłam się doprowadzić do porządku.

Prawdziwą plagą były wszy, więc coraz więcej dziewczyn nosiło teraz krótkie włosy. Długie warkocze były moją chlubą. Tego dnia, kiedy w końcu udało mi się odświeżyć, czułam się wyjątkowo, jakbym pomalowała usta lub podkręciła rzęsy zalotką. Tak niewiele nam wówczas było potrzeba do szczęścia...

Później jeszcze dwukrotnie wracałam do tej piwnicy, ale wieść musiała się rozejść, gdyż zapasy wody szybko się skończyły, a kilka dni później Niemcy wyłączyli wodociągi. Warszawa znalazła się na skraju epidemii, ale przecież nie o tym miałam mówić, prawda?

Krzyś. Tę noc spędziliśmy w swoich objęciach. Spaliśmy na węglu. Byłam tak wyczerpana, że zasnęłabym na stojąco. Nad ranem Krzyś dostał wysokiej gorączki, czym napędził mi ogromnego stracha. Przerazona trzymałam go za rękę, powtarzając, że wszystko będzie dobrze, i próbując dociec przyczyny nagłej niedyspozycji.

– Boli cię coś? Może jesteś ranny?

W milczeniu pokręcił głową. W końcu przyznał, że poprzedniego dnia znaleźli z kolegami zdechłego konia i... postanowili go zjeść. W pierwszych dniach powstania każdy miał jeszcze swoje jedzenie, ale z dnia na dzień było coraz gorzej. Bardzo pomagali nam cywile, lecz w końcu i im zaczęło brakować chleba. Niektóre dziewczyny chodziły zbierać dziko rosnące warzywa i owoce, ale to było bardzo niebezpieczne, bo trzeba było przejść przez linię ostrzału. Później cała Warszawa żywiła się jęczmieniem znalezionym w magazynie Haberbuscha. Kulinarnym hitem powstańczej stolicy była zupa pluj z niełuskanego zboża... Musieliśmy wypluwać łuski zboża i tak danie zyskało swą nazwę. No i widzisz? Miałam o Krzysiu mówić, o jego chorobie, a ja o zupie...

Krzyś dostał biegunki. Cierpiał, a musisz wiedzieć, że dla takiego mężczyzny jak on to był duży dyshonor, załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne przy kobiecie. Biegał jak oparzony, próbując znaleźć ustronne miejsce, ale natura czasem wygrywała. Serce mi pękało, kiedy patrzyłam, jak się ten mój biedak męczy, więc pobiegłam do szpitala z prośbą o jakieś lekarstwo. Odprawiono mnie z kwitkiem. To był czas, kiedy Niemcy coraz pewniej napierali na oddziały na Starym Mieście, a nam brakowało absolutnie wszystkiego – broni, opatrunków, lekarstw, jedzenia. Na szczęście po kilku godzinach poczuł się lepiej i zaczął odzyskiwać kolory. Czy to podczas wojny, w powstaniu, czy w czasach pokoju, chorujący mężczyzna zawsze jest umierający i nie do wytrzymania.

– Lepiej się czujesz? – Poglaskałam go czule po zarośniętej twarzy, z przejściem wchodząc w rolę sanitariuszki.

– Trochę lepiej – przyznał słabo. – No i widzisz, Mila? Mieliśmy się pobrać i nic z tego nie wyszło! A jakbym tak umarł od tej koniny?

Mimo niesprzyjających okoliczności zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się uspokoić, widząc zboląłą minę Krzysia.

– To z pewnością była zabójcza konina!

– Ty sobie kpij, a ja niemal przeniosłem się na tamten świat z powodu skrętu kiszek! – zachnął się.

– Jeszcze weźmiemy ślub, obiecuję.

– Kiedy, Mila, kiedy? Okoliczności nie sprzyjają rozmowom o przyszłości. Niemcy poczynają sobie coraz śmielej...

– Będziemy walczyć o każdy budynek – powiedziałam twardo i nagle przypomniałam sobie o Irenie. – Wiesz, wczoraj poznałam dziewczynę, która uciekła z płonącej Woli. Niemcy bestialsko zamordowali jej matkę, ośmioletnią siostrę, małego braciszka...

Odwrócił wzrok.

– Mila, ja...

– Ciii. – Nie pozwoliłam mu skończyć. – Nic nie mów, ja wiem. Nie powinnam była wspominać o Irenie. Schowajmy się tutaj, dobrze? Ukryjmy się przed całym światem.

Mocno ścisnął moją dłoń.

– Moja Mila. Moja miła – powiedział, a mnie serce zabiło zupełnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy usłyszałam te słowa.

Następnego dnia znalazłam chwilę, aby odwiedzić Irenę, ale jej już nie było. Powiesiła się tego samego dnia, kiedy rozmawiałyśmy ze sobą po raz pierwszy. Ciągle słyszałam w głowie wypowiedziane przez nią słowa: „Już jestem trupem”. Dlaczego nie przewidziałam, że będzie chciała odebrać sobie życie?

W powstaniu zginęło wielu ludzi, bardziej lub mniej mi bliskich, ale dwie osoby opłakiwałam szczególnie: Baczyńskiego i Irenkę.

Rozdział 11

Emilia

PRZYKUCNĘŁAM ZA BARYKADĄ, OPARŁAM SIĘ O BETONOWĄ PŁYTĘ CHODNIKOWĄ, ZAMKNĘŁAM OCZY NA KILKA SEKUND I... POCZUŁAM MOCNE SZARPNIĘCIE. Zdezorientowana rozejrzałam się wokół. Byłam wyczerpana, nie spałam dwie noce z rzędu. Po zajęciu Ochoty i Woli Niemcy kierowali swoje siły głównie w stronę Starego Miasta. Z dnia na dzień robiło się coraz goręcej. Było to jeszcze przed głównym natarciem, które, jak się później okazało, dopiero miało nadejść, ale łączniczki już wówczas biegały całymimi dniami, przynosząc rozkazy i amunicję, a często i w nocy miałyśmy pełne ręce roboty. Obwinałam się o śmierć Irenki, miałam do siebie pretensje, że nie zapobiegłam tragedii, że nie zrozumiałam sygnałów. Zadziwiająco: każdego dnia ginęli ludzie, a ja wciąż myślałam o śmierci dziewczyny, z którą rozmawiałam ledwie raz w życiu. Prawie codziennie chodziłam do szpitala, by wspomóc sanitariuszki. Rannych przybywało z dnia na dzień.

– Miła, co ty wyprawiasz?! – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Zosi. – Musimy iść, słyszysz? Wstawaj, idziemy!

Pokiwałam głową, chociaż najchętniej wcale bym się stamtąd nie ruszała. Oparta o płytę chodnikową byłam pozornie bezpieczna i mogłam choć na kilka sekund zamknąć oczy. Było mi już wszystko jedno. Chciałam się wyspać. O niczym innym nie marzyłam. Sen był luksusem, na który coraz rzadziej mogłam sobie pozwolić.

To był trzynasty dzień powstania. Pamiętam, bo w mojej podświadomości właśnie on zapisał się jako najtragiczniejszy w historii tego zrywu, zaraz obok kapitulacji, na którą nie mogłam i nie chciałam się zgodzić.

Powstanie trwało od niemal dwóch tygodni. Chyba już dawno zapomniałszy o tym, że miało się skończyć zwycięstwem po maksymalnie czterech dniach. Czasy, kiedy jeszcze w to wierzyliśmy, wydawały mi się tak odległe, a przecież minęło dopiero kilkanaście dni! Jak wiele się zmieniło przez ten czas...

– Mila, wstawaj!

Jęknęłam głośno. Brak snu nie był moim sprzymierzeńcem. Coraz częściej miałam wrażenie, że rozwijające się w moim łonie dziecko zabiera mi całą energię.

– Ja wiem, zasługujesz na wszystko, co najlepsze, ale mama musi teraz zebrać wszystkie siły, żeby w ogóle przeżyć – mówiłam czasem do niego. „Mama” – to brzmiało dumnie. – Nie bądź zbyt wymagający, tu się, dzieci-
no, dzieje historia, a my jesteśmy tylko ofiarami czasów, w jakich przyszło nam żyć.

Podawałam dłoń Zośce, która pomogła mi wstać, i spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Mila, dzisiaj nie idziesz do szpitala – postanowiła. – Musisz odpocząć, bo słaniasz się na nogach. Pamiętaj, że masz kogoś, o kogo musisz dbać. – Spojrzała wymownie na mój jeszcze płaski brzuch.

Pokiwałam potakująco głową, bo tylko na tyle było mnie stać. Zbliżałyśmy się już do kwatery przy Kilińskiego. Słońce jeszcze świeciło, ale dzień już się kończył. Upał nie odpuszczał, co mocno dawało się we znaki powstańcom. Wieczór przynosił wytchnienie, nie tylko od wysokich temperatur, ale też od walk. Trzynastego sierpnia odczuwałam przede wszystkim zniechęcenie i niemoc. Tak to zapamiętałam.

A potem rozpętało się piekło.

Moją uwagę przyciągnęły pełne entuzjazmu krzyki i wiwaty, odgłosy raczej rzadko słyszane w ostatnich dniach. Owszem, cisza była czymś niespotykanym, ale Warszawa zazwyczaj rozbrzmiewała jękami rannych i kano-
nadą z pistoletów maszynowych, dlatego podążyliśmy w stronę Kilińskiego. Z Podwala jechał właśnie mały czołg, z każdej strony otoczony tłumem rozentuzjasmowanych powstańców i cywili.

– Zdobyczny! – krzyknął ktoś z tłumu, a my spojrzaliśmy na siebie pod-
ekscytowane. Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęłam się tak naprawdę,
od ucha do ucha. Całe zmęczenie uleciało w ciągu chwili.

– Widzisz? – zapytałam, a Zosia potwierdziła to, co zarejestrowały moje
zmęczone oczy: wszystko wskazywało na to, że powstańcy zdobyli naj-
prawdziwszy czołg!

Aż zadrżałam z emocji. A może los powstania nie był jeszcze przesądzo-
ny? Przecież nadal mieliśmy szansę!

– Nie mogę uwierzyć! – krzyknęła mi prosto do ucha przyjaciółka. – To
niesamowite!

Z dnia na dzień sytuacja stawała się coraz trudniejsza, żeby nie powie-
dzieć: beznadziejna. Niemcy kierowali w stronę Starego Miasta coraz licz-
niejsze siły, każdego dnia ginęli nasi, a tu nagle taki sukces!

– Nie ma co się dziwić temu entuzjazmowi – zwrócił się do nas jeden
z powstańców. – Chłopaki jeżdżą ulicami Starówki tacy dumni, jakby co
najmniej szkopów na dobre z Warszawy wygonili!

– Chyba było warto, skoro ich takie piękne panienki podziwiają! – dodał
jego kolega.

Zarumieniłam się, a Zośka uśmiechnęła się do młodych mężczyzn zawa-
diacko. Byłyśmy całkiem różne, jak ogień i woda, a mimo to zawsze świet-
nie się dogadywałyśmy, chociaż odwaga Zośki czasem wpędzała nas w kło-
poty. Zamarłam, kiedy wdała się z nieznanymi mężczyznami w luźną po-
gawędkę. Mnie nawiązywanie nowych znajomości przychodziło z trudem.

– Może by panie zechciały dołączyć do nas dziś wieczorem? – zapytał
jeden z chłopaków, a ja ostrzegawczo kopnęłam Zośkę w kostkę. Nie do-
czekałam się jednak jej reakcji, gdyż nagle nastąpił wybuch, którego siła
zwaliała mnie z nóg.

Przewracając się, uderzyłam głową o bruk i na chwilę straciłam przy-
tomność. Odgłos tłuczonego szkła docierał do mnie jakby z oddali. Zajęło
mi kilka minut, zanim zorientowałam się, co się właściwie stało. Pył zaczął
powoli opadać i zobaczyłam rannych. Wielu. Rozejrzałam się nieprzytom-
nie, szukając Zośki. Na szczęście znalazłam ją kilka metrów dalej, równie
oszołomioną. Przypuszczam, że wyglądałam podobnie – brudna, w potarga-
nych ubraniach i z przerażeniem wymalowanym na twarzy. Jeden z naszych
rozmówców nie miał tyle szczęścia... Gdy Zosia zorientowała się, że chło-

pak potrzebuje pomocy, od razu do niego podbiegła, ale było już za późno. Umarł na jej rękach.

Nie on jeden. Tamtego dnia w wyniku wybuchu zginęło kilkaset osób. Tak musi wyglądać piekło. Ludzkie szczątki fruwały w powietrzu, ciała ofiar były rozczłonkowane. Kilkanaście metrów od miejsca, w którym upadłam, znalazłam korpus mężczyzny – bez głowy, rąk i nóg. Zewsząd docierały do mnie krzyki i jęki rannych, prośby o dobiecie. W promieniu kilkuset metrów wyleciały z okien wszystkie szyby. Szczątki były dosłownie wszędzie: na ulicy, na balkonach, na rynnach. Ten dzień powracał do mnie w snach przez wiele lat. Czasem nadal śnią mi się koszmary. Znow jestem na Kilińskiego...

– To była pułapka! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Co za kurestwo!

Byłam panienką z dobrego domu, w którym przywiązywano dużą wagę do sposobu wysławiania się, ale wówczas nie mogłam się nie zgodzić z takim człowiekiem – to było kurestwo. Najprawdziwsze kurestwo.

Tego, co wówczas przeżyłam na Starówce, nie sposób tak po prostu zapomnieć. Oczy człowieka nie są przygotowane na takie obrazy. Eksplozja czołgu pułapki⁷ szczególnie zapadła mi w pamięć.

⁷ W rzeczywistości pojazd nie był czołgiem pułapką, a transporterem ładunków wybuchowych, którego zadaniem było zniszczenie barykady na Podwalu. Eksplozja była więc dziełem przypadku, chociaż wielu świadków uważało, że Niemcy z pełną premedytacją umożliwili powstańcom wprowadzenie czołgu na Starówkę.

Gdybym w listopadzie czterdziestego drugiego wiedziała, że po raz ostatni rozmawiam z mamą, nasza rozmowa potoczyłaby się zapewne inaczej. Gdybym miała świadomość tego, że jeden z uczniów taty poda gestapo jego nazwisko, z pewnością ukryłabym ojca w bezpiecznym miejscu. Gdybym... Mogłabym wymieniać bez końca. Gdybym wiedziała, jak potoczą się losy powstania, czy nadal chciałabym wziąć w nim udział? Pewnie tak. Żałuję tylko tego, że wciąż zwlekałam ze szczerą rozmową, że nie powiedziałam Krzysiovi o ciąży i odkładałam dyskusję o ślubie na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nie byliśmy jedyną parą, która o tym myślała w tamtych trudnych czasach, ale my, w przeciwieństwie do innych, nie zamieniliśmy zamiarów w czyny. Zrozumienie tego, że tak właśnie miało być, zajęło mi kilkadziesiąt lat.

Po eksplozji na Kilińskiego wróciłam do oddziału i długo nie mogłam dojść do siebie. Tak bardzo potrzebowałam Krzysia! Pragnęłam choć przez chwilę ogrzać się w ciepłe naszej miłości. Obrazy ze Starówki wciąż przewijały się przed moimi oczami, jakby ktoś na okrągło odtwarzał nagrany na taśmę film. Byłam wyczerpana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale nie mogłam zasnąć. Szukałam Krzysia i chyba podświadomie czułam, że coś jest nie w porządku. Powstańcza Warszawa już dawno położyła się spać, a ja błąkałam się po ulicach, nie zważając na niebezpieczeństwo. Cud, że nie zginęłam...

W końcu weszłam do jakiejś kamienicy i usiadłam na schodach. Oparłam się zmęczona o ścianę, a kiedy dotknęłam swojej twarzy, przekonałam się, że jest mokra od łez. To był jeden z najbardziej krytycznych momentów w moim życiu. Zaczęłam rozumieć Irenkę. Sama wówczas byłam bliska podjęcia takiej decyzji, ale jeszcze coś mnie trzymało przy życiu. Coś, a raczej ktoś: Krzys i nasze nienarodzone dziecko. Musiałam żyć, aby i ono miało szansę na przeżycie – to oczywiste. Pomyślałam o Łucji i małym Heniu, którzy gdzieś tam na mnie czekali, bo przecież obiecałam, że wrócę. Nie powiedziałam „żegnajcie”, tylko „do widzenia”.

To właśnie myśl o najbliższych pozwoliła mi przetrwać jedną z najtrudniejszych nocy w moim życiu. Zasnęłam na siedząco i przez kilka godzin spałam niespokojnym snem. Rano obudziłam się obolała, ale przynajmniej w miarę wypoczęta. W miarę, bo w powstaniu nawet przez sen czuwałam i nasłuchiwałam, czy nie zbliża się wróg.

Następnego dnia podjęłam poszukiwania. Musiałam, po prostu musiałam zobaczyć się z Krzysiem. Na Kilińskiego na własne oczy się przekonałam, że nie wolno niczego odkładać na później. Nie mogłam już ryzykować. Musieliśmy w końcu być razem. Tak naprawdę razem.

– Widziałeś Krzysia? Czy spotkałaś Krzysia? – Sama nie wiem, ile razy tego dnia zadawałam te i podobne pytania. Wypełniałam obowiązki łączniczki, a w międzyczasie rozpytywałam. Mój niepokój narastał. Zbliżał się wieczór, a ja wciąż nie miałam żadnych wiadomości o ukochanym.

W końcu Bolek, jego kolega, postanowił mi powiedzieć to, co inni ukrywali przede mną od wczoraj:

– Mila, ja za tę informację nie ręczę, nie wiem, na ile to prawda, a na ile pogłoski...

Poczułam, że zaraz zemdleję. Z jednej strony chciałam żyć w błogiej nieświadomości, z drugiej bardzo pragnęłam się w końcu dowiedzieć, co się stało z Krzysiem. Już raz zniknął mi z oczu, a przecież nie stało mu się nic złego. Wierzyłam, że tym razem też tak będzie, chociaż mina Bolka mogła świadczyć o czymś zgoła odmiennym.

– Co z nim? – Głośno przełknęłam ślinę.

– Mila, ja naprawdę nie wiem, czy...

– Mówiłeś już, powtarzasz się – zwróciłam mu ostro uwagę. – Przejdiesz w końcu do sedna?

– Podobno Krzyś był wczoraj w rejonie Kilińskiego – powiedział, nie patrząc mi w oczy.

Doskoczyłam do niego, złapałam za panterkę i potrząsnęłam nim mocno.

– O czym ty mówisz? Kto ci tak powiedział? To bzdury, Krzysia na pewno tam nie było! Ja... ja widziałam eksplozję i... – urwałam. Niczego nie mogłam być pewna. Przecież tam było kilkaset osób.

– Mila, spokojnie! Mówię ci tylko to, co słyszałem. Przecież nie powiedziałem, że tam był z całą pewnością.

Puściłam go, wymamrotałam coś na przeprosiny i poszłam szukać Krzysia, znalazłam jednak tylko Zośkę i razem wróciłyśmy do oddziału. Ktoś powiedział, że Krzyś dostał rozkaz, by przedrzeć się na Czerniaków, a ja uczepiłam się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

– Chciałam mu powiedzieć o dziecku – wyznałam bezradnie Zosi. – Tak bardzo chciałabym cofnąć czas i nie ukrywać przed nim tej wiadomości...

Zośka z dezaprobatą pokręciła głową.

– Oj, Mila, Mila... Przecież ci mówiłam od razu. Łucja też cię namawiała. Do dziś nie rozumiem, przed czym ty chciałaś go chronić.

– Nie chciałam go chronić – odparłam nie bez irytacji. – Tłumaczyłam ci przecież... Bałam się, że ta wiadomość przed samym wybuchem powstania może go w jakiś sposób rozproszyć, zmusić do zmiany planów.

– To głupie – zauważyła Zosia, a widząc moją minę, szybko dodała: – Ale to twoje życie.

Położyłam się na podłodze, próbując zignorować burczenie w brzuchu. W tamtej chwili oddałabym wszystko nawet za nieświeżą koninę, ale musiałam się zadowolić zbożem, po którym dalej byłam głodna.

– On żyje, wiesz? – powiedziałam z pełnym przekonaniem.

– Krzyś?

– Tak. Ja wiem, że on żyje, bo przecież gdyby umarł, to bym to czuła... Zawsze się z nas śmialiście, pamiętasz? Jak to było? Symbioza dusz, zanim jedno zdąży pomyśleć, drugie powie to na głos?

Zośka przytaknęła.

– Tak naprawdę to my ci zazdrościliśmy takiej miłości – przyznała. – Śmiałyśmy się z ciebie, żebyś się nie domyśliła.

Nie byłam zła. Zrobiło mi się żal Zosi, która marzyła o wielkiej miłości i nigdy nie doświadczyła prawdziwego uczucia. Dziś koleżanka powiedziała by takiej dziewczynie: „Spokojnie, masz jeszcze czas”, ale wtedy? Przecież obie wiedziałyśmy, że możemy nie przeżyć powstania. Bezpieczniej było żyć teraźniejszością.

– On żyje – powtórzyłam.

Nazajutrz w kościele garnizonowym odbył się ślub sanitariuszki „Akne” i Krystyna, jej ukochanego, którego wszyscy znali pod pseudonimem Zawał⁸. Nie mogło nas tam zabraknąć, gdyż panna młoda była nam szczególnie bliska. Znałyśmy się niemal od początku konspiracji. „Akne” była jedną z tych osób, które zawsze są uśmiechnięte i zarażają innych optymizmem. Wciąż nie miałam żadnych informacji o Krzysiu, czułam się źle i gdyby to był ślub kogoś innego, pewnie w ogóle nie pojawiłabym się na uroczystości. No ale było pięknie. Doskonale rozumiałam powody, dla których „Akne” i „Zawał” zdecydowali się na małżeństwo: postanowili się pobrać, bo nie wiedzieli, co się z nimi stanie. Przecież nie było wiadomo, co przyniesie kolejny dzień. Czy przeżyją, czy któreś zginie, a może oboje... Rozumiałam to doskonale. W powstańczej Warszawie niemal każdego dnia ktoś składał przysięgę małżeńską. A ileż było takich par jak my, którym nie udało się stanąć na ślubnym kobiercu!

⁸ Mowa o ślubie Lidii Kowalczyk „Akne” i Krystyna Strzeleckiego „Zawał”, który w rzeczywistości odbył się 15 sierpnia 1944 roku.

„Akne” i „Zawał” przysięgali sobie miłość w panterkach. Ona nie miała sukni ślubnej, a on sztywnego fraka, ale i tak wyglądali przepięknie. Przepięknie ich szczęście i miłość. Po ceremonii musieli wrócić do swoich obowiązków. Tak naprawdę żadne z nich nie mogło mieć pewności, że to nie jest ich ostatnie spotkanie.

– I że cię nie opuszczę aż do śmierci...

Słowa przysięgi małżeńskiej nabrały zupełnie nowego znaczenia. Liczyło się tylko tu i teraz.

Uroniłam łzę, kiedy ksiądz wypowiedział słowa: „Od tej pory jesteście mężem i żoną”. Wzruszona patrzyłam na szczęśliwą „Akne” i wyobrażałam sobie, że to ja i właśnie składam przysięgę Krzysiowi. Gdzie się podziewał mój ukochany? To nie był odpowiedni czas, aby mieć jakieś plany czy marzenia. Mogłam mieć tylko nadzieję.

Nie wiem, jak potoczyły się dalsze losy „Akne” i „Zawała”, ale jedno jest pewne: w tamtej chwili byli najszczęśliwsi na świecie.

Rozdział 12

ROZMOWY O PRZESZŁOŚCI KOSZTOWAŁY BABCIĘ WIELE – CZASEM NAWET ODNOSIŁ WRAŻENIE, ŻE ZBYT WIELE. Z pełnej życia, energicznej starszej pani stała się nieobecna, zasepiona staruszką. Dopiero teraz było po niej widać jej rzeczywisty wiek. Mikołaj nigdy nie myślał o tym w ten sposób, ale nagle zrozumiał, że babcia powoli gaśnie. Niby wiedział, że nikt nie jest nieśmiertelny i na każdego przyjdzie pora, a Emilia miała już przecież dziewięćdziesiąt cztery lata, jednak wcześniej nie zdarzało mu się tego roztrząsać. Zawsze była mu bliska, ale dopiero wtedy, gdy poznał jej trudną przeszłość, zaczął na nią patrzeć z podziwem i dumą. Jego uwadze nie mogło umknąć jednak to, jak wysoką cenę płaciła za dzielenie się z nim swoimi wspomnieniami. Powrót do tamtych sierpniowych dni kosztował ją wiele i odebrał jej mnóstwo energii.

– Jeśli nie chcesz, nie musimy o tym rozmawiać – powiedział, obserwując z niepokojem zmianę w zachowaniu babci.

– Nie przychodzimy znikąd – stwierdziła, wpatrując się w niego uważnie. – Każdy z nas ma jakąś historię. Musisz poznać przeszłość swojej rodziny, aby zrozumieć teraźniejszość i dać szansę przyszłości.

Powiedziała to tak zdecydowanym tonem, że od razu zrozumiał, iż nie ma najmniejszego sensu dyskutować. Nie miał zresztą na to ochoty. Uwielbiał te opowieści. Z niecierpliwością czekał, aż Emilia pogrzeży się we wspomnieniach i znów uchyli mu drzwi do swojego świata.

Już jako dzieciak wykazywał duże zainteresowanie historią, a jego ulubioną bajką byli „Flinstonowie”. Kiedy miał pięć czy sześć lat z zapartym

tchem śledził losy rodzin jaskiniowców. W szkole historia była jego ulubionym przedmiotem, zaraz obok języka polskiego, a na studiach jako jeden z nielicznych z ochotą uczęszczał na wszystkie wykłady z historii Polski, chociaż prowadzący był dość irytujący.

Nie spodziewał się, że stanie się świadkiem wielkiej historii, a jego babcia była uczestniczką wydarzeń, które na zawsze zapisały się w świadomości Polaków. Podobał mu się nawet wątek miłosny, chociaż dziwnie się czuł, słuchając o ukochanym babci, który nie był jego dziadkiem. Młodemu ludziom z trudem przychodzi zrozumienie, że zanim ich rodzice zostali ich rodzicami, a dziadkowie dziadkami, mogli mieć jakieś inne życie.

– Pójdę się położyć – odezwała się Emilia, gasząc w popielniczce papierosa. – Jestem już zmęczona.

Skinął głową i pomógł babci wstać z fotela. Kolejny dowód na to, że była jakaś nieswoja – nie protestowała, kiedy wyręczał ją i pomagał jej w codziennych czynnościach.

Gdy wrócił do pokoju, był tak bardzo żądny nowych informacji, że złamał zasadę o nieczytaniu cudzej korespondencji i sięgnął po ostatni z listów, mając nadzieję, że zawartość koperty pomoże mu zrozumieć, jak potoczyły się dalsze losy babci i Krzysztofa. Czy jeszcze się spotykali? Co stało się z ich dzieckiem? Szczególnie interesowało go to ostatnie.

Zawahał się, rozrywając zaklejoną kopertę, ale przekonał sam siebie, że przecież babcia powiedziała, iż te listy należą teraz do niego, tak jak powstańcza opaska, i może z nimi zrobić, co tylko chce. Nawet zasugerowała, aby zapoznał się z treścią korespondencji. „Dość już tych nieudomówień” – właśnie tak powiedziała.

Najdroższy!

Który to już raz piszę do Ciebie? Przez ostatnie dwadzieścia trzy lata uzbierał się już pokaźny stosik listów, których nigdy nie wysłałam. Z pewnością ułożyłeś sobie życie, jestem tego pewna, tak jak w głębi duszy zawsze byłam pewna, że żyjesz, nawet jeśli przychodziły chwile zwątpienia. Nie pytaj dlaczego, po prostu od początku wiedziałam, że gdzieś tam, w równoległym świecie, toczą się Twoje losy. Minęliśmy się, a nasze ścieżki już nigdy się nie przecięły. Jeszcze do niedawna czekałam. Wiesz, za każdym razem, kiedy słyszałam pukanie do drzwi, zrywałam się i szybko biegłam otworzyć. Mąż

patrzył na mnie jak na wariatkę, ale nic nie mogłam poradzić na to, że przez moją głowę za każdym razem przebiegała szalona myśl: „Może to Krzys?”. Czas z tym skończyć, mój drogi.

Nie widziałam Cię od dwudziestu pięciu lat. Toż to ćwierć wieku! Jeszcze wczoraj byłam młódką, a dziś jestem kobietą w średnim wieku. Nienawidzę tego określenia.

Krzysiu, w ubiegłym miesiącu urodziłam córkę. Na stare lata los zgotował mi taką niespodziankę, wyobrażasz sobie? Przecież mam czterdzieści siedem lat! Pogodziłam się już z tym, że nie będziemy mieć z mężem dzieci, prawdę mówiąc – wcale ich nie chciałam. O ciąży dowiedziałam się, kiedy było już za późno, aby cokolwiek zrobić. Przypuszczam, że nie odważyłabym się na aborcję, ale byłam zła, że los zadecydował za mnie. Brak krwawienia u czterdziestosiedmioletniej kobiety nie jest wszak niczym niezwykłym, więc nie zwróciłam na to większej uwagi. Trochę przytyłam, ale to nie wzbudziło mojego niepokoju. Cóż, w naszym wieku nietrudno o kilka dodatkowych kilogramów, prawda? Kiedy w końcu zaczęłam czuć coś, co ponad wszelką wątpliwość było ruchami płodu, byłam przerażona! Popędziłam do lekarza, który stwierdził, że za cztery miesiące mogę się spodziewać rozwiązania. Wyobrażasz sobie moje zaskoczenie?

Jestem pełna obaw. To nie jest wiek na rodzenie dzieci. Moje rówieśnice zostają babciami, a ja nie wiem, czy dożyję dorosłości mojej córki. Przeraża mnie późne macierzyństwo. Jestem już w takim wieku, że potrzebuję przede wszystkim świętego spokoju i odpoczynku. Ostatnie lata ciężko przepracowałam fizycznie i mam poważne obawy, czy starczy mi sił, aby wychować to dziecko.

To dziecko... Mówię o niej tak, jakby była bezimienna. A przecież to dziecko ma imię. To Helenka, moja mała córeczka. Nie chciałabym jej zawieść, dlatego postanowiłam, że już nigdy do Ciebie nie napiszę. Brzmi to tak, jakbyśmy przez minione ćwierć wieku utrzymywali kontakt, a przecież ty nawet nie wiesz, co się ze mną dzieje, i pewnie już dawno o mnie zapomniałeś. Łatwiej nie pamiętać. Życie wydaje się prostsze i mniej bolesne.

Ja nigdy o tobie nie zapomniałam, za co ogromną cenę płacę nie tylko ja, ale przede wszystkim mój mąż. Trudno być z kimś, kto żyje przeszłością i patrząc drugiej osobie w oczy, wyobraża sobie twarz dawnego ukochanego. Nie chcę rozczarować Helenki, pragnę być dla niej jak najlepszą mamą, dlatego muszę oddzielić grubą kreską to, co jest, od tego, co było. Miłość,

która połączyła nas w Warszawie, była najpiękniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała, ale sam przyznasz, że była jakby trochę odrealniona. To się nie miało prawa udać. Taką cenę przyszło nam zapłacić za to, że przyszliśmy na świat w złych czasach. Na tym właśnie polega tragizm naszego pokolenia. Potrzeba wielu generacji, aby krew została odfiltrowana z wojennej traumy i wszystkich jej następstw. Chciałabym, aby Helena była szczęśliwa, ale obawiam się, że i ona, tak jak jej matka, będzie żyć w cieniu tamtych sierpniowych dni.

Wyobrażam sobie, że u ciebie jest inaczej, może lepiej. Wierzę, że założyłeś rodzinę, kochasz swoją żonę, a twoje dzieci wychowują się w ciepłym domowym ognisku. W moim domu panuje chłód.

Może spotkamy się kiedyś w lepszym świecie? Wprawdzie nie jestem pewna, czy wierzę w jego istnienie, ale jeśli rzeczywiście jest takie miejsce, jestem pewna, że spotkamy się właśnie tam.

*Na zawsze Twoja
Mila*

Mikołaj starannie schował list do koperty i odłożył ją z mieszanymi odczuciami. Pomyślał o dziadku Janku i zrobiło mu się go żal. To musi być trudne: przeżyć życie z ukochaną kobietą, a tak naprawdę przez cały czas dzielić się nią z innym mężczyzną, nawet jeśli jest on tylko wspomnieniem. Emilia napisała ten list w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, czyli dwadzieścia trzy lata po ślubie z dziadkiem, a jej słowa nadal były przepełnione tęsknotą i miłością. Czy dziadek o tym wiedział? Przecież nie był głupi. Musiał czuć, że codzienność jego żony jest pełna tęsknoty za dawnym ukochanym.

Pamiętał dziadka jak przez mgłę, ale nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział go smutnego. Zawsze uśmiechnięty, serdeczny i skłonny do pomocy, a jednak głęboko w sercu chował zadrę.

Cieszył się, że babcia przestała pisać listy, kiedy Helena przyszła na świat. Może nie chciała dziecka, ale jednak postanowiła ułożyć sobie życie z córką i mężem. Co więc poszło nie tak? Dlaczego babcia i matka nigdy nie znalazły wspólnego języka? Za co Helena obwiniła Emilię? Na żadne z tych pytań nie znał odpowiedzi.

* * *

Kolejny dzień przyniósł nowe niespodzianki.

Telefon od Liwii okazał się dla Mikołaja niemałym zaskoczeniem. Nie spodziewał się, że dziewczyna jeszcze kiedykolwiek do niego zadzwoni, tymczasem ona odezwała się już następnego dnia po powrocie z Mazur. Chciała się spotkać. Słowem nie zająknęła się o Łukaszu, a on nie zamierzał pytać.

– Pod koniec sierpnia jadę z mamą nad morze, ale teraz jestem wolna – powiedziała, kładąc szczególny nacisk na drugą część zdania. Mikołaj nie był aż takim ignorantem, aby nie wyczuć sugestii.

– Nie wiem, kiedy będę w Katowicach – przyznał niechętnie. Wciąż miał jej za złe, że pojechała na Mazury z jego kolegą, ale może przejrzała na oczy i żałowała tego, co zrobiła? – Moja babcia miała niedawno wypadek i jestem chwilowo uziemiony w Libiążu.

– Och, to coś poważnego? – Z tonu głosu dziewczyny wyczytał troskę.

– Sam wypadek właściwie nie był poważny, ale jego konsekwencje już tak. Babcia się przewróciła i upadła tak niefortunnie, że złamała biodro i musiała przejść operację.

– Przykro mi. Odezwij się, jak wrócisz. Może uda nam się w końcu spotkać? Coś nie możemy się ostatnio zgrać!

Rozłączył się z uśmiechem na twarzy. Telefon od Liwii zdecydowanie poprawił mu nastrój. Myślał, że sprawa z dziewczyną jest przegrana, tymczasem sama się do niego odezwała z propozycją spotkania.

Od obiadu zdążył zgłodnieć, ale do babci przyszła pani Marylka, więc nie zamierzał przeszkadzać i postanowił sam coś sobie przygotować. Zajrzał do lodówki, jednak po szybkiej analizie jej zawartości doszedł do wniosku, że wizyta w sklepie jest nieunikniona. Wsunął stopy w wysłużone adidasy i wyszedł z domu. Błyskawicznie uporał się ze sprawunkami i już po dwudziestu minutach był z powrotem.

Naprawdę nie miał zamiaru podsłuchiwać. Kiedy jednak usłyszał swoje imię, zastygł w bezruchu i chociaż nie przyznałby się do tego nawet sam przed sobą, zaczął z zainteresowaniem słuchać tego, o czym rozmawiają kobiety.

– Martwię się o Mikołaja – usłyszał głos babci. – Przecież chłopcy w jego wieku spotykają się z dziewczynami, wychodzą gdzieś z kolegami. A on?

– Na pewno ma swoje życie w tych Katowicach – zauważyła pani Marylka. – Zresztą przyjechał tutaj nie dla przyjemności, a żeby ci pomagać. Rozrywki ma w akademiku.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała babcia. – Oczywiście ma kolegów i nie żyje jak mnich, ale zdaje się, że ten mój wnuk ma trudności ze sprawami damsko-męskimi.

W sąsiadce odezwała się plotkara, gdyż na sugestię, że rozmowa może dotyczyć relacji intymnych, zareagowała nagłą zmianą tonu.

– Doprawdy? Ale że jak... Myślisz, że Mikołaj jest... – Od razu poczuł gniew. Co ona sobie wyobraża?! Nawet gdyby chciał, nie mógł się ruszyć z miejsca. Musiał się dowiedzieć, w jakim kierunku podążyła ta rozmowa.

– A skąd! – oburzyła się Emilia. – Z moim wnukiem wszystko w porządku, tylko widzisz, Marylko... – Urwała, a on dałby sobie rękę uciąć, że sąsiadkę aż skręca z ciekawości. – Obawiam się, że relacje z matką kładą się cieniem na jego życiu. Mikołajowi brakuje pewności siebie i przebojowości, a sama wiesz najlepiej, jakie są dziś młode dziewczęta...

Uwaga nie była pozbawiona sensu, gdyż pani Marylka miała dwie córki, które co prawda założyły już rodziny, ale jeszcze kilka lat temu miała z nimi wiele kłopotów.

– E tam, lepiej żeby był nieśmiały i wycofany, niż żeby zmajstrował jakiejś pannie dzieciaka! – podsumowała sytuację sąsiadka. – Jeszcze przyjdzie na niego pora.

– Tylko czy ja tego doczekam? – W głosie babci zabrzmiała nostalgiczna nuta.

Po chwili kobiety dość płynnie przeszły z tematu braku pewności siebie Mikołaja w relacjach z koleżankami do rozmowy o synu starej Kopciowej, który nadużywa alkoholu, więc Mikołaj rozpakował zakupy i szybko poszedł na górę.

Już od jakiegoś czasu chodził mu po głowie pewien pomysł, ale nie wiedział, jak wcielić go w życie. Gdy się nad tym zastanawiał podczas przygotowywania kolacji, rozdzwonił się jego telefon.

– Co jest? – odebrał, dość nieudolnie próbując ukryć zdziwienie. Wojtek nie należał do grona jego najbliższych znajomych. Ich relacje można było

określić jako poprawne, jednak nie byli przyjaciółmi czy nawet bliskimi kolegami. Po prostu jeden z wielu znajomych z akademika. Wprawdzie mieli razem jechać z większą grupą na Mazury, jednak Wojtek zdecydowanie bliżej był z Łukaszem, za którym z kolei, z wiadomych względów, Mikołaj nie przepadał.

– Stary, co ta twoja panna nawywijała na Mazurach? Słyszałeś już o tym?

Zamarł. Domyślił się, że mówiąc „twoja panna”, Wojtek ma na myśli Liwię, ale mimo to zapytał:

– O kim ty mówisz?

– O Liwii, a o kim? Dotarły już do ciebie najświeższe wieści? – Po obu stronach zapadła cisza. – Halo, jesteś tam?

– Jestem, ale nie wiem, do czego zmierzasz i dlaczego dzwonicz z tym do mnie. Nie mam z Liwią nic wspólnego. Może robić, co jej się podoba.

– Nie bądź taki sztywny. Wszyscy wiedzą, że na nią lecisz! – zaśmiał się Wojtek. – W każdym razie niezłe z niej ziółko... Jednego wieczoru tak się upiła, że sama wskoczyła Łukaszowi do łóżka. A raczej do namiotu.

Mikołaj głośno przełknął ślinę. Serce waliło mu jak oszalałe, ale dołożył wszelkich starań, aby jego głos brzmiał spokojnie.

– Przypuszczam, że Łukasz nie czuł się szczególnie pokrzywdzony.

– Wtedy pewnie nie, ale później ubzdurzyła sobie, że skoro się ze sobą przespali, będą żyć długo i szczęśliwie, a Łukaszowi chyba nie o to chodziło...

Rozłączył się, rzucając ze złością telefon na łóżko. Nie mógł tego słuchać. Nagle stało się dla niego jasne, dlaczego Liwia zadzwoniła. Szukała pocieszyciela, a on naiwnie wierzył, że chodzi o coś innego. Owszem, poznała się na Łukaszu, ale najpierw spędziła z nim noc. Zawiódł się na niej i nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Czy aż tak wiele wymagał od kobiet?

Jego wzrok zatrzymał się na laptopie. „I tak nie mam nic lepszego do roboty”, pomyślał i włączył komputer.

Wpadł na ten pomysł po przeczytaniu ostatniego listu babci. Zrozumiał, że nawet jeśli Emilia opowie mu swoją historię, nigdy nie będzie miał szansy, by poznać całą opowieść, gdyż do tego są potrzebne obie strony. Jeżeli dobrze rozumiał, kontakt babci z Krzysztofem urwał się niespodziewanie w czasie powstania. On przepadł, a ona rozpaczliwie go szukała, jednak z korespondencji wywnioskował, że nie udało jej się już z nim spotkać.

Co się z nim stało? Czy rzeczywiście, tak jak wierzyła Emilia, przeżył wojnę? Czy wrócił do Warszawy? Czy pod adresem z koperty zastałby Krzysztofa lub jego najbliższych?

W dobie internetu łatwo można było kogoś namierzyć przy pomocy przeglądarki. Oczywiście nie przypuszczał, że dziewięćdziesięcioletni staruszek, o ile jeszcze żyje, ma konto na Facebooku czy Instagramie, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie można go znaleźć w sieci.

Postanowił spróbować. Począł, aż witryna się załaduje, i wpisał w wyszukiwarkę imię i nazwisko ukochanego babci. Od razu zignorował profil lekarza na pewnym znanym portalu medycznym oraz najnowsze wiadomości ze świata siatkarskiego. Już myślał, że jego poszukiwania zakończą się niepowodzeniem, kiedy jego wzrok przykuł nagłówek. Relacja z obchodów rocznicy wybuchu powstania warszawskiego została opublikowana przed czterema laty. Przebiegł wzrokiem tekst, jednak nie znalazł w nim szukanego nazwiska. Spojrzał na zdjęcie, z którego patrzyła na niego usiana siecią zmarszczek, uśmiechnięta twarz starszego mężczyzny. Pod fotografią widniał podpis: „Powstaniec Krzysztof «Andrzej», «Krzyś» Andrzejewski z wnuczką Martą na obchodach rocznicy wybuchu powstania”.

Bingo!

Dziewczyna ze zdjęcia miała czternaście, może piętnaście lat. Skoro zrobiono je przed czterema laty, musiała być jego rówieśnicą. Jego serce zabiło szybciej. Na palcach jednej ręki mógłby policzyć znajomych, którzy nie założyli konta na Facebooku. Teraz niemal każdego można było tam znaleźć.

Jego palce zawisły kilka centymetrów nad klawiaturą. Zawahał się. Nie mógł mieć przecież pewności, że wnuczka Krzysztofa nosi to samo nazwisko. Wystarczyło, że była dzieckiem jego córki, a już nazywała się inaczej, postanowił jednak spróbować. Porównał zdjęcia ośmiu kobiet, które wyświetliły się jako pierwsze, z fotografią kilkunastoletniej dziewczyny, ale żadna nie pasowała. Kliknął w pasek „Znajdź więcej wyników dla Marta Andrzejewska” i jęknął. Miał do przejrzania co najmniej kilkadziesiąt profili.

Po kilkunastu minutach jego serce zabiło szybciej. Spojrzał na zdjęcie profilowe jednej z dziewczyn i nie miał żadnych wątpliwości: nie zmieniła się prawie wcale. Przejrzał zamieszczone przez nią zdjęcia, ledwie kilka, najwyraźniej Marta udostępniała informacje o sobie i posty wyłącznie znajomym.

Co teraz powinien zrobić? Kiedy rozpoczynał prywatne śledztwo, nie spodziewał się, że zaprowadzi go ono na facebookowy profil wnuczki Krzysztofa. Postanowił o niczym nie mówić babci, przynajmniej na razie. Jej ukochany żył jeszcze cztery lata temu, co znaczyło, że rzeczywiście udało mu się wydostać z wojennej zawieruchy. Nie chciał jednak, aby Emilia przeżyła rozczarowanie, jeśli się okaże, że w ciągu tych czterech lat mężczyzna zmarł, a szansa na nawiązanie kontaktu przepadła. Najważniejsze pytanie brzmiało: czy babcia w ogóle chciałaby się z nim skontaktować? Jej mąż już nie żył, a córka była dorosła, więc nic nie stało na przeszkodzie, aby spotkała się z dawną miłością, jednak Mikołaj nie zamierzał za nią podejmować tej decyzji. Uznał, że skontaktuje się z Martą, zapyta ją o dziadka, a później zastanowi się, co dalej.

Otworzył okno nowej wiadomości. Słowa popłynęły same.

Cześć!

Na pewno zdziwi Cię moja wiadomość, bo nigdy się nie spotkaliśmy, ale wszystko wskazuje na to, że nasi dziadkowie mogli się znać w przeszłości. Nie, nie jestem wariatem, spokojnie ☺ Nie wymagam od Ciebie, żebyś zostawiła like'a pod moim postem konkursowym, nie chcę Cię zachęcać do polubienia mojego fanpage'a i niczego nie sprzedaję. Chciałbym tylko, żebyś się odezwała, jeśli jesteś wnuczką Krzysztofa Andrzejewskiego, który brał udział w powstaniu warszawskim. Moja babcia, Emilia Krajewska z domu Żmigrodzka, najprawdopodobniej znała twojego dziadka i jest bardzo ciekawa jego powojennych losów. Jeżeli ten człowiek jest ci obcy, po prostu zignoruj moją wiadomość.

*Z pozdrowieniami
Mikołaj*

Wiadomość została wysłana.

Rozdział 13

Emilia

NA STARÓWCE ROZPĘTAŁO SIĘ PIEKŁO. Niemcy skierowali w tamtą stronę wszystkie swoje siły. Uchodźcy z innych dzielnic Warszawy, zwłaszcza z Woli, zapewniali, że jeszcze nigdzie nie widzieli tak zażartej obrony. Walczyliśmy dosłownie o każdy dom, a gęsta zabudowa ułatwiała obronę. Wróg utrzymywał stały ostrzał artyleryjski i moździerzowy. Płonęły katedra Świętego Jana, kościół Najświętszej Marii Panny i ratusz przy placu Teatralnym. Lotnictwo niemieckie nieustannie bombardowało Rynek Starego Miasta. Każdego dnia ginęły setki ludzi: zarówno powstańcy, jak i cywile. Po początkowej euforii nie został ślad.

– Czemu żeście z Niemcami zadarli? Nie pytaliście nas o zgodę, a teraz czeka nas pewna śmierć!

Nigdy nie zapomnę wykrzywionej złością twarzy kobiety, która szarpnęła mnie mocno za ramię, kiedy starałam się wydostać przez piwnice z bombardowanej przez niemieckie lotnictwo ulicy Miodowej. Jeszcze do niedawna cywile oddawali nam swoje jedzenie, zapewniali o wsparciu i wierze w słuszność powstania, teraz jednak było inaczej.

– Co też pani wygaduje? – oburzyła się Bożena, która mi wówczas towarzyszyła. – Myśli pani, że my dla przyjemności z Niemcami zadarliśmy? Prędzej czy później i tak by nas pozabijali, więc trzeba było wziąć sprawy w swoje ręce!

Kobieta ze smutkiem pokręciła głową.

– Młode jesteście, to głupie i naiwne. Idźcie, a nas tu na pewną śmierć zostawcie!

Pociągnęłam koleżankę za rękaw i poszła za mną.

– Trzeba brać nogi za pas, bo bomby spadają coraz bliżej. W końcu trafią i nas. Zostaniemy pogrzebane żywcem. – Aż się wzdrygnęłam na samą myśl.

To właśnie podczas bombardowania Starego Miasta przekonałam się, co znaczy „niemiecka precyzja”. Niemcy niszczyli domy po kolei, z wielką dokładnością. Było w tym coś szalonego, ale i przewidywalnego – przynajmniej wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać. Rynek był bombardowany przez dwanaście godzin, od ósmej rano do ósmej wieczorem, dzień w dzień. Nad naszymi głowami przelatowały bombowce – po zrzuceniu kilku bomb wracały na lotnisko i po kilkudziesięciu minutach można się ich było spodziewać z powrotem.

Warszawa nie miała jak się bronić. Próbowaliśmy konstruować własną broń z niewypałów, oszczędzaliśmy pociski, ale to była kropla w morzu potrzeb. Kiedy Niemcy skierowali przeciw nam wszystkie siły, nie mieliśmy najmniejszych szans na obronę, ale wtedy jeszcze liczyliśmy na pomoc aliantów.

– Przecież nie mogą nas zostawić na pewną śmierć!

Wygramoliłam się z gruzów budynku, który jeszcze wczoraj był jedną z najpiękniejszych kamienic na Starówce, i moim oczom ukazał się przerażający widok.

– Mordercy! – wrzasnęłam ze złością, ale mój krzyk zagłuszył huk bomby spadającej kilkaset metrów dalej.

Hitlerowcy nie po raz pierwszy zagrali na uczuciach powstańców. Użyli ludności cywilnej w charakterze żywych tarcz. Pędzili ludzi przed czołgami, gwarantując sobie bezpieczeństwo. Wiedzieli, że nie będziemy strzelać. Cywile tłoczyli się w piwnicach, gdyż wyjście na zewnątrz wiązało się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

– Mila, chodź... Nic tu po nas.

Przerażała mnie moja bezsilność. Mogłam tylko patrzeć, jak moje ukochane miasto niknie w oczach. Śmierć sama w sobie nie była straszna. W pewnym momencie zorientowałam się, że została nas garstka. Widziałam, jak moi koledzy i koleżanki umierają, ale nie miałam czasu, by się

przy nich zatrzymać. Musiałam biec dalej. Dopiero później, kiedy było już nas bardzo mało, dotarło do mnie, że oni już nie wrócą, że ich nie ma.

Nie bez powodu mówi się, że Warszawa została odbudowana na grobach powstańców. Chowaliśmy naszych zmarłych na placach, skwerach, w podwórzach. W prowizorycznych grobach zostawialiśmy butelki, a w nich kartki z personaliami ofiary, żeby ci, którzy przyjdą po nas, mogli ich rozpoznać. Wiem, że nie wszyscy zmarli zostali odkopani. Ich szczątki do dziś spoczywają gdzieś pod zabudowaniami Warszawy.

– Nadal szukasz tego swojego narzeczonego? – zapytała Bożena, a moje serce zabiło szybciej. Czyżby miała jakieś informacje o Krzysiu?

Minął już tydzień, odkąd widziałam go po raz ostatni. Szalałam z niepokojem, szukając jego twarzy pośród żywych i martwych. Od jakiegoś czasu wraz z innymi łączniczkami zajmowałam się grzebaniem zmarłych. Najbardziej bałam się tego, że w którymś z tych poranionych, pozbawionych życia ciał rozpoznam Krzysia. Ten lęk prześladował mnie każdego dnia, kiedy wyciągałam kolejne zwłoki spod ostrzału. Ryzykowałyśmy życiem, żeby pochować towarzyszy. Zapytasz pewnie, czy to miało sens. Dzisiaj stwierdziłabym z całą pewnością, że nie, bo im jestem starsza, tym bardziej doceniam życie, ale wtedy myśleliśmy zupełnie innymi kategoriami. Nigdy nie zostawialiśmy swoich. W tak okrutnych czasach trzeba było przecież mieć jakieś wartości.

Spojrzałam na Bożenę, której prawdziwego imienia nie znałam – zetknęłyśmy się ze sobą w czasie powstania, służyłyśmy w jednym batalionie. Wcześniej nie należała do konspiracji. Została ochotniczką tuż po pierwszym sierpniu.

– Wiesz coś o losach mojego Krzysia? – spytałam pełna nadziei.

Spuściła wzrok. Zrozumiała, że niepotrzebnie pytała, gdyż wzmianka o ukochanym tylko rozbudziła we mnie nadzieję.

– Nie powinnam była pytać...

Westchnęłam głośno. Czekałyśmy, aż Niemcy skończą ostrzał, żeby wyjść z piwnicy i wrócić na kwaterę.

– Tak bardzo za nim tęsknię.

– Jak się poznaliście?

Nigdy nie byłam skłonna do zwierzeń, ale wtedy opowiedziałam jej niemal całe swoje życie.

– Często mijaliśmy się, czy to przypadkiem na ulicy, czy to gdzieś na akcji – wyznałam. – Krzyś był od samego początku zaangażowany w działalność konspiracyjną. Kiedy Starzyński⁹ przygotowywał odezwę do mieszkańców Warszawy, on już się zastanawiał, jakie są inne możliwości walki z Niemcami. Przez cały okres okupacji walczył z hitlerowcami, ale nigdy nie wykazywał się bezmyślną brawurą i zuchwałością. Urzekł mnie skromnością i... Kirkorem.

⁹ Stefan Starzyński – cieszący się ogromnym autorytetem prezydent Warszawy w latach 1934–1939.

– Kirkorem?

– Kirkorem – potwierdziłam z uśmiechem. Byłam w samym środku bombardowanego Starego Miasta, w każdej chwili mogłam zginąć, a mimo to uśmiechnęłam się na wspomnienie Krzysia wcielającego się w rolę męża Balladyny. – Uczęszczałam na tajne komplety, a on grał w amatorskim teatrze. Przed świętami wykładowczyni przygotowała dla nas niespodziankę. Zabrała swoich studentów na spektakl. Zaprosiła kilku aktorów, którzy wystawili „Balladynę”.

– A Krzyś grał Kirkora – domyśliła się.

Potwierdziłam skinieniem.

– Zaintrygował mnie, ale nigdy nie okazałabym pierwsza zainteresowania mężczyźnie. Całe szczęście, że on również zwrócił na mnie uwagę i zapytał, czy może mi towarzyszyć w drodze do domu, bo inaczej nasza znajomość by nie rozkwitła.

Skuliłam się odruchowo, kiedy kolejna bomba spadła na Stare Miasto. Powoli zaczynało zmierzchać. Wiedziałam, że niebawem Niemcy zaprzestaną bombardowania. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zanim to nastąpi, nie zginę.

– Czyli miłość od pierwszego wejrzenia? – usłyszałam głos Bożenki.

Właśnie tak wyglądało życie w powstaniu – obok nas spadały bomby, a mimo to staraliśmy się żyć normalnie, toczyć rozmowy na neutralne tematy i zajmować się codziennymi sprawami.

– Musiałabyś zapytać Krzysia o to, jak to wyglądało z jego perspektywy – powiedziałam smutno, zastanawiając się nad znaczeniem tych słów. Czy Bożena będzie miała szansę spytać o cokolwiek mojego ukochanego?

Czy Krzys w ogóle był wśród żywych? – Ja zakochałam się w nim jeszcze tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy odprowadził mnie do domu... Nie myśl sobie jednak, że od początku było łatwo. Przed wojną miałam narzeczonego, któremu obiecałam, że będę czekać – dodałam, sama nie wiedząc, dlaczego jej właściwie o tym opowiadam.

– Co się z nim stało? – Nagłe pojawienie się postaci tajemniczego narzeczonego sprzed wojny zaintrygowało Bożenę.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami. – Wyjechał na front w trzydziestym dziewiątym i ślad po nim zaginął. Nigdy nie napisał ani do mnie, ani do rodziców. Mój tata jeszcze przed wojną znał się z jego ojcem, dlatego nie czuł się dobrze w nowej sytuacji. Od razu polubił Krzysia, jednak uważał, że to nie jest w porządku wobec Janka i jego rodziny.

– Czyli tego twojego narzeczonego sprzed wojny, tak? Ależ ci zazdrościć!

– Czego? – Nie rozumiałam.

– Jak to czego? Tych zawirowań, porywów serca, niepewności i burz! – Bożena okazała się niepoprawną romantyczką. – Ja miałam takie nudne życie...

– Ile ty masz właściwie lat?

– Siedemnaście – przyznała.

Zapewne w innych okolicznościach powiedziałabym jej coś w stylu „masz całe życie przed sobą”, ale wtedy takie słowa nie przeszłyby mi przez gardło.

– Jesteś bardzo młoda – stwierdziłam ostrożnie.

– Zawsze chciałam wstąpić do konspiracji, ale rodzice uparcie mi zabraniali – wyznała. – Kiedy wybuchła wojna, miałam zaledwie dwanaście lat. Chciałam czuć się dorosła, ale tak naprawdę byłam dzieckiem. Przerazonym dzieckiem. Jaki pożytek mogliby mieć ze mnie w trzydziestym dziewiątym? – zapytała, po czym odpowiedziała sobie sama: – Żaden. Jestem jedynaczką. Mama bardzo długo nie mogła zająć w ciążę. Rodzice pogodzili się już z tym, że nie mogą mieć dzieci, a tu nagle taka niespodzianka! Pochodzę z zamożnego domu, niczego mi nie brakowało, no, może poza swobodą. Wojna przerwała mi beztroskie i naprawdę wspaniałe życie. Rodzicom skonfiskowano majątek, ale nie stracili pogody ducha i tego, co najcenniejsze – siebie. Próbowali trzymać mnie pod kloszem, stanowczo zabraniali działalności w konspiracji. Kiedy wybuchło powstanie, nie mogłam

dłużej siedzieć w domu. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – Rozumiesz mnie, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziałam, ale moje słowa zagłuszył głośny huk bomby. Ściany kamienicy się zatrzęsły: widocznie musiała spać gdzieś niedaleko.

– Mama płakała, kiedy wychodziłam z domu, nie chciała mnie wypuścić, ale tata chyba zrozumiał. Spojrzał mi w oczy i zapytał: „Musisz iść, prawda?”. Gdy skinęłam głową, pobłogosławił mnie i nie zważając na krzyki matki, wcisnął mi do ręki konserwę. „Żebyś tam nie była głodna w tym powstaniu, dziecko”...

Ściemniło się i na zewnątrz zapanowała cisza. Oczekałyśmy dla pewności jeszcze kilkadziesiąt minut i pod osłoną nocy wróciłyśmy na kwaterę, gdzie zastałyśmy niecodzienne poruszenie.

– Mila, chodź szybko, bo zabraknie! – Zośka pospieszyła w moją stronę, wręczając mi miskę z apetycznie wyglądającym mięsem. Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Widok mięsa w trzecim tygodniu powstania należał do rzadkości.

– Co to jest? – zapytałam ostrożnie, odgryzając kęs.

– No... pies – odpowiedziała ze stoickim spokojem.

– Co?! – Szybko wyplułam kawałek, który zdążyłam wziąć do ust. – Co wy wyprawiacie?!

Podeszło do nas trzech chłopaków, od których już z daleka wyczułam alkohol. Byli w szampańskich nastrojach. Oficjalnie żołnierzom nie wolno było pić, ale nieoficjalnie... Cóż, wielu naszych chłopców właśnie tak się znieczulało. Potrzebowali odskoczni od tych wszystkich potworności, których byli świadkami. My biegałyśmy z rozkazami, opatrywałyśmy rannych i chowałyśmy zmarłych, a oni każdego dnia stawali na pierwszej linii ognia, zadając śmierć i zagładając jej w oczy.

– Mila, czy ty przed chwilą pogardziłaś naszym specjałem? – zapytał jeden z nich z poważną miną, ale po chwili nie wytrzymał i zaczął się głośno śmiać, w czym zawtórowali mu pozostali.

– Co was tak bawi? Jesteście... jesteście nienormalni! – Byłam wściekła. – Jak możecie to jeść? Psy mają dusze!

Moja reakcja wywołała jeszcze głośniejszy ryk.

– Psy mają dusze! – powtórzył Longin.

Zaczęli szczeekać, śmiejąc się w głos, aż w końcu i ja uśmiechnęłam się pod nosem. Oceeniłam wzrokiem zawartość miski, którą wciąż trzymałam w dłoniach... Byłam taka głodna! Od kilku dni nie jadłam nic poza zupą pluj. Zośka przyznała ze wstydem, że chłopakom udało się zdobyć jeszcze puszkę śledzi, ale zdążyli je już zjeść.

– Były okropne – zapewniła mnie. – Takie słone, że od razu chciało się pić, a wiesz, że z wodą kiepsko...

Wiedziałam. To było już po tym, jak przestały działać wodociągi. Od jakiegoś czasu nie mieliśmy również prądu – upadła elektrownia na Powiślu. Żyliśmy w spartańskich warunkach, a na dodatek doskwierał nam okropny głód. Nie powiedziałabym tego wówczas głośno, ale to mięso spadło nam z nieba. Zjadłam całą swoją porcję i tęsknie zerkałam na talerze innych. Przyznaję, mięso było całkiem smaczne.

– Jak się czujesz? – Zosia spojrzała na mnie z przejęciem, kiedy panowie w końcu postanowili pożartować sobie z kogoś innego i oddalili się.

– W porządku – powiedziałam.

Poprzedniego dnia dopadły mnie potworne mdłości, ale nie miałam pewności, czy to uroki ciąży, czy po prostu coś, najpewniej woda, mi zaszkodziło. Piliśmy przede wszystkim wodę ze studni, mocno zanieczyszczoną.

Warszawa w drugiej połowie sierpnia stanęła na skraju katastrofy epidemiologicznej. Kanalizacja nie działała, klozety były pozapychane, więc siłą rzeczy załatwialiśmy nasze potrzeby, gdzie popadnie. Odór, jaki unosił się nad stolicą, był straszny. Zabiegi higieniczne stały się luksusem, a częste choroby żołądka tylko pogarszały sytuację. Wyjście po wodę wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem. Chodziliśmy z wiadrami do studni, często pod ostrzałem, ale musieliśmy przecież pić. Wysokie temperatury tylko pogarszały sytuację. Upały sprzyjały rozprzestrzenianiu się smrodu i zarazków. Nigdy wcześniej i nigdy później nie czułam takiego fetoru.

– Długo was nie było. Aż zaczęłam się martwić. – W głosie Zosi było słyhać smutek. – Spójrz, została nas ledwie garstka. Kilkanaście osób, a jeszcze niedawno było nas kilkadziesiąt...

Pokiwałam tylko głową, lekceważąc uwagę Zośki. Rzeczywiście, z dnia na dzień było nas coraz mniej, ale nie rozumiałam potrzeby przyjaciółki, żeby w kółko wałkować ten temat. Zosia lubiła dużo mówić, ja wolałam działać.

– Zatrzymał nas atak bombowców. Musiałyśmy z Bożeną przeczekać bombardowanie w piwnicy jednego z budynków.

Spojrzała na mnie zdumiona. Najwyraźniej nie rozumiała, o czym mówię, chociaż przecież chwilę wcześniej sama powiedziała, że długo nas nie było i zaczęła się niepokoić.

– Wiesz, Krzyś jest chyba na Czerniakowie – wypaliła nagle, a mnie szybciej zabiło serce.

– Skąd wiesz?

– Cóż, chyba zaraziłam się twoją obsesją i pytam o to każdą napotkaną osobę, czy nie wie, co się z nim stało. – Wzruszyła ramionami. – Jeden z chłopaków powiedział, że Krzyś dostał kilka dni temu rozkaz, żeby się przebić na Czerniaków.

Ta wiadomość była niczym miód na moje serce. Skoro już druga osoba twierdziła, że mój ukochany jest na Czerniakowie, to może naprawdę tam był? Nie wydawało mi się to logiczne, bo skupiono się przede wszystkim na obronie Starego Miasta i to właśnie tam każdy powstaniec był na wagę złota, ale myśl o Krzysiu – bezpiecznym i zdrowym gdzieś na Mokotowie¹⁰ – dodawała mi sił.

¹⁰ Czerniaków leży w obrębie dzielnicy Mokotów.

– Coraz głośniej się mówi o tym, że dowództwo szuka ochotników do służby kanalarskiej. – Zosia szybko zmieniła temat. – Chyba się zgłoszę. W rękach powstańców są duże obszary miasta, ale brakuje łączności pomiędzy poszczególnymi dzielnicami. Kanały są jedynym możliwym rozwiązaniem.

– Jeśli będzie trzeba, pójdę z tobą – powiedziałam z pełnym przekonaniem.

Następnego dnia wyciągnęłyśmy z Zośką ciało Bożeny spod niemieckiego ostrzału. Przypomniałam sobie naszą ostatnią rozmowę i ze zgrozą pomyślałam o rodzicach, którzy czekali na powrót ukochanej jedynaczki do domu. Ile jeszcze grobów będziemy musieli wykopać? Ilu ludzi stracimy, zanim to się skończy?

Nie zdążyła się zakochać, nie zaznała tych porywów serca, niepewności i burz, o których mówiła jeszcze wczoraj. „Miałam takie nudne życie”, po-

wiedziała. Zazdrościła nam, starszym dziewczynom, że byliśmy w harcerstwie, potem w konspiracji. Ona nie zdążyła nawet dorosnąć. Była jedną z tysięcy dziewczyn, które wyszły pierwszego sierpnia do powstania i nigdy nie wróciły do domów.

Rozdział 14

Emilia

SKĄD WIEM, CO SIĘ ZARAZ STANIE? Czy ja już kiedyś tutaj byłam?” pomyślałam, przypatrując się zadowolonym powstańcom, wprowadzającym niewielki pojazd pancerny na jedną z ulic Starego Miasta. Rozejrzałam się wokół i nabrałam pewności, że jestem na ulicy Kilińskiego. Z otchłani pamięci próbowałam wyszarpnąć choćby strzępek informacji na temat wydarzeń, które gdzieś w podświadomości łączyły się nierozzerwalnie z tym miejscem, ale moje starania były z góry skazane na porażkę. Nie mogłam dociec, dlaczego ta okolica wzbudza we mnie irracjonalny lęk i przeczucie, że zaraz stanie się coś bardzo, bardzo złego.

– Ludzie, ludzie! Patrzcie! Zdobyczny czołg!

Z kamienic zaczęli wychodzić cywile, z zainteresowaniem przypatrując się scenie, jaka właśnie rozgrywała się na ulicy, przy której mieszkali. Spojrzałam w górę i zobaczyłam kilkanaście osób na balkonach. Od codziennych czynności musiały ich odciągnąć okrzyki radości, rzecz ostatnio niespotykana.

Próbowałam namierzyć jakąś znajomą twarz, jednak mi się nie udało. Wydawało mi się, że już gdzieś spotkałam przechodzącego nieopodal chłopaka, lecz nie miałam pojęcia, skąd go znam. On też musiał mnie już gdzieś widzieć, gdyż przypatrywał mi się z zainteresowaniem.

Moją uwagę znów przyciągnął pojazd prowadzony przez powstańców. To właśnie ten niewielki czołg wzbudzał we mnie lęk. Nagle wszystko so-

bie przypomniałam. Potężną eksplozję, głuchą detonację, jęki rannych, ludzkie szczątki. Nie zdążyłam się nawet zastanowić, gdzie ja to wszystko widziałam, a było już za późno.

– To pułapka, odsuńcie się! – krzyknęłam, ale moje słowa zagłuszyła eksplozja.

Kiedy już otrząsnęłam się z szoku, dotarło do mnie, że nie poczułam nawet najdelikatniejszego szarpnięcia. Z okien wyleciały szyby, potężny wybuch rozerwał na strzępy ludzkie ciała, a ja byłam cała i zdrowa.

Chłopak, który jeszcze kilkadziesiąt sekund temu przypatrywał mi się z zainteresowaniem, leżał teraz martwy u moich stóp. Patrzyłam na niego, kiedy nagle jego twarz zaczęła się zmieniać i przybierać znajome rysy.

Krzyś! Nie, nie, nie! Tylko nie mój Krzyś!

Poczułam panikę. Nie mogłam złapać oddechu, a przerażenie odebrało mi władzę nad ciałem. Nie ruszałam się, nie oddychałam, nie myślałam. Niemal przestałam istnieć.

Nagle w jednej z ofiar dostrzegłam Łucję, w innej – mamę. Dalej leżał mężczyzna z głową mojego taty, a zmasakrowane zwłoki dziecka niebezpiecznie przypominały Henia. Kilka metrów dalej leżała Zosia.

Nie! To niemożliwe! Oni wszyscy tutaj... Nie!

Nagle poczułam mocne szarpnięcie, jakby ktoś z innego świata próbował mnie zagarnąć do swojej rzeczywistości. Opierałam się dłuższą chwilę, bo przecież musiałam się upewnić, że oni naprawdę... Może któreś z nich potrzebowało mojej pomocy?

– Mila, obudź się! – W końcu dotarło do mnie, że głos, który słyszę, należy do Zosi.

Zdumiona otworzyłam oczy.

– Nic ci się nie stało? – Zerwałam się na równe nogi i z niepokojem spojrzałam na przyjaciółkę. Wydawała się cała i zdrowa.

– A co mi się miało stać? – Posłała mi zaniepokojone spojrzenie. – To ty wydzieraaś się przez sen, jakby cię stado Niemców goniło!

Wciąż nie mogłam uspokoić oddechu. To nie był pierwszy raz, kiedy we śnie wróciłam na Kilińskiego, ale jeszcze nigdy sen nie był tak realny i tak straszny.

– To tylko koszmar – wymamrotałam. Poczułam suchość w gardle. – Jest jeszcze woda?

Zosia skinęła głową.

– Chyba coś jeszcze zostało po wczorajszej wyprawie do studni.

Wyszła i po chwili wróciła z metalowym kubkiem do połowy wypełnionym wodą.

– Więcej nie ma...

Wypiłam łąpczywie, w najmniejszym nawet stopniu nie gasząc rosnącego pragnienia. – Wszystko w porządku? – usłyszałam głos Zosi.

Skuliłam się pod jej zaniepokojonym spojrzeniem. Nie lubiłam stawać się powodem do zmartwień bliskich mi osób. To ja wolałam się o nich martwić. W tej roli czułam się bezpiecznie.

– Po prostu miałam koszmar. – Przygryzłam wargę, uciekając przed wzrokiem przyjaciółki.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Chyba... nie – zawahałam się.

Zosia westchnęła głośno.

– W porządku, ale gdybyś jednak chciała porozmawiać, to pamiętaj, że jestem.

Długo przewracałam się z boku na bok. Oczy kleiły mi się ze zmęczenia, lecz ja ciągle walczyłam z wyczerpanym umysłem, nie pozwalając mu na chwilę wytchnienia. Bałam się, że kiedy tylko zamknę oczy, powrócą te straszne obrazy. Nie chciałam widzieć najbliższych wśród zmarłych. O mamie i tacie wolałam nawet nie myśleć. W ostatnich dniach szczególnie dotkliwie odczuwałam ich brak.

Mama nigdy nie popierała mojej działalności konspiracyjnej. Kiedy wybuchła wojna, powtarzała, że trzeba żyć tak, żeby nikomu nie wchodzić w drogę.

– Najważniejsze to wyjść z tej całej wojennej zawieruchy żywym, ot co – mawiała.

Odwracała głowę, kiedy słyszała powtarzane szeptem pogłoski o Westerplatte, obrońcach Helu i gdańskiej poczcie, podczas gdy ojciec czekał na każdą dobrą wiadomość z frontu. Tak jak i większość warszawiaków odczuwał wstyd z powodu rejterady rządu i prezydenta, lecz jego serce przepełniała duma, kiedy wysłuchiwał informacji o tych najdzielniejszych żołnierzach, którzy się nie poddawali mimo beznadziejnej sytuacji.

– Właśnie dlatego jestem dumny z tego, kim jestem! – powtarzał.

Po kapitulacji stolicy czuliśmy się poniżeni, a defilada z udziałem Hitlera tylko pogłębiła naszą hańbę. Warszawiacy walczyli mężnie, lecz w obli-

czu narastającej siły wroga musieli skapitulować. Dwudziestego ósmego września rezygnacja z dalszych działań wojennych stała się faktem, a Polacy przeszli do podziemia. Tysiące warszawiaków prowadziło podwójne życie.

W naszym domu czytało się „Biuletyn Informacyjny” i „Wiadomości Polskie”¹¹, a wieczorami szeptano ze strachem o Wawrze i Palmirach. Tata zaszczerpał w nas chęć do walki, której nadrzędnym celem nie było już zwycięstwo, a honor.

¹¹ Podziemna prasa konspiracyjna.

Po kapitulacji Warszawy Niemcy błyskawicznie uruchomili maszynę propagandową. Liczyli, że ludność nabierze się na ich dobroć, dlatego po przyjeździe do stolicy rozdawali obiady na placu Broni. Później tych punktów, w których litościwie wręczali Polakom żywność, było kilka, może kilkanaście. Moja mama chciała tam iść; tłumaczyła ojcu, że to i tak jedzenie pochodzące z grabieży dokonywanej na polskich ziemiach, ale tata nie chciał jej słuchać.

– Janino! – powiedział podniesionym głosem, co rzadko mu się zdarzało. – Kategoriecznie zabraniam ci tam iść! Jeszcze tego brakowało, żeby moja żona brała jedzenie od Niemców! Potrafię zadbać o swoją rodzinę!

Mama nie odezwała się wtedy ani słowem, ale wkrótce wyszły gdzieś z Łucją na kilka godzin. Przypuszczam, że jedzenie, które znalazłam po jakimś czasie w spiżarni, pochodziło właśnie z któregoś z niemieckich punktów z żywnością.

Moja siostra była taka jak mama – wycofana i ostrożna. A ja? No cóż. Ja byłam jej kompletnym przeciwieństwem.

– Moja krew – powtarzał tata, patrząc na mnie z nieskrywaną dumą.

Kiedy tylko w Warszawie zaczęły działać tajne ośrodki nauczania, ojciec od razu zaczął mnie zachęcać, abym kontynuowała naukę. Rozumiał mój pęd ku wiedzy, a przed wojną stanowczo oznajmił Jankowi, że Emilusia przed ślubem musi się wykształcić, gdyż takie jest jej życzenie. Wiedział, że chcę skończyć szkołę, a potem pójść na studia.

– Matura zdana na tajnych kompletach z pewnością będzie uznawana po wojnie – zapewniał mnie wówczas.

O tym, że miał rację, miałam się przekonać kilka lat później. Rzeczywiście, zaliczony w konspiracyjnej rzeczywistości egzamin uprawniał po wojnie do zdawania na którąś z państwowych uczelni, chociaż mnie się to w zasadzie już do niczego nie przydało. Straciłam chęć do życia, a co dopiero do nauki. Zakończyłam edukację na zdanej na kompletach maturze. Wprawdzie w czasie wojny przez jakiś czas studiowałam, ale wybuch powstania uniemożliwił mi kontynuowanie nauki. Potem już nawet o tym nie myślałam.

– Ale to niebezpieczne! – mówiła mama. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Gdzie tylko spojrzysz, tam Niemcy! A co, jeśli ją aresztują?

Jeszcze wtedy nie wiedziała, że tata zamierza wykładać w ramach tajnego nauczania. Kiedy się o tym dowiedziała, nie odzywała się do niego przez tydzień. Podsuwała mu talerz z ziemniakami, które na stałe zagościły na naszym stole, i ostentacyjnie wychodziła z kuchni, a ojciec czekał cierpliwie, aż jej przejdzie.

– Janinko, przecież nie możemy siedzieć bezczynnie, kiedy Niemcy ograbiają nas z polskości! Edukacja przyszłych pokoleń jest konieczna w walce z okupantem! – tłumaczył jej.

– Oczywiście, akurat ty to musisz robić! Niezastąpiony Aleksander Żmigrodzki! A pomyślałeś, co z nami będzie, jeśli Niemcy cię zamordują? – ripostowała mama, która w końcu musiała się pogodzić z tym, co robimy, chociaż lęk nie opuścił jej aż do końca.

Tak bardzo tęskniłam za mamą i tatą! Może nie zgadzali się we wszystkim, ale tworzyli udany związek. Dzięki matce grzałam się w ciepłe domowego ogniska, a ojciec zaszczepił we mnie patriotyzm.

Zaczynał się kolejny dzień walk. Nikt z nas nie mówił tego głośno, ale coraz częściej myśleliśmy, że powstanie źle się skończy. Została nas ledwie garstka.

Zośka od rana trąbiła o służbie kanalarskiej, czasem przerywając tyradę, aby spojrzeć na mnie z niepokojem. Jeden z łączników próbował zgasić jej entuzjazm, dzieląc się swoją historią o przeprawie ze Starego Miasta do Śródmieścia i z powrotem, ale ona nie chciała słuchać. Powtarzała, że pod ziemią nie może być gorzej niż tutaj.

– Co ty możesz wiedzieć! – zirytował się łącznik. – Przejście dystansu, który spacerem można pokonać w trzydzieści minut, zajęło mi sześć godzin! Sześć godzin babrania się w gównie, w ciemności, bez powietrza!

Niemal przez całą drogę musisz iść na kolanach. Co ci się tak spieszy do tych kanałów, dziewczyno?

Pociągnęłam Zośkę za sobą, bo podejrzewałam, że zaraz może się wywiązać awantura. Syczała i parskała jeszcze przez całą drogę do dowódcy, który tylko machnął ręką i powiedział, żebyśmy się zgłosiły późnym popołudniem.

– Pójdziecie na Żoliborz – stwierdził, po czym zajął się swoimi sprawami.

Odmeldowałyśmy się i szybko opuściłyśmy kwaterę. Po drugiej stronie ulicy był szpital. Dystans kilku metrów przebiegłyśmy z duszą na ramieniu – dwie ulice dalej byli Niemcy, a nad naszymi głowami wciąż przelatywały bombowce. Otaczali nas już niemal z każdej strony.

– Mila, a może ty nie powinnaś iść ze mną do tych kanałów? – Zza pleców dobiegł mnie zdenerwowany głos Zosi.

Odwrociłam się i posłałam jej pytające spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie! Wiem, co ci chodzi po głowie! Żoliborz to nie Czerniaków, ale przeszukałaś każdą dziurę na Starówce i przepytałaś każdego, kto żyw, czy losy Krzysia nie są mu znane, więc zamierzasz rozszerzyć obszar poszukiwań, ale Mila, na litość boską! Kanały nie są dobrym miejscem dla kobiety spodziewającej się dziecka... Słyszałaś, co mówił ten łącznik? Będziesz musiała po pas brodzić w nieczystościach, przez kilka godzin przemieszczać się na kolanach, a przecież...

Zatrzymałam się tak gwałtownie, że Zośka wpadła na mnie z całym impetem. Nasze zachowanie przyciągnęło uwagę sanitariuszek i leżących w pobliżu rannych.

– A kto sam zgłosił się na ochotnika do służby kanalarskiej? – przypominałam jej.

– Mnie do tego nie mieszaj! Ja nie spodziewam się dziecka i nie szukam ukochanego!

Uciszyłam ją gestem. Już i tak ściągnęłyśmy na siebie uwagę niemal wszystkich obecnych.

– Składałyśmy taką samą przysięgę – powiedziałam tak zdecydowanym tonem, że Zośka w końcu zrozumiała, iż dalsza dyskusja nie ma sensu.

Szybko zeszyliśmy do piwnicy, w której leżeli najciężej ranni. Dla tych ludzi nie było już ratunku, a mimo to okłamywaliśmy ich, obiecując, że wyjdą z tego cało.

Był tam jeden chłopak, do którego zaglądałam w każdej wolnej chwili. Od kilku dni to tracił, to odzyskiwał przytomność. Było z nim bardzo, bardzo źle, ale lekarze nie mogli się nadziwić jego woli przetrwania.

– Każdy inny na jego miejscu byłby już martwy, a on walczy, mimo że nic nie możemy dla niego zrobić – powiedziała szeptem jedna z sanitariuszek, patrząc na niego smutno.

– Może udałoby się go przenieść do Śródmieścia? Tam podobno jest spokojniej – zasugerowałam.

W milczeniu pokręciła głową i odeszła do swoich zajęć.

Usiadłam obok chłopaka, którego imienia nigdy nie poznałam, i złapałam go mocno za rękę. Nie miałam pewności, czy mnie rozpoznaje, ale uśmiechnął się lekko. Dotknęłam jego czoła i od razu odsunęłam dłoń. Miał ze czterdzieści stopni gorączki.

– Jesteś – wychrypiał, a ja skinęłam głową. Mówienie sprawiało mu kłopot. – Odnalazłaś ukochanego?

– Jeszcze nie – przyznałam ze smutkiem. Poznał mnie! Kilka dni temu opowiedziałam mu o Krzysiu, choć nie miałam pewności, czy w ogóle mnie słyszy.

– Spotkacie się – stwierdził z pełnym przekonaniem.

– Skąd niby mógłbyś to wiedzieć?

Odetchnął głęboko. Widziałam, że jest zmęczony i wypowiedzenie tych kilku słów było niemal ponad jego siły.

– Kiedy jest się już jedną nogą na tamtym świecie... wie się więcej.

– Nie mów tak. – upomniałam go. – Wyjdiesz z tego. Ile ty właściwie masz lat?

– Szesnaście.

Spuściłam głowę. Po raz kolejny byłam zmuszona patrzeć na śmierć tak młodej osoby.

– Pocałuj mnie – wyszeptał, a ja spojrzałam na niego zdumiona. – No, już...

– Nie mogę cię ot tak pocałować! – oburzyłam się. – Przecież mam narzeczonego!

– Nie wyjdę z powstania żywy, a... nigdy nie całowałem się z dziewczyną.

Chciało mi się płakać. Musiałam to zrobić. Nie miałam innego wyjścia. To było ostatnia wola umierającego szesnastolatka – doświadczyć chociaż

namiastki miłości. Czy prosił o zbyt wiele? Chciał kochać, śmiać się, całować. To nie jego wina, że urodził się w złych czasach.

Zamknęłam oczy, pochyliłam się i ustami odszukałam jego spierzchnięte wargi. Pocałunek był szybki i niezdarny, a mimo to na twarzy chłopaka za gościł uśmiech, który niemal natychmiast przerodził się w grymas bólu.

– Idę zajrzeć do pozostałych. Dzisiaj mam zaplanowaną służbę kanalar-ską i nie wiem, kiedy wrócę, więc muszę się z nimi pożegnać...

Przywitałam się z kolegą z oddziału, odwiedziłam sześćioletnią dziewczynkę, która nie miała już nikogo na tym świecie, bo jej rodzice znaleźli się wśród setek tysięcy ofiar powstania, a ona została sama. Fizycznie czuła się już dobrze, ale nie miała dokąd wracać, więc została w szpitalu.

Kiedy wróciłam, chłopak już nie żył. Spełniłam jego ostatnią wolę i mógł odejść w spokoju. Wstyd to powiedzieć, ale odetchnęłam z ulgą. Ucieszyłam się, że jego cierpienie już się skończyło. Tak długo czekał w zawieszaniu między światami. Nikt nie zasłużył na takie powolne i bolesne umieranie.

Nie zatrzymałam się, nie uścisnęłam po raz ostatni jego ręki. Nie było na to czasu. Musiałam biec po meldunek i instrukcje. Nigdzie nie widziałam Zośki, ale uznałam, że pewnie się spotkamy na miejscu, i wybiegłam ze szpitala.

Wiadomo, że pośpiech nie jest dobrym doradcą. Straciłam czujność. Odczekałam chwilę, aż ustanie ostrzał, i rzuciłam się przed siebie. W połowie drogi poczułam przejmujący ból gdzieś z lewej strony biodra i upadłam na ziemię. Skuliłam się, a łzy same popłynęły mi z oczu. To był nadludzki ból. Odebrał mi władzę nad całym ciałem, nie pozwalając skupić się na niczym innym. Pamiętam tylko, że przez głowę przemknęła mi myśl: „Mówili, że jak się dostanie, to nie boli!”.

Na przemian odzyskiwałam i traciłam przytomność. Kiedy wracał ból, oddychałam z ulgą – to znaczyło, że wciąż żyję. Po kilku sekundach jednak znów pogrążałam się w niebycie. Wokół mnie nie było żywej duszy. Najbardziej się bałam, że Niemcy znów zaczną strzelać i zginę na środku tej przeklętej jezdni. I jeszcze te cholerne bombowce! Przelatywały mi nad głową, a ja modliłam się, żeby nie trafiły akurat we mnie.

Kiedy byłam na tyle przytomna, aby móc się ruszyć, próbowałam się czołgać, ale przejmujący ból w biodrze mi na to nie pozwalał. W końcu dojrzałam jakąś łączniczkę.

– Błagam, pomóż mi! – zawołałam.

– Idę z meldunkiem, nie mogę! Zaraz do ciebie wrócę, sprowadzę pomoc! – krzyknęła i już jej nie było.

Po dłuższej chwili rzeczywiście wróciła, prowadząc dwóch harcerzy, którzy przeciągnęli mnie na chodnik. Znow znalazłam się w szpitalu, tylko w trochę innej roli. Pamiętam, że pomyślałam: „Jestem uratowana”. Nie wiem, co się ze mną dalej działo.

W sennym majaczeniu znow widziałam mamę, która każe mi wracać, i tatę kręcącego głową ze smutkiem. A potem znow ten przeklęty zdobyczny czołg.

Resztkami sił łapałam się tych krótkich momentów, kiedy byłam świadoma, i przez niewielkie okno obserwowałam nogi przebiegających powstańców. Cieszyłam się, kiedy słyszałam kolejne wybuchy. Gdyby ktoś mi kilka dni temu powiedział, że będę z niecierpliwością wyczekiwać nadlatujących bombowców, kazałabym mu się popukać w czoło... Ale teraz odgłosy walk pozwalały mi odetchnąć z ulgą. Jeszcze nie umarłam, a Stare Miasto jeszcze nie upadło.

Przywoływałam we wspomnieniach twarz Krzysia. Nie mogłam umrzeć. Musiałam go odnaleźć. Myśl o narzeczonym odruchowo skierowała moje skołatane myśli w stronę dziecka. Musiałam walczyć: dla niego, dla nas...

W pewnej chwili ujrzałam nad sobą zatroskaną twarz Zosi. Nie wiedziałam, czy to jawa, czy sen, ale dałabym sobie rękę uciąć, że powiedziała:

– Krzyś żyje. Musisz z tego wyjść, a będziecie razem. Wierzę w to!

Uśmiechnęłam się do przyjaciółki i osunęłam się w niebyt.

Rozdział 15

MIKOŁAJ BEZSKUTECZNIE PRÓBOWAŁ ZAJĄĆ UWAGĘ CZYMŚ INNYM NIŻ SMARTFON, KTÓRY CIĄGLE PRZYKUWAŁ JEGO WZROK. Średnio co pięć minut sprawdzał skrzynkę odbiorczą w aplikacji, jednak jedyną osobą, która do niego pisała, była Liwia. Jeszcze kilka dni temu ucieszyłby go taki niespodziewany obrót spraw, lecz teraz każda kolejna wiadomość od dziewczyny wywoływała w nim jedynie złość.

Najechał palcem na ikonkę Messengera. Niestety, w skrzynce nie było żadnych nowych wiadomości. Marta Andrzejewska nie zareagowała na próbę nawiązania kontaktu. Minęły już trzy długie dni, co w dobie internetu było wiecznością. Czy to możliwe, aby przez tak długi czas nie logowała się na Facebooku? Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Rówieśnicy Mikołaja rzadko odrywali wzrok od smartfonów.

Jeszcze raz przeczytał ostatnią wiadomość od Liwii, na którą nawet nie odpisał.

Cześć!

Mówiłam Ci kiedyś, że kuzynka mojej mamy mieszka w Chełmku, prawda? Okazało się, że będziemy u niej w najbliższy weekend! Cóż za zbieg okoliczności! Będziesz jeszcze w Libiążu? Może się spotkamy? Będzie nas dzielić zaledwie kilka kilometrów. Szkoda byłoby zmarnować taką okazję 😊

Kliknął w puste pole nowej wiadomości i już miał napisać, co myśli o roli pocieszyciela, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Niech się zastanawia, dlaczego nie odpisał. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Niepokoił go brak wiadomości od wnuczki Krzysztofa. Kiedy wysyłał do niej wiadomość, wszystko wydawało mu się proste, ale euforia szybko zaczęła go opuszczać. Przypuszczał, że sprawi babci niespodziankę, oznajmiając jej, że odnalazł bliskich jej ukochanego, a może i jego, ale teraz cieszył się, że nie pochwalił się jej zawczasu. Głupio by się czuł, gdyby dał Emilii jakąś nadzieję tylko po to, aby później brutalnie ją odebrać.

Odłożył smartfon na półkę, a ten natychmiast zawibrował. Serce zabiło mu szybciej, zanim się zorientował, że przyczyną tego stanu rzeczy nie jest nowa wiadomość, a przychodzące połączenie.

Matka. Nagle zaczęła go zasypywać morzem wiadomości, w których przesyłała mu zdjęcia pokoju, który dla niego przygotowała w mieszkaniu swojego nowego partnera, czy sukienki, w której wystąpi na ślubie.

– To normalne, że twoja matka chce, abyś dzielił z nią radość w tej wyjątkowej chwili. – W naturze człowieka leży chęć dzielenia się szczęściem z najbliższymi – skomentowała Emilia, kiedy pokazał jej przesłane przez Helenę zdjęcia.

– Rychło w czas sobie o mnie przypomniła! – zdenerwował się Mikołaj. – Przez kilkanaście lat w ogóle jej nie interesowałem, a teraz nagle zapragnęła dzielić się ze mną swoim szczęściem. – Prychnął głośno, dając upust temu, co myśli na temat zachowania Heleny.

Babcia westchnęła głośno i pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Ona jest mądrzejsza ode mnie – stwierdziła z przekonaniem. – Ja nawet nie podjęłam próby zbliżenia się do swojego dziecka. Obie popełniłyśmy błędy, ale ona stara się je naprawić. Nie odtrącaj jej tak szybko.

Spojrzał jeszcze raz na gasnący ekran telefonu.

– Niby po co przygotowała dla mnie pokój? Myśli, że zamieszkam z nią i tym całym Alainem w Paryżu?

– Przecież ci napisała, że postanowili wygospodarować jedno pomieszczenie, abyś miał u nich swój kąt, kiedy będziesz ich odwiedzał. – Babcia wskazała telefon, na którym jeszcze przed chwilą wnuk pokazywał jej wiadomości od matki.

– Babciu, widzę, że masz lepszy wzrok, niż twierdzisz!

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Helena wyciągnęła do ciebie rękę. Wydaje mi się, że w końcu dojrzała do macierzyństwa. Kobietom w naszej rodzinie zajmuje to dużo czasu. – Wyraźnie sposepniała. – Życzyłabym sobie, żebyś miał dobre relacje ze swoją matką.

– Może gdyby mnie nie zostawiła samego, kiedy byłem dzieckiem...

– Nie zostawiła cię samego – przerwała mu dobitnie. – Zostawiła cię pod moją opieką, bo wierzyła, że zajmę się tobą lepiej.

– Chociaż w jednym się nie pomyliła – rzucił.

A teraz wpatrywał się w telefon, zastanawiając się, czego znów chce od niego matka. Czy ona, do licha, nie ma w tym swoim Paryżu jakiejś przyjaciółki, z którą mogłaby omówić takie sprawy jak suknia ślubna czy tort weselny?!

– Yhm. – Odebrał telefon, wydobywając z siebie niezidentyfikowany odgłos.

– Mikołaj? – W głosie Heleny słychać było niepokój. – Jesteś chory?

Gdyby był bardziej asertywny i potrafił mówić to, co myśli, z pewnością zapytałby ją teraz, dlaczego tak nagle zaczęło ją interesować samopoczucie jedyne go syna, jednak nie nawykł do wyrażania swoich myśli w taki sposób, więc tylko grzecznie zaprzeczył.

– Alain opłacił dzisiaj bilety dla ciebie – rzuciła podekscytowana matka. – Tak się cieszę, że w końcu się spotkamy! Będziesz oczywiście moim świadkiem?

Mruknął pod nosem coś, co Helena uznała chyba za oznakę aprobaty, gdyż kontynuowała: – Wspaniale, Alain będzie zachwycony! Wiesz, on sam nie ma dzieci, ale rozumie tę wyjątkową więź, która nas łączy...

Mikołajomal nie zakrztusił się własną śliną, kiedy dotarł do niego sens wypowiedzianych przez matkę słów.

– Wyjątkową więź, która nas łączy – powtórzył za nią.

– Widzisz, z tego wszystkiego zapomniałam, po co do ciebie zadzwoniłam! – trajkotała Helena. – Alain kupił bilet tylko dla ciebie. Mam nadzieję, że nie popełnił jakiegoś *faux pas*? Może chciałbyś przyjechać na ślub z dziewczyną lub koleżanką?

Do Mikołaja nagle dotarło, jak niewiele matka wie o jego życiu. Nigdy nie poznała jego znajomych, nie przeżywała z nim stresu przed egzaminem gimnazjalnym, a później przed maturą. Nie wiedziała, kiedy zakochał się po raz pierwszy, nie wspierała go, gdy cierpiał z powodu pierwszych zawodów

miłosnych. Nie znała go do tego stopnia, że kiedy Mikołaj oznajmił jej z dumą przez telefon, że dostał się na Wydział Polonistyki Uniwersytetu Śląskiego, po drugiej stronie zapadła cisza.

– Na polonistykę? Który normalny chłopak w twoim wieku idzie na polonistykę? Nie udało ci się dostać na wymarzony kierunek? – zapytała wtedy matka.

Chyba nie spodziewała się jego odpowiedzi.

– Ale to jest mój wymarzony kierunek!

– Ach tak – mruknęła tylko i szybko zmieniła temat.

A teraz nie miała pojęcia, czy jej syn zechce przyjechać na ślub z dziewczyną lub koleżanką. Tak mało o nim wiedziała.

– Nie, przyjadę sam – odezwał się po dłuższej chwili.

– Cudownie! Będziemy mieć więcej czasu tylko dla siebie!

– Mamo... – zaczął nieśmiało. Wprawdzie kiedy poprzednim razem próbował zapytać o obecność, a raczej nieobecność babci na ślubie, szybko zmieniła temat, ale postanowił spróbować raz jeszcze. – Uważam, że powinnaś zaprosić babcię. Nie wyobrażam sobie tak ważnej rodzinnej uroczystości bez jej udziału – powiedział, sam zaskoczony pewnością w swoim głosie.

– Przecież ja już nie mam dwudziestu lat! Nie zamierzam wyprawiać hucznego wesela! Tylko my, świadkowie, przyjaciele... Zjemy obiad, tort i wypijemy lampkę szampana, po czym rozejdziemy się do domów. Nie zamierzam z tej okazji ściągać do Paryża całej rodziny z Polski – odpowiedziała nonszalanckim tonem.

– Babcia nie jest całą rodziną, tylko twoją mamą.

Nagle się zorientował, że brzmi jak Emilia, i zaśmiał się nerwowo pod nosem. Babcia robiła wszystko, aby pogodzić matkę i syna, a on starał się pojednać matkę i córkę.

– Nie zamierzam wyprawiać hucznego wesela – powtórzyła. – Będzie jeszcze okazja, aby spotkać się z twoją babcią.

– Kiedy? – naciskał. – Babcia ma dziewięćdziesiąt cztery lata.

– W bliżej nieokreślonej przyszłości – ucieła dyskusję i szybko się pożegnała.

Rozmowa zajęła Mikołajowi kilka minut, może przez ten czas wnuczka Krzysztofa zdążyła się już odezwać?

Niestety, skrzynka odbiorcza nadal była pusta.

* * *

„Nie przychodzimy znikąd. Każdy z nas ma jakąś historię. Musisz poznać przeszłość swojej rodziny, aby zrozumieć teraźniejszość i dać szansę przyszłości” – w jego głowie wciąż rozbrzmiewały słowa babci. Najwyraźniej Emilia uznała, że powinna go wtajemniczyć w historię rodziny, ale... No właśnie. Każdy kij ma dwa końce, a dziecko matkę i ojca. Nigdy się nie zastanawiał nad tożsamością mężczyzny, z którym Helena zaszła w ciążę. Nieobecność taty w jego życiu była oczywista. Ktoś mógłby się zdziwić: „Jak to: nie interesowało cię, kto jest twoim ojcem?”, ale dla niego to nie było nic nadzwyczajnego. Ojca nie było. Po prostu.

Wszystko się zmieniło, kiedy babcia zaczęła mu opowiadać o wojnie, a on nagle zrozumiał, że chociaż sam ma dopiero dwadzieścia lat, jego historia zaczęła się o wiele wcześniej. Za błędy poprzednich pokoleń płacą następne generacje, a rodzinne tajemnice kładą się cieniem na życiu kolejnych osób, dopóki nie zostaną odkryte lub upływający czas nie pokryje ich grubą warstwą kurzu. Nie trzeba być bezpośrednim świadkiem historii, aby odczuwać jej konsekwencje.

Czy można poznać siebie, nie znając tożsamości człowieka, który przekazał nam swoje geny? Mikołaj nie znał odpowiedzi na to pytanie, jednak przypuszczał, że jest osoba, która mogłaby pomóc mu ją znaleźć. W końcu wiedziała wszystko.

– Nie wiem, kochany. – Odpowiedź Emilii była dość zaskakująca. Ostrożnie wyciągnęła z paczki papierosa, pstryknęła zapalniczką i odpaliła go. Jej twarz wyrażała błogość, nie liczyło się nic więcej. – Wiele razy zadawałam sobie to pytanie, kiedy byłeś małym chłopcem. Zastanawiałam się, czy fakt, że nigdy nie poznałeś swojego ojca i nie masz pojęcia, kim był, zaważy na twoich losach. Pozwolę sobie jednak przypuszczać, że większą krzywdę wyrządziłyśmy ci my, czyli ja i twoja mama. – Powiedziała to tak spokojnie, jakby informowała go o tym, co ugotowała na obiad. – Myślę, że obecność mamy jest o wiele ważniejsza w życiu dziecka – kontynuowała. – Mężczyźni, jak by to powiedzieć... Oni od wieków byli nieobecni. Matka natomiast pozostawia po sobie taką pustkę, której nikt i nic nie jest w stanie zapełnić.

Mikołaj patrzył wyczekująco, licząc, że babcia pociągnie temat nieobecnego ojca, jednak ona zamilkła. Pykała tylko cicho, wciągając i wydmuchując dym.

W tym domu nigdy nie padło pytanie: Kim jest mój ojciec? To był temat, którego się po prostu nie poruszało. Dla małego Mikołaja od początku było jasne, że jego rodzina składa się z niego, mamy, babci i dziadka. Później dziadek Janek umarł, matka wyjechała, więc zostali tylko we dwoje – on i babinka, jak zwykł ją nazywać, kiedy był mały.

Emilia nie podjęła tematu, więc Mikołaj postanowił zaryzykować. Przecież po jego ojcu musiał pozostać jakiś ślad.

– Babciu, kim on był? – Wypowiedzenie tych czterech krótkich słów kosztowało go bardzo dużo. Poczul, że zaschło mu w gardle.

– Twój tata? – upewniła się Emilia. – Dziecko, ja nie mam pojęcia.

Jęknął głośno. Tego się nie spodziewał. Przypuszczał, że ojciec skrzywdził Helenę, dlatego nie poruszano tego tematu w domu, ale nie sądził, że babcia nie ma pojęcia, kim w ogóle był ten człowiek.

– Mama nigdy o nim nie wspominała? – To nie mieściło mu się w głowie.

– Nigdy.

– Jak to możliwe? Przecież kiedy zaszła w ciążę, mieszkała w waszym domu. Nie przyprowadziła tutaj swojego chłopaka?

Babcia zawahała się, jakby się zastanawiała, ile może powiedzieć.

– Wiem tylko, że był żonaty. Kiedy się o tym dowiedziałam, wydało mi się oczywiste, że nie zapraszała go do domu. Nie chciała przedstawiać rodzicom kochanka, który ma żonę.

– A kiedy się dowiedziałas?

– Kiedy Helena zaszła w ciążę.

– A wcześniej? – Spojrzał na nią wyczekująco. – Nie zorientowałaś się wcześniej, że coś jest na rzeczy?

– Niestety – przyznała Emilia ze smutkiem. – Cóż, mieszkaliśmy z twoją mamą pod jednym dachem, a żyliśmy jakby obok siebie. To z ojcem była bliżej, ale on też o niczym nie wiedział.

Babcia mówiła półsłówkami, co nie podobało się Mikołajowi. Liczył, że kiedy zacznie temat, Emilia się rozgada, jednak nabrała wody w usta.

– Babciu, ale jak to było? Przyszła mama, powiedziała, że jest w ciąży, i tyle?

– Nie – zaprzeczyła spokojnym głosem. – Przez przypadek weszłam kiedyś do pokoju, kiedy się przebierała, i moją uwagę przykuł jej powiększony brzuch. Nie powiedziała nam, że jest w ciąży. Twoja mama zawsze była skryta i nigdy nie przychodziła do mnie po radę. Dziś wiem, że to moja wina, ale wówczas unosiłam się dumą i ostentacyjnie ją lekceważyłam. Nie była przecież nastolatką, tylko dorosłą kobietą. Kiedy cię urodziła, miała dwadzieścia siedem lat. Ukrywając ciążę, zachowała się niedojrzale jak nastolatka, która nie rozmawia z rodzicami o swoich problemach, ale... Prawdę mówiąc, ona zawsze się tak wobec mnie zachowywała – jak zbuntowana nastolatka. Ja byłam jak matka krnąbrnej dziewczuchy, której trzeba pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Poruszył się niecierpliwie na krześle, czekając na dalszy ciąg tej historii.

– Jak zareagowałaś, kiedy się dowiedziałaś, że mama jest w ciąży?

Babcia wzruszyła ramionami, wyciągając z paczki kolejnego papierosa.

– Nijak. Zapytałam, kto jest ojcem, ale ona nie chciała powiedzieć. Przyznała tylko, że jest żonaty. – Obróciła slima w dłoniach. – Przypuszczam, że musiała go bardzo kochać. Gdyby było inaczej, dochodziłaby swoich praw, a ona potulnie zgodziła się na rolę odtrąconej kochanki. Wierzyłam, że zmieni zdanie, kiedy się urodzisz, a ona będzie musiała sobie sama poradzić z dzieckiem, ale była uparta.

– Czy mama nie miała jakiejś bliskiej przyjaciółki, która mogłaby wiedzieć, kim jest mój ojciec?

Emilia uśmiechnęła się smutno.

– Dziecko, ty dziś myślisz, że twoja mama cię tak naprawdę nie zna, a ja uważam, że nigdy nie poznałam swojej córki.

Mikołaj poczuł, że włoski jezą mu się na karku. Nigdy nie wypowiedział swoich myśli na głos. Czyżby babcia była aż tak domyślna?

Zrezygnowany poszedł do pokoju. Sam nie wiedział, czego się spodziewać po tej rozmowie, ale chyba po cichu liczył na to, że dowie się czegoś o swoim ojcu. Emilia wiedziała przecież wszystko o wszystkich! Obraz babci, jaką znał, tak bardzo różnił się od obrazu kobiety, jaką – jak utrzymywała ona sama – była jeszcze dwadzieścia lat temu. Jak to możliwe, że tak bardzo się zmieniła? Co takiego stało się w tym domu, że losy dwóch kobiet, które powinny być sobie najbliższe, rozeszły się nieodwracalnie?

Wyciągnął rękę po wibrujący telefon. Im bardziej Liwia na niego naciskała, tym większą czuł do niej niechęć. Odebrał z grzeczności, ale nie zdą-

żył się nawet odezwać, kiedy przystąpiła do ataku.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego nagle zacząłeś mnie unikać? Próbuję zgadnąć, ale nie wiem, więc postanowiłam zasięgnąć informacji u źródła. Co się dzieje? Czyżbyś był jednym z tych facetów, którzy nie lubią, kiedy dziewczyna się o nich stara? – Nie pozwoliła mu nawet dojść do słowa.

Jęknął głośno.

– To nie tak...

– A jak?

– Chyba po prostu... – Zawahał się. Znalazł się w takiej sytuacji po raz pierwszy, ale już wiedział, że nie potrafi dawać dziewczynom kosza. – Chyba nie jesteś kimś, za kogo cię miałem.

Zapadła cisza, której dziewczyna potrzebowała, aby zapanować nad głosem.

– O czym ty mówisz? Jeszcze do niedawna sam chciałeś, żebyśmy razem pojechali na Mazury!

Jak mogła w ogóle wspominać o tych przeklętych Mazurach?!

– Zgadza się – wycedził. – Tak się jednak składa, że potem ty wskoczyłaś do łóżka, a raczej namiotu Łukasza. Nie było love story, więc zapragnęłaś znaleźć sobie pocieszyciela. Coś pokręciłem?

Po kilku sekundach ciszy spojrział na wyświetlacz. Dziewczyna nadal była na linii. Widocznie zbierała myśli.

– Ty nadęty dupku! – W końcu odzyskała zdolność mówienia. – Jak możesz? Ty... w życiu bym na ciebie nie zwróciła uwagi! Jak śmiesz się tak do mnie odzywać? To moje życie i mam prawo robić z nim, co mi się tylko podoba!

– Nie rozumiem zatem, po co dzwonisz, skoro nigdy nie zwróciłabyś na mnie uwagi – zauważył przytomnie.

– Bo... bo nie miałam akurat nikogo innego pod ręką! Co ty sobie w ogóle wyobrażałeś? Jesteś pośmiewiskiem całego akademika! Powinieneś być się urodzić w poprzednim stuleciu, pieprzony romeo! Szlag cię trafia, bo Łukasz zaliczył ze mną dobry seks, a ty nawet nie wiedziałabyś, jak się zabrać do rzeczy! Jesteś kretynem i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Rozłączyła się, a on odetchnął z ulgą, że ta dziwna znajomość została zakończona. Wolał poświęcić swój czas komuś bardziej wartościowemu.

Zalogował się na Facebooku. W prawym rogu podświetliła się na czerwono ikonka nieprzeczytanej wiadomości. Marta Andrzejewska. Jego serce

przyspieszyło. W końcu!

Cześć!

Na wstępie chciałabym Cię bardzo przeprosić, że odpisuję dopiero teraz, ale Twoja wiadomość wylądowała w folderze „Inne” – to chyba facebookowa odmiana spamu ☺ Nigdy nie zaglądam do tej skrzynki, ale coś mnie dzisiaj tknęło.

Imię i nazwisko Twojej babci kojarzy mi się tylko z jedną osobą – z Milą. To ona, prawda? Pierwsza i największa miłość mojego dziadka.

Wprost nie mogę w to uwierzyć! Dziadek byłby taki szczęśliwy... Do śmierci wierzył, że jeszcze kiedyś ją spotka. Moja babcia już nie mogła tego słuchać ☺ Byli raczej zgodnym i szczęśliwym małżeństwem, chociaż wiem, że nie lubiła, kiedy dziadek opowiadał o swojej Mili. Kiedyś mu nawet powiedziała: „Twoja Milla była takim ideałem, że podejrzewam, iż istniała tylko w twojej wyobraźni!” ☺

Dziadek zmarł dwa lata temu, więc z jednej strony się cieszę, że do mnie napisałeś, a z drugiej mi przykro, że nie zrobiłeś tego wcześniej.

Jak się czuje Twoja babcia? Nigdy jej nie poznałam, a mam wrażenie, że wiem o niej wszystko!

Marta

Spóźnił się. Krzysztof zmarł dwa lata temu. To z pewnością była bardzo zła wiadomość. Ale były też dobre: do śmierci wierzył, że jeszcze kiedyś spotka Emilię i nigdy o niej nie zapomniął, a Mikołaj miał szanse poznać opowiedzianą przez babcię historię z perspektywy jej ukochanego, czego zapowiedzią mogło być zaproszenie od Marty do grona znajomych.

Rozdział 16

Emilia

JUŻ CZAS. PODNIOSŁAM POWIEKI I NAGLE NABRAŁAM PEWNOŚCI, ŻE WRACAM DO ŚWIATA ŻYWYCH. Nie wiem skąd – przecież nie po raz pierwszy odzyskiwałam świadomość – ale wiedziałam, że tym razem nie pogrążę się na nowo w niebycie. Sanitariuszki ze szpitala przy Długiej, w którym spędziłam ostatnie dni powstania na Starym Mieście, kręciły głową z niedowierzaniem i powtarzały:

– To cud! Najprawdziwszy cud!

Sytuacja była tragiczna. Rany gniły i ropiały, trupy leżały obok żywych, a mnie w tej przesiąkniętej śmiercią i cierpieniem atmosferze udało się wstać z łóżka i wyjść ze Starówki na własnych nogach. Sanitariuszki miały rację – to był cud. Miałam niewyobrażalne szczęście.

Kiedy walczyłam o każdy oddech, gdzieś w podświadomości tliła się myśl o dziecku. Wierzę, że właśnie ono pozwoliło mi przeżyć. Dało wewnętrzną siłę do walki z infekcją. Ono i Zosia, bo jak się dowiedziałam od starszej sanitariuszki, kiedy leżałam umierająca w szpitalu, moja przyjaciółka dokonała niemożliwego – zdobyła antybiotyk, podczas gdy brakowało najzwyklejszych opatrunków.

– Panienska cztery dni i cztery noce leżała z gorączką powyżej czterdziestu stopni! – Pokręciła z niedowierzaniem głową pielęgniarka. – Koleżanka czuwała przy łóżku, ale od wczoraj jej nie widziałam... Panienska chyba zdaje sobie sprawę, że sytuacja na Starówce jest tragiczna? – Skinęłam gło-

wą, a ona kontynuowała: – Od kilku dni wiadomo, że na Starym Mieście długo już nie zostaniemy. Trzeba poddać dzielnicę i ewakuować się do Śródmieścia. Panienska ma jeszcze szansę. Jak się tylko panienska poczuje lepiej, proszę wracać do swoich i jak najszybciej opuścić Starówkę. Tutaj tylko śmierć nas może spotkać... – Urwała gwałtownie, tłumiąc łzy.

– A pani?

– A ja zostanę tutaj do końca – odpowiedziała spokojnie.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – Jeśli jest szansa, trzeba walczyć o przetrwanie! Życie jest najważniejsze – powiedziałam z pełnym przekonaniem. To ostatnie dni mnie tego nauczyły.

– A co z najciężej rannymi? Z tymi, którzy nie wyjdą stąd na własnych nogach? – Westchnęła głośno. – Ewakuacja ma się odbywać dwiema drogami. Część pójdzie kanałami, a inni przez Ogród Saski. Do kanałów nie zmieszczą się nosze. Ranni nie podołają wędrówce. A jak panienska sobie wyobraża marsz z rannymi na noszach przez Ogród Saski? W tej okolicy roi się od Niemców, będą strzelać do nas jak do kaczek. Panienska jeszcze ma szansę, panienska dojdzie do siebie – powtórzyła, patrząc mi w oczy.

Sanitariuszka była smutna, ale jednocześnie spokojna, pogodzona ze swoim losem. Wychodząc z powstania, zostawiliśmy na pastwę Niemców cywilów i najciężej rannych, całe szpitale wypełnione ludźmi, wśród których byli nie tylko chorzy, ale także lekarze i pielęgniarki.

– Może Niemcy was oszczędzą... – wypowiedziałam na głos to jakże pobożne życzenie.

Nie odpowiedziała, tylko zajęła się swoimi sprawami.

Kiedy na własnych nogach opuszczałam szpital, był pierwszy wrześnie. Ze Starego Miasta zostały tylko zgliszcza. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewały słowa sanitariuszki. Nie mogłam się pogodzić z porażką. Tak długo się broniliśmy, przelaliśmy morze krwi, walczyliśmy zawzięcie o każdy kamień, a teraz mieliśmy się wycofać kanałami jak szczury? Wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia. Nie po to wyrwałam się śmierci, żeby teraz zginąć tak głupio. Oddawaliśmy Stare Miasto, ale powstanie się przecież jeszcze nie skończyło! Walki wciąż toczyły się w Śródmieściu, na Żoliborzu... Próbowałam przekonać samą siebie, że jeszcze mamy szansę odwrócić bieg powstania, jednak gdzieś podskórnie czułam, że to koniec. Upadek Starówki to był moment, w którym ponad wszelką wątpliwość zro-

zumieliśmy, że nasze starania są skazane na niepowodzenie, a zryw niepodległościowy i tak upadnie, co było tylko kwestią czasu.

Moje pojawienie się w oddziale było niczym powrót z zaświatów. Chyba nikt nie wierzył w moje ozdrowienie, dlatego kiedy na kilka godzin przed ewakuacją dołączyłam do tej garstki dziewczyn i chłopaków, którzy jeszcze zostali, zapanowało poruszenie, a na twarzach wielu z nich pojawił się szeroki uśmiech.

– Mila! Własnym oczom nie wierzę!

Stałam wśród swoich na własnych nogach, a jeszcze kilka dni temu nikt nie wierzył w to, że wyjdę z powstania żywa. Dostaliśmy z moim dzieckiem drugą szansę, a wielu nie miało takiego szczęścia. Nie mogłam tego zaprzepaścić.

– Gdzie Zosia? – Rozejrzałam się wśród obecnych.

– Poszła do Śródmieścia dzisiaj w nocy. Spotkacie się na miejscu.

Z niecierpliwością czekałam na spotkanie z przyjaciółką. Chciałam jej podziękować – w końcu, jak utrzymywała sanitariuszka, to właśnie jej zawdzięczałam to, że żyję. Od czubka głowy po palce stóp byłam przesiąknięta nadzieją, bo w mojej głowie rozbrzmiewały słowa Zosi: „Krzyś żyje”. Czy mi się to przyśniło, czy rzeczywiście przekazała mi tę wspaniałą wiadomość?

Rozejrzałam się wokół, szukając jakiejś znajomej twarzy. Czy był tu ktoś, z kim Zosia mogłaby rozmawiać na temat losów mojego ukochanego? Róża umarła w pierwszych dniach powstania. Zdążyłyśmy się zżyć z Bożeną, ale jej też już nie było wśród żywych. Może Wacka? Postanowiłam za ryzykować.

– Rozmawiałaś może z Zosią, zanim ewakuowała się do Śródmieścia? – zapytałam konspiracyjnym tonem.

– Przez chwilę.

– Czy nie mówiła może o... – urwałam. – Czy nie wiesz nic o moim Krzysiu?

– Och. – Posłała mi smutne spojrzenie. – Niestety.

Byłam prawie pewna, że sobie tego nie wymyśliłam. Zośka powiedziała, że Krzyś żyje. A może tak bardzo chciałam usłyszeć te słowa, że mój zmęczony walką z infekcją i gorączką umysł zrobił mi psikusa?

Zapadł zmrok. Niemiecki ostrzał wciąż trwał, a na placu Krasińskich działały się dantejskie sceny. Każdy chciał dostać się do wjazdu, lecz wejścia

do kanału pilnowała powstańcza żandarmeria. Żołnierze Armii Krajowej mieli pierwszeństwo przed rozwścieczonymi cywilami. Było jasne, że kiedy powstańcy opuszczą dzielnicę, na ich miejsce przyjdą Niemcy, dlatego ludność cywilna robiła wszystko, aby zdążyć się ewakuować ze Starego Miasta.

– Proszę się cofnąć, powstańcy przodem! – powtarzali ze stoickim spokojem młodzi chłopcy pilnujący wjazdu. Nie mogłam na to patrzeć. Decyzja dowództwa była dla mnie poniekąd zrozumiała, ale... Jako żołnierka musiałam wypełniać rozkazy, ale jako człowiek cierpiałam, widząc rzesze ludzi skazanych na śmierć z rąk Niemców.

– Proszę się rozejść, blokujecie wejście do kanału!

Okrzyki powstańców mieszały się ze szlochami i lamentami cywilów. Ogarnęła mnie panika.

– Pfu! – Jakiś starszy człowiek splunął mi pod nogi. – Uciekacie kanałami, szczury jedne, a ludzi zostawiacie na pewną śmierć! Wyście na nas Niemców sprowadzili! Zachciało się gówniarzom zabawy w powstanie, a teraz się ewakuują, skazując cywilów na łaskę i niełaskę szkopów!

Przez chwilę zwątpiłam, że w ogóle uda mi się dostać do kanału, ale nagle poczułam mocne szarpnięcie – to Karolczyk, kolega z konspiracji, pociągnął mnie za sobą, torując przejście. Jęknęłam odruchowo, kiedy poczułam przeszywający ból w biodrze. Rana wciąż się nie zagoiła, dlatego z przerażeniem myślałam o wędrówce przez kanały.

– Nie wolno zabierać plecaka! Proszę go zostawić! – Jeden z żołnierzy upominał stojącą przed nami dziewczynę.

– Ale... ja tam mam pamiątki po rodzicach... Przez całe powstanie przeszłam z tym plecakiem.

– Nie wolno!

Poczułam, że ktoś zawiązuje na mojej głowie jakąś szmatę. Spojrzałam z zaskoczeniem na kolegę z oddziału.

– Żebyś nie rozbiła czaszki o sklepienie! Hełm mógłby narobić hałasu, a tam na dole najmniejszy szmer może być zdradziecki...

Kiwnęłam tylko głową i weszłam do kanału. Pierwszym, co zarejestrował mój umysł, była cisza. Ale jaka cisza! Na placu rozbrzmiewały echa niemieckiego ostrzału i krzyki przerażonych ludzi. Na dole wszystko zniknęło.

Kiedy już weszłam do wjazdu, pod stopami wyczułam metalowe szczeble drabinki. Zeszłam po niej ostrożnie, po kolana zanurzając się w gęstej, obrzydliwej cieczy. Byłam teraz w zupełnie innym, jakby osobnym świecie, w którym czas mijał wolniej, a obrzydliwy fetor uniemożliwiał zaczerpnięcie oddechu pełną piersią. Poczułam, że się duszę. Chciałam się wycofać, wrócić na górę. W jednej krótkiej chwili uznałam, że lepiej wpaść w łapska Niemców niż wejść do tego kanału, ale już nie było czasu na zmianę decyzji, gdyż po drabince schodzili pozostali.

Uczucie, że się duszę, było o wiele gorsze od bólu, który wciąż o sobie przypominał. Intuicyjnie oparłam się o ścianę, lecz już w następnej sekundzie tego pożałowałam. Wzdrygnęłam się, kiedy moja dłoń dotknęła czegoś lepkiego i oślizłego. Pod butami czułam muł i nieczystości.

Ktoś mnie popchnął. Nie było już czasu na wahanie. Musiałam iść. Gdzieś koło moich nóg pływały odpadki i zdechłe szczury. Przełamalam obrzydzenie, schyliłam się i zrobiłam pierwszy krok, po czym złapałam linę i poczłapałam przed siebie.

Jedynie dźwięki, jakie do mnie docierały, to chlupot i ciężkie oddechy moich współtowarzyszy. Przemieszczałam się na zgiętych nogach. W najwyższych miejscach kanał miał może półtora metra wysokości. Co jakiś czas słyszeliśmy z góry stukot butów Niemców i prowadzone po niemiecku rozmowy. W takich momentach zamieraliśmy. Przy wjeździe wystarczająco nasłuchiwałam się przerażających opowieści. Podobno Niemcy szybko się domyślili, że powstańcy ewakuują się kanałami, i dla zabawy wrzucali do wjazdów granaty lub wpompowywali benzynę, by ją podpalić. Musieliśmy zachować absolutną ciszę, co czasem okazywało się trudne. W kanałach z ludzi wychodziły największe lęki. Wystarczyło, aby ktoś na chwilę się zatrzymał lub szepnął: „zabłądziliśmy”, a już podnoszono lament. Nie każdy umiał zachować dyscyplinę. Nic, co ci dzisiaj powiem, nie jest w stanie oddać tego, co przeżyliśmy w mroku kanałów.

W najwęższych miejscach kanały miały wysokość kilkudziesięciu centymetrów. To właśnie tam podnosiły się najgłośniejsze lamenty. Brak powietrza i ciemność nie ułatwiały morderczej wędrówki.

– Zostaliśmy pogrzebani żywcem!

– Wszyscy zginiemy!

Te obawy wcale nie były bezpodstawne. Co jakiś czas natykaliśmy się na kamienne występy, na których leżały zwłoki tych, którym zabrakło sił.

Oni zostali tam na zawsze.

Byłam skrajnie wyczerpana i coraz częściej myślałam, że nie wyjdę stamtąd żywa. Z godziny na godzinę rana doskwierała mi coraz bardziej, a ból stawał się bardziej intensywny. Nic dziwnego – brodziłam po pas w nieczystościach. Co chwila potykałam się o broń – wielu żołnierzy doszło do wniosku, że lepiej ją porzucić, niż utonąć pod jej ciężarem.

Czas spowolnił, a ja myślałam o wszystkich tych, którzy zostali na Starówce. Niemcy byli zdolni do najgorszych czynów, co potwierdzili, doprowadzając do rzezi Woli. Czy mieszkańców Starego Miasta czekał podobny los?

Szersze kanały były szczególnie niebezpieczne, gdyż często zamieniały się w rwące rzeki. Kiedy podnosił się poziom wody, rozlegały się krzyki:

– Już po nas!

Straciłam poczucie czasu. Tak naprawdę spędziliśmy w kanałach kilka godzin, a mnie się wydawało, że byłam tam przez kilka dni.

– Jesteśmy! Będziemy wychodzić na powierzchnię.

Kiedy usłyszałam te upragnione słowa, rozplakałam się. Nie mogłam uwierzyć, że się udało. Ta gehenna zdawała się trwać i trwać. Straciłam nadzieję, że się kiedykolwiek skończy.

Byłam tak wycieńczona, że nie potrafiłam wyjść z włazu o własnych siłach. Powstańcy ze Śródmieścia wręcz wyciągnęli mnie z kanału.

Dłuższą chwilę zajęło mi oswojenie się ze światłem. Kiedy w końcu odzyskałam zdolność widzenia, zrozumiałam, że trafiłam do zupełnie innego świata. W Śródmieściu przywitały mnie czyste, zadbane i pachnące sanitariuszki. Ze Starego Miasta nie został kamień na kamieniu, podczas gdy tu nawet szyby w oknach były całe! Kamienice stały, tłum nie biegał przerażony od barykady do barykady.

Śródmieście miało dopiero przeżyć gehennę.

Na górze spotkałam inne dziewczyny ze Starówki. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Przeżyłyśmy! Tylko to się w tamtym momencie liczyło. Rozglądałam się za Zosią, ale nigdzie jej nie widziałam. Nieważne. Uznałam, że na pewno wkrótce się spotkamy. Wyrwałam się z piekła i tylko to się teraz liczyło!

Rozdział 17

Emilia

DOSTALIŚMY KWATERĘ PRZY JASNEJ. W końcu mogłam się umyć i doprowadzić się do porządku. Dopiero kiedy znalazłam się w Śródmieściu, poczułam, jak bardzo cuchnę. Jak wszyscy cuchniemy. Smród przeпоconych ciał zmieszał się z zapachem wydobywającym się z trudno gojących się ran i straszliwym fetorem z kanałów.

Po wyrwaniu się ze Starego Miasta Śródmieście wydawało mi się enklawą spokoju, bezpieczeństwa i... luksusu. Oczywiście tu również trwały walki, lecz był to zupełnie inny świat. Z trwogą myślałam o wszystkich tych, którzy zostali na Starówce. Później się dowiedziałam o masowych mordach, podpalaniu szpitali z rannymi w środku i gwałtach na sanitariuszkach. Niemcy palili ludzi żywcem, rozstrzeliwali ich. Nie znali litości.

Przebrałam się w nieco za szeroką sukienkę, którą dostałam od łączniczki ze Śródmieścia, i spjrzałam w lustro. Dobry Boże, nie widziałam swojego odbicia od wybuchu powstania! W ciągu miesiąca postarzałam się o kilka lat. Twarz mi się zapadła, oczy straciły blask, a ciemne podkówki pod nimi dodawały mi powagi. Policzki zwisały, a przecież miałam ledwie dwadzieścia dwa lata! Dotknęłam twarzy. Moje dłonie wyglądały jak ręce obcej kobiety. Przebijające się przez skórę obojczyki i zbyt luźna sukienka tylko dopełniały obrazu nędzy. Odruchowo dotknęłam brzucha, jednak był płaski jak deska. Ze smutkiem pomyślałam o swoim dziecku. Bałam się o jego życie i zdrowie. Byłam niedożywiona, skrajnie przemęczona i cudem uniknę-

łam śmierci. To wszystko nie mogło pozostać bez wpływu na moje małeństwo.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i wsunął się bezszelestnie do pokoju. Oderwałam dłonie od brzucha i odwróciłam się szybko w stronę Wacki. Mój gest nie umknął jej uwadze, ale nic nie powiedziała.

– Mila, jesteś gotowa? Powstańcy ze Śródmieścia zapraszają nas do kawiarni. – Musiała wiele wyczytać z mojego spojrzenia, gdyż szybko dodała: – Wiem, też się zdziwiłam, że może być tak normalnie.

Wyszłam za nią w milczeniu. Po chwili dołączyło do nas kilka osób, większość z naszego oddziału i kilka z „Parasola”. Źle się czułam i przejście tych kilkuset metrów kosztowało mnie sporo wysiłku, chociaż maskowałam kiepskie samopoczucie słabym uśmiechem. Nagle Wacka się zatrzymała, jakby coś sobie przypomniała.

– Wiem od dowódcy, że grupa, w której szła Zośka, musiała się wycofać. Ktoś pomylił drogę i wyszli prosto na Niemców. Wywiązała się strzelanina, kilka osób zginęło, a reszta wróciła do kanałów i udało im się zbiec.

Moje serce zabiło szybciej. O nie, tylko nie Zośka!

– Co z nią? – zapytałam drżącym głosem.

– Jest cała – zapewniła mnie Wacka, a po chwili wahania dodała: – Na Żoliborzu.

Na Żoliborzu?! W linii prostej dzieliło nas może pięć kilometrów, ale te dzielnice były od siebie całkowicie odcięte. Dostać się z Żoliborza do Śródmieścia i odwrotnie można było wyłącznie kanałami. Za żadne skarby nie zesłabym z powrotem pod ziemię. Nigdy więcej nie chciałam się znaleźć w tym świecie, w którym z ludzi wychodzą najgłębiej skrywane lęki, a każda sekunda jest walką o powietrze i siły na kolejny krok. A Zośka... No cóż, chyba była tam bezpieczna. Czy coś mogło ją skłonić, aby zaryzykować i spróbować się przebić do Śródmieścia? Przecież nawet nie wiedziała, że udało mi się wyrwać ze Starówki!

Pogrążona w świecie własnych myśli weszłam do kawiarni, w której, jak się okazało, śpiewał sam Mieczysław Fogg¹². Od razu rozległ się teatralny szept:

¹² Mieczysław Fogg – polski piosenkarz, którego kariera rozpoczęła się w okresie międzywojennym.

– Powstańcy ze Starego Miasta!
I nagle usłyszeliśmy dobrze znaną piosenkę:

*Pałacyk Michła, Żytnia, Wola,
bronią jej chłopcy od „Parasola”,
choć na tygrysy mają visy,
to warszawiaki fajne chłopaki są!*¹³

¹³ „Pałacyk Michła” – powstała 4 sierpnia 1944 roku piosenka powstańcza. Słowa do melodii „Hymnu Podhalańskiego” ułożył Józef „Ziutek” Szczepański.

Na twarzach wielu, w tym również i mojej, od razu pojawiły się łzy wzruszenia. Chyba każdy z nas myślał wówczas o kolegach i koleżankach z oddziału, których już z nami nie było, o bliskich, których straciliśmy w czasie wojny i powstania, o marzeniach, które nigdy nie miały się ziścić. Byliśmy wówczas tacy młodzi...

Dziś ktoś mógłby powiedzieć, że mieliśmy przed sobą całe życie, ale to nieprawda. Nawet ci, którzy wyszli z powstania żywi, stracili w Warszawie coś więcej niż tylko młodość. Umknęła nam gdzieś część życia: ta przed powstaniem i po nim. Każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu żył w cieniu tamtych dni, a obrazy z oblężonej stolicy przez kilkadziesiąt lat utrudniały nam normalne funkcjonowanie.

Poczułam, że ktoś mnie do siebie przyciąga. Intuicyjnie przytuliłam dziewczynę, która stała obok. Nie znałam jej, ale przecież należałyśmy do jednej rodziny. Po chwili utworzyliśmy krąg. Cieszyliśmy się, że żyjemy, ale podświadomie czekaliśmy na dalszy ciąg koszmaru. Po tym, co widzieliśmy na Starówce, nie mieliśmy wątpliwości – Niemcy nie odpuszczą.

Tego wieczoru chłopcy wypili stanowczo za dużo, ale nawet dowódcy przymykali na to oko. Na kilka godzin chcieli zapomnieć o tym, czego byli świadkami. Ja nie miałam siły z nimi świętować. Chciałam się w końcu wyśpać. Z minuty na minutę czułam się coraz gorzej: miałam gorączkę i rwała mnie rana w biodrze, więc wróciłam na kwaterę.

Zasnęłam niemal natychmiast i w końcu nic mi się nie śniło. Nie widziałam rozczłonkowanych zwłok, nie szukałam twarzy Krzysia i Zosi wśród ofiar...

– Mila, co się dzieje?! – To był głos Wacki.

Uchyliłam powieki i dostrzegłam zaniepokojoną twarz koleżanki z oddziału. Rozejrzałam się, ale nic nie dojrzałam. Było ciemno, więc uznałam, że to środek nocy. Zadrzałam i mocniej otuliłam się kocem.

– Co tu tak zimno? – zapytałam drżącym głosem.

– Mila, jesteś rozpalona. Dobrze się czujesz?

Pokiwałam głową i obróciłam się na drugi bok, ale szybko wróciłam do poprzedniej pozycji, gdyż ból w lewym biodrze był zbyt silny. Gdyby mój umysł nie był trawiony gorączką, z pewnością pomyślałabym, że to zły znak.

– Chyba powinien cię obejrzeć lekarz – usłyszałam pełen niepokoju głos Wacki.

– Daj mi spać – wymamrotałam. – Wszystko jest w porządku.

– Na pewno?

– Do rana mi przejdzie.

Ale nie przeszło. Następnego dnia nie mogłam się ruszyć, a ból odebrał mi władzę nad ciałem. Leżałam na łóżku polowym, płacząc cicho, a koleżanki i koledzy krzatali się wokół mnie. Koszmar powracał. Znow musiałam walczyć o każdą chwilę przytomności. Gorączka rosła z minuty na minutę, a ja marzyłam tylko o tym, by zasnąć. Byłam zbyt zmęczona, żeby otworzyć oczy.

– Trzeba ją zabrać do szpitala. Wygląda na to, że do rany wdała się infekcja. – Nie mam pojęcia, kto wypowiedział te słowa.

Po jakimś czasie poczułam mocne szarpnięcie – ktoś przełożył mnie na nosze i przykrył kocem, ktoś inny złapał mnie za rękę i zapewnił, że będzie dobrze.

Miałam wrażenie, że wszystko zaczyna się od początku. Gdzieś obok słyszałam:

– Ta dziewczyna, którą dzisiaj przynieśli, uciekła kanałami ze Starego Miasta. Z taką poważną raną do kanałów... nieczystości, muł, szczury...

– Zginęłyby tam, a tu nadal ma szansę.

Zorientowałam się, że sanitariuszki mówią o mnie. Zupełnie jakby mnie tam nie było! Zignorowałam słowa pierwszej i skupiłam się na tym, co powiedziała druga – wciąż miałam szansę. Ja i moje dzieciątko, o którego istnieniu nikt tutaj nie miał najmniejszego pojęcia. Dziecko było moim największym sekretem i jednocześnie powodem tego, że jeszcze nie umar-

łam – dziś jestem tego pewna. Wyszłam z powstania cała, bo przy życiu trzymała mnie myśl o nim.

Krzyś... Z każdym kolejnym dniem nasza miłość wydawała się tak mało realna. Przestałam żyć nadzieją na kolejne spotkanie. Traciłam resztki wiary w to, że jeszcze uda nam się spotkać. Wszystkie myśli skupiałam na pobożnym życzeniu, aby wyjść z powstania żywa i urodzić jego dziecko.

Dni szybko zamieniały się w noce. Zadziwiające, jak bardzo czas potrafi się naginać do naszej rzeczywistości. Kiedy brodziłam po pas w nieczystościach, przebijając się przez kanały, sekundy były niczym godziny, a gdy spałam trawiona gorączką, kolejne dni przemykały gdzieś obok, bez mojego udziału. Budziłam się na chwilę, rozglądałam się nieprzytomnie dookoła i zasypiałam z powrotem.

– Musisz jeść, by być silna – powtarzały sanitariuszki, próbując wepchnąć we mnie kilka łyżek obrzydliwej zupy.

Pewnego dnia poczułam na sobie czyjeś przeszywające spojrzenie. Byłam zmęczona. Nawet nie próbowałam otwierać oczu.

– Emilka? – usłyszałam pełen zdumienia głos.

Ciekawość zwyciężyła. W konspiracji nikt, absolutnie nikt nie zwracał się do mnie, używając pełnej wersji imienia. Dla wszystkich byłam po prostu Milą. Emilka była zarezerwowana dla rodziny i znajomych sprzed wojny.

Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą dobrze znaną twarz. Lidka była najlepszą przyjaciółką mojej siostry, znały się z Łucją od dziecka. Swego czasu były nierozłączne i chociaż wojna nadwerężyła ich relację, nadal łączyła je silna więź.

Lidka zaczęła pracę w charakterze pielęgniarki jeszcze przed pamiętnym wrześniem. Teraz stała nade mną, uśmiechając się nieśmiało i odgarniając włosy z czoła.

– Lidka? To naprawdę ty?

Pokiwała energicznie głową.

– Też nie mogłam uwierzyć, gdy cię tu zobaczyłam! Jak się czujesz? Czy czegoś ci potrzeba? Sanitariuszki są dla ciebie miłe?

– Dziękuję, jest w porządku – wymamrotałam. – Tylko... chce mi się pić.

Wróciła po kilku minutach, niosąc kubek z wodą. Pomogła mi się podnieść i przyłożyła naczynie do moich ust.

– Jesteś w ciąży, prawda?

Zszokowało mnie to pytanie. Spojrzałam na swój brzuch, a ona od razu pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Nie, nie! Nie sądzę, żeby ktoś się zorientował, jeszcze nic nie widać. Łucja mi powiedziała.

Moje serce zabiło szybciej. Od wybuchu powstania nie miałam żadnej wiadomości o siostrze i jej synku.

– Widziałaś się z nią?

– Zaraz na początku sierpnia, ale wiem, że jest bezpieczna. Jedna z naszych sanitariuszek towarzyszyła lekarzowi podczas pospiesznie wykonywanej w piwnicy operacji. Doktora wezwała właśnie twoja siostra.

– Kiedy to było? – dopytywałam.

– Kilka dni temu. Postaram się ją do ciebie przyprowadzić...

– Nie... – zaprotestowałam. – Nie trzeba. Nie chcę, żeby ryzykowała. Lepiej niech czeka, aż...

– Aż pogonicie Niemców? – dokończyła gorzko Lidka, patrząc na moją powstańczą opaskę.

Jęknęłam z bólu, a ona pogłaskała mnie delikatnie po głowie i zapewniła:

– Wszystko będzie dobrze. Wyjdiesz z tego. A teraz śpij. Sen to najlepsze lekarstwo.

Wypatrywałam jej później wśród sanitariuszek i pielęgniarek, ale na próżno. Mój niepokój rósł z godziny na godzinę – Lidka była jedynym ogniwem łączącym mnie z najbliższymi. Bałam się, że mogło jej się stać coś złego. Jej lub mojej siostrze. Teraz, kiedy wiedziałam, że jeszcze kilka dni temu była bezpieczna, w moje serce wstąpiła nadzieja. Krzyś, Zośka, Łucja, Henio – los nie mógłby być aż tak przewrotny, by zabrać mi ich wszystkich, prawda? W powstaniu walczyły całe rodziny – mężowie i żony, bracia i siostry, rodzice i dzieci. Nieliczne przetrwały tę zawieruchę bez strat.

– Jak długo tutaj jestem? – zapytałam jedną z sanitariuszek.

– Ze dwa tygodnie. – Wzruszyła ramionami i już jej nie było.

Dwa tygodnie! Z przerażeniem pomyślałam, że mamy już połowę września. Jak wyglądała sytuacja na froncie? Które dzielnice Warszawy były w rękach powstańców? Gdzie się podziewał mój oddział? W szpitalu byłam odcięta od informacji. Serce wyrywało się do swoich, ale rozum przypomi-

nał o dziecku. Byłam rozdarta, a najbardziej doskwierał mi brak wiadomości o losach powstańców.

Odgłosy spadających bomb było słychać coraz bliżej. Historia zatoczyła koło. Powtarzał się scenariusz doskonale mi znany ze Starego Miasta. Niemcy niszczyli stolicę z niebywałą precyzją – dzielnicę po dzielnicy, budynek po budynku, kamień po kamieniu...

Spałam niespokojnie, więc gdy poczułam delikatny dotyk, nie wiedziałam, czy to jawa, czy sen. Kiedy uchyliłam powieki, aż oniemiałam: zapłakana Łucja przygniotła mnie swoim ciężarem i tuliła tak mocno, że aż zabrakło jej sił.

– Moja mała Emilka! Tak się bałam, moja mała siostrzyczka! Nigdzie cię już nie puszcze, nigdzie... Cud, to cud, najprawdziwszy cud! Tak się bałam... tak się bałam... – powtarzała w kółko. – Niech no ci się przyjrze! Zmizerniałaś, okropnie wyglądasz! O mój Boże, czasem wątpiłam w to, że jeszcze cię zobaczę!

Dłuższą chwilę zajęło mi, zanim doszłam do siebie po szoku wywołanym nagłym pojawieniem się siostry.

– Gdzie Henio?

– Został z sąsiadką w piwnicy – przyznała smutno. – Nie mam dużo czasu, muszę do niego wracać. Na ulicach jest niebezpiecznie, ale kiedy otrzymałam przekazaną przez Lidkę wiadomość... musiałam przyjść. Kto by pomyślał, że jesteś tak blisko?

– Przez cały sierpień byłam na Starówce – powiedziałam słabym głosem.

– Podobno Stare Miasto jest doszczętnie zniszczone.

Zwiesiłam głowę, nie patrząc jej w oczy. Traktowałam klęskę Starówki bardzo osobiście.

– Nie da się tego opisać. – Westchnęłam głośno. – Przeżyliśmy tam piekło.

Zapadła cisza, przerywana dobiegającymi z oddali odgłosami walk i jękami rannych, których ciągle w szpitalu przybywało.

– Co z Krzysiem? A z dzieckiem? – zapytała w końcu siostra, przerywając milczenie.

– Nie mam żadnych wiadomości od Krzysia od połowy sierpnia. To znaczy... – zawahałam się przez chwilę, ale postanowiłam nie mówić jej

o tym, co powiedziała – lub co wydawało mi się, że powiedziała – Zosia. – Z moich obliczeń wynika, że urodzę w lutym...

– To cudownie – powiedziała bez większego przekonania. – Nasze dzieci będą dorastać razem. Różnica wieku między nimi będzie niewielka, mniej niż rok.

– A jak ty sobie radzisz? Co się z wami działo od wybuchu powstania? – Przeszłam do sedna, pytając o to, co mnie najbardziej interesowało.

Łucja chyba na to czekała, gdyż z jej ust niemal natychmiast popłynął potok słów.

– Już pierwszej nocy zeszłam do piwnicy – zaczęła. – Tam było bezpieczniej, nie dolatywały bomby i pociski. Właściwie cała kamienica przeniosła się do podziemi. Rozłożyłam łóżko połowe dla mnie i dla Henia. Wiesz, że od początku nie wierzyłam w to, że powstanie potrwa dwa, trzy dni, a naloty tylko utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

– Dobrze zrobiliście, że zeszliście do piwnicy – zauważyłam. – W mieszkaniu moglibyście nie mieć tyle szczęścia...

– Następnego dnia już od samego rana Henio przeraźliwie płakał – kontynuowała, jakby nie słyszała mojej uwagi. – Myślałam, że jest chory lub boli go brzusek. Okazało się, że wcale się tak bardzo nie pomyliłam. Owszem, powodem płaczu był brzuch, ale nie bolesny, a pusty. Szybko się zorientowałam, że z tego całego stresu straciłam pokarm. Załamalam się. To był dla mnie prawdziwy dramat, nie mogłam sobie wyobrazić gorszego scenariusza. Przez pierwsze dni przecierałam przez sito kaszę, którą sami jedliśmy, i podawałam ją synkowi, ale... – urwała na chwilę i wzdrygnęła się na wspomnienie tamtych chwil. – Kasza też się szybko skończyła. Nie miałam skąd wziąć mleka, więc ktoś poradził mi, żebym podawała dziecku rozbełtaną mąkę i cukier z wodą. Teraz nawet woda jest na wagę złota. Rzykujemy życiem, stojąc w kolejce po wodę, bo studnie i krany są pod ostrzałem. Jednego dnia ja idę po wodę, a sąsiadka zostaje z Heniem, drugiego się wymieniamy.

Spojrzałam na nią z uznaniem. To Łucja była bohaterką, nie ja. Ja tylko biegałam z meldunkami po mieście, czasem zajmowałam się rannymi w szpitalu, a ona każdego dnia podejmowała heroiczną walkę o życie swojego synka.

– Nietrudno sobie wyobrazić, że podobny problem był od początku z przewijaniem... – przyznała ze smutkiem. – Wykorzystuję do tego

wszystko, co się może nadawać – podarte ubrania, stare prześcieradła, ścierki. Henio płacze z głodu i przez odparzenia pupy, a ja mogę tylko bezsilnie patrzeć na cierpienie mojego dziecka. W nocy nie mogę spać. Boję się, że kiedy tylko zasnę, spadnie na nas bomba. Wyobrażam sobie, że zostanę zasypana i w gruzach nie będę mogła znaleźć Henia. Wiesz, w końcu mały przestał płakać... – Kiedy usłyszałam te słowa, niemal pękło mi serce, ale Łucja dodała szybko: – Jest zagłodzony i nie ma siły krzyczeć. Obserwuję, jak z dnia na dzień niknie w oczach... Nie mogę nic dla niego zrobić, a to jest dla matki tragedia: patrzeć na swoje głodne, cierpiące dziecko i... nie mieć go czym nakarmić. Czuwam całymi dniami i nocami. W każdej chwili może się okazać, że trzeba uciekać...

Po moim policzku potoczyła się pojedyncza łza, a zaraz dołączyły do niej druga, trzecia i kolejna. Sama nosiłam pod sercem dziecko. To, co przeżywała moja siostra, zdawało mi się o wiele gorsze od tego, co widziałam i słyszałam. Wystraszyłam się, że Łucja potrafi czytać w moich myślach, gdy po chwili powiedziała:

– Niedługo sama zostaniesz mamą, więc możesz sobie wyobrazić dramat, który przeżywam. Ja już nie marzę o niczym innym, tylko o tym, żeby ta gehenna się skończyła. Nie wierzę w zwycięstwo. Kiedy pierwszego sierpnia zobaczyłam przez okno naszego mieszkania polską flagę, przez chwilę, jak wielu innych, pomyślałam, że Warszawa może być wolna, ale szybko pozbyłam się złudzeń. Czasem myślę, że wolałabym, żeby jedna z bomb, które spadają na stolicę, wpadła do piwnicy i zabiła nas oboje, mnie i Henia...

Opuściła bezradnie głowę, a ja nie mogłam znaleźć w zakamarkach umysłu żadnych słów pocieszenia – nic, co mogłoby dodać Łucji otuchy, bo przecież miała rację. Powstanie okazało się klęską, a ja czułam się rozdarta. Z jednej strony odzywała się we mnie żołnierka, która chce walczyć do końca. Nie o zwycięstwo, o honor, Z drugiej byłam kobietą, przyszłą matką, i doskonale rozumiałam siostrę.

– To nie taka prosta sprawa – odezwałam się nieśmiało. – Tyle już walczymy, szkoda by było... – urwałam nagle, onieśmielona siłą jej spojrzenia. – Może chociaż ci, co przyjdą po nas, będą mieli lepsze życie – bąknęłam pod nosem.

Łucja wstała i podeszła do okna. Wpatrując się w krajobraz walczącej Warszawy, zapytała:

– Co zamierzasz?

– Nie rozumiem...

Oderwała wzrok od okna i spojrzała prosto na mnie.

– Czy dołączysz do mnie i do Henia, czy wrócisz do oddziału?

Ukryłam twarz w dłoniach, kręcąc głową.

– Nie wiem – jęknęłam. – Na razie muszę dojść do siebie. Ja... przecież wiesz, że składałam przysięgę. Jestem żołnierką.

– Czyli wrócisz do oddziału? – domyśliła się.

To pytanie zawisło między nami. Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy o rzeczach błahych, a potem siostra pożegnała się, tłumacząc, że musi wracać do Henia. Wychodząc ścisnęła moją rękę, a w progu zatrzymała się i powiedziała tak cichutko, że ledwie usłyszałam jej głos:

– Do zobaczenia wkrótce.

Miałam nadzieję, że to była obietnica. Musiałam w to wierzyć.

Rozdział 18

Emilia

WCIAŻ BYŁAM BARDZO SŁABA, ZBYT SŁABA, ABY WSTAĆ Z ŁÓŻKA, CHOCIAŻ WMAWIAŁAM SOBIE, ŻE JEST INACZEJ I ŻE MOGĘ JUŻ WRACAĆ DO SWOICH. Wielokrotnie próbowałam przekonywać lekarzy i sanitariuszki, że czuję się dobrze, ale oni nawet nie chcieli o tym słyszeć. Przypuszczam, że Łucja musiała szepnąć Lidce słówko, by ta poinformowała o moim odmiennym stanie kolegów i poprosiła, żeby zatrzymali mnie w szpitalu. Poza tym rzeczywiście nie czułam się najlepiej, miewałam zawroty głowy i męczyłam się przy najmniejszym wysiłku.

Kiedy w końcu doszłam do siebie, powstanie już dogasało. Walczyły tylko dwie dzielnice – Żoliborz i Śródmieście. To, że zostałam ranna, uratowało mi życie – dzisiaj w to wierzę, jednak wówczas byłam wściekła na cały świat, a już najbardziej na siebie, że tak podałam się Niemcom na tacy! Setki razy analizowałam w myślach moment, w którym zostałam ranna. Mogłam się rozejrzeć, mogłam chwilę poczekać, mogłam się zatrzymać... Czasu jednak nie dało się cofnąć.

Kilka ostatnich dni powstania spędziłam, pomagając sanitariuszkom w szpitalu, tym samym, w którym sama wcześniej leżałam. Chciałam wrócić do oddziału, ale dowódca oddelegował mnie do służby sanitarnej. Jego decyzję przyjąłam z ogromnym rozczarowaniem, ale dzisiaj ją rozumiem. Widział, co się dzieje. Musiał wiedzieć, że niebawem rozpoczną się rozmo-

wy o kapitulacji, dlatego chciał oszczędzić jak najwięcej istnień. Miałam żal do Lidki, która wtargnęła do sali, kiedy tylko się dowiedziała, że mnie odwiedził, i poinformowała go, że jestem w ciąży i na linię frontu to ja się już kategorycznie nie nadaję.

– Jeszcze mi za to podziękujesz – usłyszałam od niej, kiedy ją ignorowałam.

Po raz ostatni zobaczyłam dowódcę w dniu, w którym została podjęta decyzja o kapitulacji. Przyszedł przekazać mi tę wiadomość osobiście. Kiedy tylko na niego spojrzałam, od razu wiedziałam. Z jego twarzy, zwykle nieprzeniknionej, można było czytać jak z otwartej księgi.

Spuściłam wzrok, próbując walczyć ze łzami, jednak ten bójk, jak wiele innych w ostatnich tygodniach, okazał się przegrany. Trudno mi było przyjmując do wiadomości decyzję o kapitulacji. Nie zgadzałam się na nią! Już od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że nasza sytuacja jest beznadziejna, ale sen o wolnej Warszawie wciąż trwał, może nieco bardziej odrealniony i mniej prawdopodobny niż na początku, lecz nadal pozwalał mieć nadzieję.

– To jest niemożliwe! – podniosłam głos, chyba po raz pierwszy w obecności dowódcy. – Tylu ludzi zginęło, tylu rannych, a my się mamy tak zwyczajnie poddać? Możemy walczyć do końca! Ja... – zawahałam się. – Po co to wszystko było? Żeby teraz Niemcy zniszczyli miasto, a powstańcy poszli do niewoli?

Chyba nie byłam pierwszą osobą, od której dowódca usłyszał podobne słowa.

– Właśnie – zaczął. – Miła, chciałbym, żebyś wiedziała, że pozostawiam wam, dziewczynom, które służyły w moim oddziale, wybór. Możecie wyjść z oddziałem albo iść z ludnością cywilną. Przyznam, że bardziej skłaniam się do tej drugiej opcji, ale nie będę wam nic narzucał. Pamiętaj tylko, że żołnierz, jeśli nie musi, nie idzie do niewoli.

Prychnęłam głośno. Uparłam się, że składałam przysięgę i moim obowiązkiem, obowiązkiem żołnierki, jest pozostać przy swoim oddziale.

– Muszę już iść – przerwał mi. Zawahał się chwilę, jakby chciał coś powiedzieć na temat mojej zawziętości, ale dodał tylko: – Życie jest najważniejsze.

Targały mną sprzeczne uczucia. Nie wiedziałam, co robić. To oczywiste, że pragnęłam żyć, dla siebie i dziecka, a także ukochanego, którego chciałam odnaleźć. Dołączenie do cywilów kłóciło się jednak z moimi przekona-

niami, dlatego wciąż się wahałam. I wtedy, tak jak wiele razy wcześniej i później, zdecydował za mnie los.

Dwie godziny po wyjściu dowódcy, kiedy wszyscy opuszczali mury szpitala, w drzwiach pojawiła się Łucja z Heniem na rękach. Mój Boże! Był jeszcze mniejszy niż zapamiętałam. Serce się krajało, kiedy patrzyło się na jego zapadnięte policzki i wyschnięte usteczka... To właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że dobrze się stało, iż powstanie się skończyło, a dowództwo Armii Krajowej podpisało z Niemcami akt kapitulacji. Henio był na skraju wyczerpania i jestem przekonana, że gdyby walki potrwały kilka dni dłużej, nie przeżyłby tej zawieruchy. Ciągle uważałam, że powinniśmy walczyć do samego końca, ale kiedy pojawiła się Łucja z Heniem... Nie chciałam, aby ten maluch cierpiał, a z tym nieuchronnie wiązałyby się kolejne bitwy. Byłam rozdarta.

– Przyniosłam ci rzeczy. Zmień ubrania na cywilne i idziemy – powiedziała siostra, patrząc na mnie twardo.

Lidka, gotowa ją poprzeć, zerknęła na nas z boku. Sama była już przebrana i pomagała lżej rannym dołączyć do pozostałych cywili, którzy opuszczali miasto.

– Lusi... – zaczęłam niepewnie. – Ja jestem żołnierką. Nie mogę...

– Możesz – odpowiedziała zmienionym głosem. – Możesz, a nawet musisz. Jesteś w ciąży. Jak ty to sobie wyobrażasz? Że urodzisz dziecko w nie-ludzkich warunkach w jakichś barakach w niemieckim obozie? Nie pozwolę na to. Ubieraj się!

– Emilko – wtrąciła Lidka łagodnie. – Twoja siostra ma rację. Za dużo już śmierci i cierpienia.

Skinęłam głową i wzięłam ubrania. Decyzja została podjęta gdzieś poza mną; miałam wrażenie, że nie miałam na nią większego wpływu.

Wychodząc ze Śródmieścia, wcisnęłam moją powstańczą legitymację do rury. Opaskę schowałam głęboko w torbie, w której miałam komplet bielizny i dwie bluzki – cały mój majątek. Łucja miała plan. W drodze z Warszawy do obozu przejściowego w Pruszkowie działała w sposób metodyczny. Zawsze była bierna i czekała na rozwój sytuacji, a teraz przejęła inicjatywę i wzięła naszą – moją, swoją i Henia – przyszłość we własne ręce. Dosłownie. Unieruchomiła rękę na desce i obwiązała ją bandażem, czego mój skołatany umysł początkowo nie zarejestrował.

– Co ty robisz? Przecież nie jesteś ranna – zapytałam, kiedy dotarło do mnie, co moja siostra wyprawia.

– Jako zdrowa i zdolna do pracy mogę zostać wywieziona do obozu. – Wzruszyła ramionami. – Nie wyobrażam sobie, że Niemcy mieliby nas rozdzielić. Chcę zostać z tobą i Heniem.

Pomyślałam, że może ja też powinnam udawać ranną, ale wtedy dotarło do mnie, że przecież wcale nie muszę. Mimo że od dnia, kiedy zostałam trafiona odłamkiem, minął już ponad miesiąc, nadal byłam słaba, a rana wciąż się nie zagoiła. Wieczorami często trawiła mnie gorączka. Przyzwyczaiłam się już do złego samopoczucia i prawdę mówiąc, wydawało mi się, że już nigdy nie dojdę do siebie.

Szliśmy przez całą noc. Kobiety, starcy, chorzy, dzieci. Udręczona Łucja niosła Henia, a ja byłam tak słaba, że nawet nie mogłam jej pomóc. Brałam dziecko na kilka minut na ręce, aby mogła odpocząć, lecz po chwili zaczynało mi się kręcić w głowie. Bałam się, że upadnę.

– Ty masz wysoką gorączkę – rzuciła przerażona Łucja, dotykając mojego czoła.

Pytała mijających nas ludzi, czy ktoś z nich nie ma przy sobie lekarstw, ale równie dobrze mogła wypatrywać śniegu w środku lata. Nie tylko gorączka i zmęczenie dawały mi się we znaki – byłam również przeraźliwie głodna.

Wychodząc z Warszawy, nie patrzyłam za siebie. Szłam ze spuszczoną głową. Nie chciałam oglądać spustoszonej, doszczętnie zniszczonej stolicy. Myśl, że Warszawy, jaką znałam i kochałam, już nie ma, wywoływała w moim sercu żal i niewysłowiony ból. Miasto, za które byłam gotowa oddać życie, było konsekwentnie niszczone, palone i grabione przez Niemców.

Miałam wrażenie, że ta wędrówka nigdy się nie skończy. Nie wiem, skąd Łucja miała tyle siły, aby jedną ręką trzymać Henia, a drugą podtrzymywać mnie, ale w końcu dotarłyśmy na miejsce. Siostra rozglądała się z zaciekawieniem, próbując się dowiedzieć, co nas czeka, ale mnie było już wszystko jedno. Chciałam się położyć, odpocząć, zamknąć oczy chociaż na minutkę...

– Emilko, wstawaj! – Szarpnęła mnie za rękę. – Musimy iść.

Wszystko działo się jakby poza mną. Długa kolejka do lekarzy, w końcu kilkunastosekundowe spotkanie z doktorem, który niemal natychmiast

orzekł, że nie jestem zdolna do pracy. Łucja wcisnęła półprzytomnego Henia w moje ręce i poprosiła, abym na nią zaczekała.

– Gdyby jednak wysłali mnie do obozu... – zaczęła, ale nie pozwoliłam jej dokończyć.

– Idź i wracaj do nas szybko.

Udało się! Obie zostałyśmy zwolnione. Niewiele pamiętam z wędrówki, jednak do końca życia nie zapomnę przerażonego wzroku mojej siostry, kiedy wyszłyśmy za bramę i spojrzałyśmy na siebie. Co robić? Gdzie iść? Byłyśmy bezradne.

A jednak los nad nami czuwał. A może to rodzice patrzyli na nas z góry i pilnowali, aby nic złego nam się nie stało? Nie do końca wierzę w istnienie innego świata, do którego mieliby trafiać ludzie po śmierci, ale nie przeszkadza mi to w wyobrażaniu sobie, że moi bliscy gdzieś tam ciągle są.

No więc ktoś lub coś – czy to los, czy czuwający nad nami rodzice – postawił na naszej drodze mojego kolegę z powstania, któremu też udało się uniknąć obozu. Ledwie rozpoznał we mnie dawną Milę – roześmianą, pełną chęci do walki, bez pamięci zakochaną dziewczynę. Moja siostra dość nieufnie podeszła do jego propozycji, abyśmy spędziły noc w jego mieszkaniu, ale dała się w końcu przekonać. Nie miałyśmy alternatywy.

Na miejscu udało nam się nawet przygotować posiłek, więc Łucja nakarmiła Henia przecedzoną przez sito kaszą. Potem mały długo płakał z bólu, a moja siostra płakała wraz z nim.

– Jak mogłam być taka głupia? – łkała. – Dziecko było wygłodniałe, a ja zamiast podawać mu jedzenie stopniowo, pozwoliłam mu się najeść do syta... – powtarzała.

– Ponoś go trochę, a ty chwilę odpocznij – zaproponowałam, lecz już po chwili musiałam się poddać. Miałam zawroty głowy i bałam się, że upuszczę siostrzeńca.

Chciałyśmy się zachowywać bezszelestnie i nie sprawiać problemów, tymczasem dziecko płakało do rana, ja jęczałam z powodu gorączki, a Ryś biegał jak w ukropie, co chwila zmieniając kompres na moim czole.

Znów, już po raz trzeci, traciłam płynną granicę między tym, co prawdziwe, a tym, co wykreował mój umęczony chorobą i gorączką umysł. Widziałam Krzysia, rodziców, Zosię. I trupy, morze trupów.

– Ja tu umrę – szeptałam.

– Nie umrzesz – powtarzała Łucja. – Czekamy na transport. Pojedziemy do ciotki do Żyrardowa. Tam staniesz na nogi.

Aż się uśmiechnęłam: do Żyrardowa! Ciotka Krysia była siostrą mamy, jej zupełnym przeciwieństwem. Uwielbiałam ją odwiedzać w niewielkim domku na skraju miasteczka. Nigdy nie wyszła za mąż i nie miała dzieci, dlatego byłyśmy dla niej całym światem. Od zawsze mi imponowała. Zaczytując się w powieściach Nałkowskiej, analizowała kwestie kobiece i na każdym kroku propagowała świadome macierzyństwo, edukację seksualną, a nawet prawo kobiet do rozwodu, co w okresie międzywojennym nie przysparzało jej popularności wśród znajomych. W tajemnicy przed rodzicami uświadamiała nas w kwestiach związanych z seksem i głośno mówiła o konieczności legalizacji aborcji. Dzisiaj taka ciotka nie byłaby niczym niezwykłym, ale wtedy zdawała się odosobniona w swoich poglądach. Przy tym wszystkim była jednak bardzo ciepłą i empatyczną osobą, która potrafiła znaleźć wyjście z niemal każdej, nawet najbardziej beznadziejnej sytuacji. Rozwiązywała moje i Lusi problemy i rozterki miłosne, podpowiadała, jak zakończyć spory z rodzicami, jednak nigdy niczego otwarcie nie sugerowała.

– Macie wolną wolę i swój rozum – powtarzała. – Ja mogę wam doradzić, ale decyzję musicie podjąć samodzielnie.

W czasie wojny często do siebie pisałyśmy, jednak nie spotkałyśmy się przez długie pięć lat. Poczułam wewnętrzny spokój, kiedy Łucja powiedziała, że zatrzymamy się właśnie u niej.

W mieszkaniu Rysia spędziłyśmy trzy dni. Miałam prawie czterdzieści stopni gorączki i byłam przerażona. Od pięciu tygodni mój organizm walczył z infekcją, a okres rekonwalescencji wydłużył się przez morderczy marsz kanałami i ewakuację z Warszawy. Kiedy tylko poczułam się nieco lepiej, sytuacja zmuszała mnie do nieludzkiego wysiłku i wszystko zaczynało się od nowa. Domek cioci Krysi jawił mi się jako jedyne miejsce, w którym mogę dojść do siebie. Z coraz większą trwogą myślałam o moim dziecku. Jakie miało szanse, żeby urodzić się zdrowe?

Pozegnałyśmy się z Rysiem, wylewnie dziękując za pomoc i opiekę. On naprawdę spadł nam z nieba. Nawet nie chcę myśleć, co by z nami było, gdybyśmy go nie spotkały...

Całą drogę do Żyrardowa przespałam. Oprócz nas furgonetką jechała rodzina, której udało się bez strat przetrwać powstanie – ojciec, matka i czter-

nastoletnia córka, ale nie miałam sił i ochoty, aby podtrzymywać rozmowę. Tym zajęła się Łucja.

Kiedy zobaczyłam ciocię Krysę, od razu rzuciłam się jej w ramiona, a łzy płynęły, płynęły i płynęły bez końca. Ostatni raz płakałam w dniu, kiedy się dowiedziałam o kapitulacji powstania.

– Emilko kochana! – Ciocia czule głaskała mnie po głowie. – Nigdy nie przestałam wierzyć, że was jeszcze, moje dziewczynki, zobaczę. Niechże was wszystkich uściskam!

Ciotka od razu zażądała, abyśmy szczegółowo zrelacjonowały losy całej rodziny. Pozwoliłam Łucji mówić. Ona tego potrzebowała. Wiedziałam, że musi wyrzucić z siebie cały ten ból wywołany przedwczesną stratą rodziców i męża. Ledwie pięć lat temu siedziałyśmy w tym samym miejscu, a tak wiele się zmieniło...

– Pamiętam, że kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, byłaś taka zakochana – zwróciła się ciocia do Łucji. – Już wówczas wiedziałam, że będziesz z tym mężczyzną szczęśliwa, że będziecie mieli piękne życie, ale nie myślałam, że takie krótkie.

– Wybuch wojny nie popsuł nam planów. – Lusiu uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Tak bardzo się kochaliśmy, chcieliśmy być razem... Ślub był skromny. Tylko my, rodzice moi i Stanisława, no i Emilka. Szkoda, że ciebie, ciociu, nie było z nami. – Zasepiła się. – Wokół szalała wojna, ale ja przy moim mężu miałam namiastkę normalności.

Ułożyłam się wygodnie na łóżku, słuchając siostry. Tak pięknie mówiła o miłości i życiu ze Stanisławem!

– Wiesz, ciociu, tak sobie myślę, że najlepsi ludzie odchodzą pierwsi, bo są najbardziej potrzebni tam na górze – odezwała się moja siostra, a ja odruchowo prychnęłam. – Stanisław był szlachetny, zupełnie nie nadawał się do życia w tych czasach. Cóż, mówiąc wprost: nie radził sobie, ale i tak twierdzę, że miałam z nim cudowne życie. Miłość do niego pozwoliła mi przetrwać najtrudniejsze chwile, kiedy zabrakło mamy, a niedługo później taty. A gdy odszedł... – urwała, zwieszając głowę.

– To miałaś już dla kogo żyć – dokończyła za nią ciocia, wskazując na śpiącego Henia.

– Szkoda tylko, że mój mąż nie zdążył poznać synka. Byłby z niego taki dumny...

Dalszej części rozmowy już nie słyszałam, gdyż pograżyłam się w niepokojnym śnie. Przewracałam się z boku na bok, ciocia zaglądała do mnie w nocy kilka razy, a kiedy się obudziłam, ujrzałam nad sobą obcego mężczyznę. Odruchowo się wzdrygnęłam, ale ciotka szybko mnie uspokoiła, informując, że to lekarz.

– Kiedy spodziewa się pani rozwiązania? – zapytał doktor, czym wprowadził mnie w konsternację. Ze strachem spojrzałam na ciocię.

– Lusia wieczorem mi o wszystkim opowiedziała.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem.

– Z moich obliczeń wynika, że w okolicach lutego – odezwałam się zachrypniętym głosem.

Lekarz zmarszczył nos i cmoknął, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Od jak dawna ma pani gorączkę?

– Zostałam ranna w ostatnim tygodniu sierpnia, nie wiem dokładnie, którego dnia – przyznałam. – Kiedy tylko poczułam się lepiej, ewakuowałam się ze Starówki kanałami. Rana przez kilka godzin miała kontakt z nieczystościami. W Śródmieściu znów poczułam się gorzej, przez kilka tygodni dochodziłam do siebie, a później... – Spojrzałam na niego smutno. Zdawał się rozumieć, o czym mówię, ale z pewnością nie potrafił sobie wyobrazić, co przeżyłam w Warszawie. – Cóż, później ogłoszono kapitulację i musiałam opuścić miasto. Szłam z siostrą przez całą noc do Pruszkowa, a tam...

– Rozumiem – przerwał mi. – Chciałbym obejrzeć miejsce postrzału.

Starannie oczyścił ranę i założył świeży opatrunek, a potem wręczył ciotce lekarstwa i wyjaśnił, jak powinnam je zażywać. Zanim wyszedł, spojrzał jeszcze na mnie i pokręcił smutno głową.

– Tak dużo pani przeszła – powiedział. – Rana jest rozległa, w pani stanie... Naprawdę ma pani szczęście, że jeszcze żyje.

Ciocia nie naciskała i o nic nie pytała. Czekala cierpliwie, aż znajde w sobie siłę, aby z nią porozmawiać i wszystko jej wytłumaczyć. Nawet jeśli wiadomość o mojej ciąży ją zdziwiła, nie dała tego po sobie poznać. Opiekowała się mną, pilnowała, abym zażywała leki, a kiedy doktor nie mógł do mnie zajrzeć, zmieniała opatrunki.

Po kilku dniach poczułam się lepiej i uznałam, że czas wyjaśnić cioci, kim jest ojciec mojego dziecka i dlaczego go ze mną nie ma. To była bardzo trudna rozmowa, która wiele mnie kosztowała, jednak wiedziałam, że mu-

szą ją odbyć. Później na wiele lat zamknęłam się w sobie i nikomu nie opowiadałam o swoich przeżyciach, ale wówczas jeszcze nie wiedziałam, jak potoczą się moje dalsze losy.

Na razie trwałam w zawieszeniu. Pod troskliwą opieką ciotki wracałam do siebie. Zastanawiałam się, jak będzie wyglądało życie moje i dziecka. Czy uda mi się odnaleźć Krzysia? Z dnia na dzień wydawało mi się to coraz mniej realne.

– Chyba należą się ciotki wyjaśnienia – odezwałam się pewnego dnia po zmianie opatrunku.

– Jeśli tylko uznasz, że nadszedł właściwy czas...

– Chcę o wszystkim opowiedzieć – przerwałam jej.

– W porządku. – Ciotka rozsiadła się wygodnie w fotelu. – Kiedy cię po raz ostatni widziałam, byłaś rozemocjonowana zaręczynami z Jankiem...

– Ale chyba zauważyłaś, że nie byłam do końca przekonana co do tego związku...

Potwierdziła skinieniem.

– Lubiłam Janka. Ba! Byłam nim zauroczona, ale... – Zastanowiłam się przez chwilę nad właściwym doborem słów. – Miłość? Ślub? Na litość boską, miałam ledwie siedemnaście lat! Cieszyłam się, że mogę pochwalić się przed koleżankami starszym narzeczoną, ale to nie jest chyba najlepszy powód, aby wyjść za mąż, czyż nie?

– Dobrze, że to zrozumiałaś – zauważyła ciotka Krysta.

– Nie rozumiałam. W każdym razie nie wtedy, a dopiero kilka lat później.

– Kiedy naprawdę się zakochałaś – domyśliła się.

– Właśnie tak. Od razu wiedziałam, że to ten jedyny. – Uśmiechnęłam się na myśl o Krzysiu. – Pamiętam, że następnego dnia po tym, jak go poznałam, z pełnym przekonaniem oświadczyłam tacie, że się zakochałam. Zapytał tylko: „Od kiedy znasz tego człowieka?”, a ja wypaliłam: „Od wczoraj”.

Ciotka zachichotała.

– Z pewnością był zachwycony.

Rozprostowałam nogi i ułożyłam się wygodnie, opierając dłonie na lekko zaokrąglonym brzuchu.

– Szybko zaakceptował Krzysia – powiedziałam. – Początkowo oczywiście miał obiekcje, bo w końcu obiecał moją rękę innemu...

– Ostatecznie dał się jednak przekonać ukochanej córce? – dopowiedziała ciocia.

– Tak, i zdążył pokochać Krzysia jak syna. Kilka tygodni przed tym, jak został aresztowany przez gestapo, przyznał, że jest szczęśliwy, kiedy widzi, jak ja promienieję przy ukochanym. Akceptował nasz związek i głośno mu kibicował. – Przygryzłam wargę. – Mama nie zdążyła poznać Krzysia.

Ciotka gestem zachęciła mnie do dalszych zwierzeń.

– Razem działaliśmy w konspiracji – powiedziałam, a na twarzy cioci wykwitł szeroki uśmiech.

– Mogłam się tego po tobie spodziewać – wtrąciła.

– Snuliśmy nieśmiałe plany co do przyszłości, zastanawialiśmy się, gdzie rzuci nas los. Nie wiedzieliśmy, czy doczekamy następnego dnia. Nie mieliśmy pojęcia, czy wrócimy żywi z kolejnej akcji. Jedno było pewne: chcieliśmy być razem.

– To piękne, że twoje dziecko jest owocem wielkiej miłości – zauważyła ciocia.

– Razem przygotowywaliśmy się do powstania – kontynuowałam swą opowieść. – Wiedzieliśmy, że ono w końcu wybuchnie, czekaliśmy tylko na rozkaz o rozpoczęciu walk. Na chwilę przed jego początkiem zorientowałam się, że jestem w ciąży, ale nie powiedziałam o tym Krzysiovi.

Ciotka aż uniosła brwi ze zdumienia.

– Dlaczego?

– Nie żałuję tego, że się spotkaliśmy, tego, że połączyła nas miłość. Nie żałuję też tego, że poczęliśmy dziecko. Żałuję tylko tego, że nie powiedziałam mu o tym – przyznałam ze łzami w oczach. – Sama nie wiem, co sobie wtedy myślałam... Chciałam go chronić. Pomyślałam, że myśl o dziecku mogłaby go rozpraszać. Kiedy zrozumiałam swój błąd, było już za późno.

Ciotka wydała krótkie westchnienie i posłała mi współczujące spojrzenie. W mig zrozumiałam, co mogła sobie pomyśleć, dlatego pospieszyłam z wyjaśnieniami: – Krzyś żyje – powiedziałam z przekonaniem, po chwili jednak dodałam: – Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie miałam od niego żadnych wiadomości od połowy sierpnia. Nikt nie wie, co się z nim stało. Ktoś powiedział, że dostał rozkaz, żeby się przebić na Czerniaków, ktoś... – zawahałam się. Postanowiłam nie mówić o tym, że mój ukochany mógł być jedną z ofiar masakry na Kilińskiego.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość – zauważyła ciotka, jakby czytając w moich myślach. Wstała i powoli przeszła kilka kroków w stronę łóżka, na którym leżałam. Delikatnie usiadła obok i wzięła mnie za rękę. – Wierzę, że dalszy ciąg tej historii będzie bardziej optymistyczny – zapewniła mnie. – Bo w to, że będzie jakieś zakończenie, nie wątpię... Co ja mówię! – zreflektowała się. – Jakie zakończenie? To będzie dopiero początek! A teraz... po prostu leż i odpoczywaj. Twoje dzieciątko przeszło już zbyt wiele. Nie dostarczaj mu dodatkowych wrażeń.

Bardzo chciałam wierzyć w to, że to nie koniec, a dopiero początek, jednak intuicja podpowiadała mi coś zupełnie innego.

Rozdział 19

ZAMKNAŁ WIEKO LEŻĄCEJ NA ŁÓŻKU WALIZKI, PODRAPAŁ SIĘ PO GŁOWIE I JESZCZE RAZ SIĘ ZASTANOWIŁ, CZY NA PEWNO WSZYSTKO ZABRAŁ. Inspekcja wypadła pomyślnie, dlatego wyniósł walizkę do przedpokoju i postanowił na kilka minut się położyć. Miał jeszcze trochę czasu.

Gdy połączył się z internetem, jego smartfon krótko piknął, obwieszczając nadejście nowej wiadomości. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że nadawcą jest Marta. Miło mu się z nią korespondowało. Dziewczyna okazała się ciekawą osobą i świetną rozmówczynią. Początkowo pisali tylko o swoich dziadkach, z czasem zaczęli wymieniać wiadomości niezwiązane z Emilią i Krzysztofem, aż w końcu się zorientował, że zwierza jej się niemal ze wszystkiego, a ona odwdzięcza mu się tym samym.

Marta Andrzejewska:

Cześć! Już spakowany? ☺

Jak nastroje przed lotem?

Mikołaj Krajewski:

Hej! Właśnie przed chwilą zamknąłem walizkę.

Mam nadzieję, że niczego nie zapomniałem!

Marta Andrzejewska:

Nawet jeśli, to na pewno sobie poradzisz.

W końcu lecisz tylko na weekend 😊

Mikołaj Krajewski:

Najważniejsze spakowałem – garnitur 😊

Brrr, aż się wzdrygam na myśl o tym, że będę musiał go założyć!

Marta Andrzejewska:

Ha ha, nie lubisz garniturów?

Mikołaj Krajewski:

Nie znoszę!

Marta Andrzejewska:

Wytrzymasz 😊

Słuchaj, moja propozycja jest nadal aktualna.

Rozmawiałeś z babcią?

Mikołaj Krajewski:

Szczerze mówiąc, nie. Nie gniewaj się...

Porozmawiam z nią na spokojnie po powrocie.

Marta Andrzejewska:

Jasne. Będę zatem wypatrywać wiadomości z Paryża 😊

Mikołaj Krajewski:

Odezwę się, jak tylko będę mógł!

Teraz muszę już lecieć.

Miłego weekendu!

Marta Andrzejewska:

Nawzajem! I bezpiecznego lotu! Pa! 😊

Wyszedł z pokoju, kiedy mąż pani Marylki parkował przed ich bramą. Co za wyczucie! Przed domem stała już babcia wsparta o kulę. Radziła so-

bie coraz lepiej, a rehabilitant przewidywał, że na dniach będzie już mogła chodzić samodzielnie.

Mikołaj podszedł do niej i mocno ją przytulił.

– Nadal nie jestem przekonany, czy powinienem cię zostawiać samą – wymamrotał. Z minuty na minutę czuł narastające wyrzuty sumienia.

Emilia machnęła energicznie ręką.

– Dziecko! Przecież nie zostaję sama, będzie ze mną Marylka – przypomniała mu. – A ty lecisz na ślub swojej matki! Nie może cię tam zabraknąć. Jestem przekonana, że Helena z niecierpliwością wypatruje cię w Paryżu!

– W takim razie będzie musiała jeszcze chwilę poczekać. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Na pewno sobie poradzisz?

– Na pewno! – potwierdziła. – Ile razy mnie jeszcze o to zapytasz? Idź już, bo się spóźnisz na samolot!

Poprzedniego dnia rozmawiali do późna, ale ku rozpaczy Mikołaja babcia nie zdążyła skończyć swojej opowieści. Zakończenie całej historii miał poznać po powrocie z Paryża. Czuł się zawiedziony, gdyż liczył, że na spotkanie z matką poleci, znając przyczynę ich niezbyt dobrych relacji.

Emilia zatrzymała się w momencie, w którym trafiła do Żyrardowa i opowiedziała ciotce historię swojej miłości. Mikołaj czuł, że jest już bardzo blisko prawdy, jednak wciąż mu się wymykała.

Obserwując zmieniające się za oknem krajobrazy, myślał o tym, jakie niewyobrażalne szczęścia miała jego babcia, że udało jej się przeżyć powstanie. Rozpamiętywał historię Irenki, Bożeny i wielu innych osób, z którymi zetknął ją los.

Mąż sąsiadki zawiózł go na lotnisko w Pyrzowicach i szybko odjechał, tłumacząc się obowiązkami. Mikołaj wcale mu się nie dziwił – nie był zbyt rozmowny w czasie podróży. Lot trwał niewiele ponad dwie godziny. Samolot wylądował punktualnie. Na oddalonym o siedemdziesiąt pięć kilometrów od centrum Paryża lotnisku Beauvais czekała już jego matka w towarzystwie sporo wyższego, siwiejącego mężczyzny. Na widok syna uśmiechnęła się szeroko.

Mikołaj ruszył z drżącym sercem w stronę kobiety, która go urodziła i z zasady powinna być dla niego najbliższą osobą na świecie. Nie widział jej od kilku lat. Nie wiedział, jak powinien się zachować, dlatego stanął i czekał, aż matka podejdzie do niego. Helena bez namysłu podbiegła do

syna i rzuciła mu się w ramiona. Musiała podnieść wysoko głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

– To niesamowite – wyszeptała. Na przemian śmiała się i płakała.

– Mamo... – upomniał ją nieco zażenowany. – Co jest takie niesamowite?

– To że ty... jesteś mężczyzną! Dobry Boże, a wydaje mi się, że ledwie wczoraj byłeś malutkim chłopczykiem!

Towarzysz Heleny, zapewne Alain, taktownie stał z boku. Gdy Mikołaj posłał mu spojrzenie z prośbą o ratunek, natychmiast zrozumiał i podszedł do nich. Znał kilka słów po polsku. Kilka, czyli dokładnie tyle, ile Mikołaj po francusku. Ich komunikacja z góry była skazana na porażkę, gdyż Francuz, tak jak wielu jego rodaków, nie władał językiem sąsiadów zza Kanału La Manche.

– Tak się cieszę, że jesteś – powiedziała matka, kiedy już wszyscy wygodnie usadowili się w samochodzie, a Alain ruszył w stronę centrum. – Dzisiaj już nie zamierzam cię dręczyć, bo jest wieczór, a jutro czeka nas dzień pełen wrażeń, ale niedzielę... Niedzielę spędzimy tylko we dwoje! Co ty na to?

Bąknął coś nieśmiało pod nosem. Helena tymczasem nie przestawała trajkotać, opowiadając o przygotowaniach do ślubu i gorączce, jaka ją ogarnęła przed tym ważnym wydarzeniem.

– Jeśli mam być szczerą, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek wyjdę za mąż! – przyznała ze śmiechem. – Nawet jeżeli brałabym pod uwagę taką ewentualność, z pewnością nie przypuszczałabym, że te wszystkie zabiegi pochłoną mnie do tego stopnia!

Mikołaj tylko pokiwał głową, rozglądając się po okolicy. Niewiele pamiętał ze swojej poprzedniej wizyty w Paryżu.

Nagle Alain powiedział coś po francusku, a Helena szybko przetłumaczyła jego słowa.

– Alain pyta, jak się czuje babcia.

Poczuł, że się w nim gotuje, jednak obiecał sobie przecież, że nie da się sprowokować. Nie chciał zepsuć matce tego szczególnego dnia, nie mógł sobie jednak darować uszczypliwej uwagi.

– A ciebie to nie interesuje? – mruknął cicho, a głośniejszym głosem dodał: – Babcia czuje się już coraz lepiej. Niebawem pozbędzie się kul.

– To bardzo dobra wiadomość.

– Zastanawiam się, czy za jakieś dwa, trzy tygodnie będzie mogła wybrać się ze mną w nieco dalszą podróż – wypowiedział na głos swoje myśli.

Helena obróciła się do niego.

– W podróż? A niby gdzie mielibyście jechać?

– Do Warszawy.

Uniosła brwi ze zdumienia, zastygając z niewypowiedzianym pytaniem na ustach.

– Udało mi się odnaleźć wnuczkę ukochanego babci z przeszłości – wyjaśnił.

– Tego całego Krzysztofa? – Helena wykazała się nadzwyczaj dobrą pamięcią, a przecież utrzymywała, że ta sprawa w ogóle jej nie interesuje.

– Zgadza się. Miałem nadzieję, że odszukam i jego, ale zmarł dwa lata temu.

– Więc po co chcesz ją tam ciągnąć?

Zawahał się przez chwilę.

– Cóż, Marta nas – mnie i babcię – zaprosiła. Obiecała, że opowie jej o powojennych losach ukochanego, pokaże zdjęcia i... – urwał. – Myślę, że babci dobrze zrobi taki wyjazd. Wiem, że tęskni za Warszawą, chociaż kiedyś się zarzekała, że jej noga już nigdy tam nie postanie. To dziś zupełnie inne miasto. Tamta Warszawa została zniszczona przez Niemców po upadku powstania, ale może odnajdzie chociaż ślady stolicy sprzed wojny.

Helena tylko wzruszyła ramionami.

– Jak uważasz.

Dalszą część drogi pokonali w ciszy, tylko Alain mamrotał pod nosem – jak przypuszczał Mikołaj – francuskie przekleństwa, złorzecząc na innych kierowców.

Mieszkanie, w którym Helena i Alain niedawno się urządzili, wyglądało luksusowo, a jednocześnie przytulnie, choć takie połączenie nie jest przecież oczywiste. Odwiedził kiedyś kolegę, który mieszkał podobnie, jednak nie czuł się u niego zbyt dobrze. Za to w apartamencie matki było... jak w domu. Zanim zasnął, zdążył pomyśleć, że ten jej narzeczony wcale nie jest taki zły i gdyby tylko mieli możliwość, z pewnością szybko znaleźliby wspólny język.

Tej nocy zasnął szybko i spał twardym snem. Zazwyczaj w nowych miejscach długo przewracał się niespokojnie z boku na bok, tymczasem

w paryskim mieszkaniu Heleny i Alaina od razu poczuł się bardzo swobodnie.

Rano obudziły go odgłosy domu – poranna krzątanina w kuchni, woda spuszczana w toalecie, pracujący ekspres do kawy. Było całkiem normalnie, co go zaskoczyło. Nie przypuszczał, że na miejscu zostanie taki sielski obrazek. Spodziewał się kolejnego ekscentrycznego ukochanego matki, tymczasem spotkał dojrzałego i rozsądnego mężczyznę. Właśnie takiego partnera potrzebowała Helena – sama chodziła z głową w chmurach, dlatego jej mąż musiał być silny i rzeczowy.

Sam ślub był przepiękny. Chociaż Mikołaj niewiele zrozumiał z uroczystości, musiał przyznać, że ceremonia miała w sobie coś magicznego. Helena sprawiała wrażenie najszczęśliwszej kobiety na świecie, a on miał dziwne wrażenie, że przyczyniła się do tego również jego obecność. Przypominał sobie słowa babci: „To normalne, że twoja matka chce, abyś dzielił z nią radość z powodu tej wyjątkowej chwili. W naturze człowieka leży chęć dzielenia się szczęściem z najbliższymi”. Poczuł wzruszenie. Nie mógł puścić w niepamięć tych wszystkich lat, kiedy marzył, aby mama wróciła i tak po prostu się nim zaopiekowała, ale Emilia, jak zawsze zresztą, miała rację – Helena sama się w tym wszystkim pogubiła, ale żałowała i próbowała naprawić błędy. Było już za późno, by zmienić przeszłość, ale być może uda się jeszcze odczarować teraźniejszość i z nadzieją pomyśleć o przyszłości?

* * *

Niedziela, tak jak obiecała Helena, należała tylko do nich. Po wizycie w Luwrze poszli na spacer do Jardin des Tuileries – najstarszego i największego paryskiego parku. Przechadzając się po tym wyjątkowym miejscu, Mikołaj chłonał każdy szczegół architektury – miał wrażenie, że nawet najmniejszy detal został tu dopracowany do perfekcji.

– Te nasze ogrody to magiczne miejsce, prawda? – Uwadze Mikołaja nie umknęło to, że matka użyła zaimka „nasze”. – To niezwykle adres na planie Paryża. Nie przypominam sobie, abyśmy zawędrowali tu podczas twojego ostatniego pobytu...

– Rzeczywiście – mruknął pod nosem.

Szli przez kilkadziesiąt metrów w ciszy, aż końcu Helena zapytała:

– Co myślisz o Alainie?

– Jest naprawdę w porządku – przyznał Mikołaj.

Uśmiechnęła się, bawiąc się kosmykiem włosów.

– Miło mi to słyszeć. Wiem, że nie zawsze... ekhm... rozumiałeś i popierałeś moje wybory – powiedziała, starannie dobierając słowa – ale mam nadzieję, że ten kiepski okres w naszych wzajemnych relacjach już się skończył.

– Myślę, że wyszłaś za rozsądnego człowieka.

Helena spojrzała na swoją obrączkę, jakby nagle sobie o niej przypomniała.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć! – Pokręciła głową. – Alain jest moim mężem... Ależ to wspaniale brzmi!

Mikołaj uśmiechnął się lekko, myśląc o tym, że matka zachowuje się tak, jakby miała nie czterdzieści siedem, a co najwyżej osiemnaście lat, ale z drugiej strony – czy tylko młodzi mają monopol na miłość? Nagle do niego dotarło, że babcia urodziła dziecko właśnie w tym wieku, i aż zatrzymał się w miejscu. Czy jego matka mogła jeszcze zajść w ciążę? Narzeczony, ślub – w porządku, ale młodszego rodzeństwa chyba już tak łatwo by nie zaakceptował...

– Co się stało? – zapytała Helena.

– Nie, nic, tylko... – zawahał się. – Niespodziewanie dotarło do mnie, że babcia urodziła cię, kiedy była w twoim wieku! – Nagle do głowy wpadł mu pewien pomysł... – Nigdy nie chciałaś mieć rodzeństwa? Nie zastanawiało cię, że tak późno zdecydowała się na dziecko?

Wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie roztrząsałam kwestii związanej z późnym macierzyństwem mojej matki, ale... chyba masz rację, to dziwne. W tamtych czasach raczej nie przywiązywano wagi do antykoncepcji. – Słońce nagle wyszło zza chmur, a ona szybko nasunęła na oczy okulary przeciwsłoneczne. – Może, bo ja wiem, miała problemy z zajściem w ciążę? Nigdy z nią o tym nie rozmawiałam. – Zawstydziała się. – W ogóle dziwnie się czuję, rozmawiając o tym z tobą. Mam nadzieję, że zbyt szybko nie zostanę babcią. – Zaśmiała się nerwowo. – Chyba jeszcze nie jestem na to gotowa.

– Spokojnie, na razie nie ma nawet odpowiedniej kandydatki na potencjalną matkę mojego dziecka – rzucił, po czym szybko sprowadził rozmowę

na inne tory. – Babcia nigdy wcześniej... no wiesz...

– Nie, nie wiem.

– Nie miała więcej dzieci?

Teraz to Helena stanęła w miejscu, patrząc z niepokojem na syna.

– Nie rozumiem. Sugerujesz, że mam rodzeństwo, o którym nie wiem?

„Całkiem możliwe”, pomyślał, a na głos zapytał:

– Niby jak to sobie wyobrażasz?

Niespiesznie ruszyli dalej.

– Po mojej matce można się spodziewać wszystkiego – zauważyła Helena, a Mikołaj nie dał po sobie poznać, jak bardzo zirytowała go ta uwaga.

Po drodze mijali rodziny, matki z dziećmi i zakochane pary – widać ogrody były tu bardzo lubiane. Mikołaj miał już na końcu języka pytanie o swojego ojca, ale ciągle się wahał. Bał się, jak matka zareaguje, a nade wszystko bał się tego, co może usłyszeć.

Tymczasem Helena zaczęła z zapalem opowiadać o najnowszej wystawie swoich prac, która zakończyła się sporym sukcesem. Mikołaja zaskoczyła wiadomość, że matka jest dość znaną w Paryżu malarką – uważał ją raczej za podrzędną artystkę, tymczasem ona naprawdę w tej Francji robiła karierę. Może nie jakąś wielką, ale i tak imponującą.

Na chwilę się wyłączył i zdziwił się, kiedy się okazało, że Helena sama wróciła do tematu babci.

– Myślałam o tej waszej podróży do Warszawy. – Słowa matki wyrwały go z zamyślenia.

– Tak naprawdę babcia o niczym nie wie. – Westchnął głośno. – Nie mam pojęcia, czy się zgodzi. Nie mówiłem jej jeszcze, że odnalazłem wnuczkę Krzysztofa.

– Naprawdę?

– Ona chyba... – Podrapał się po głowie. – Mam wrażenie, że nadal żyje nadzieją, że jeszcze go spotka. Minęło tyle lat...

– A ona nigdy nie przestała żyć przeszłością – dokończyła za niego chłodno Helena. – Przez tę swoją wielką miłość nie zauważała ani mnie, ani swojego męża. Tata tak bardzo ją kochał, była dla niego absolutnie najważniejsza na świecie, ważniejsza nawet ode mnie. Zrobiliby dla niej wszystko, a ona? Ona traktowała go tak, jakby była z nim za karę.

– Babcia? – Spojrzał na nią zdumiony. – Prawdę mówiąc, trudno mi w to uwierzyć...

Helena narzuciła na ramiona sweter. Był słoneczny dzień, jednak wiał lekki wiatr.

– Zmieniła się, kiedy przyszedłeś na świat. Jakby... – zawahała się, próbując dobrać właściwe słowa. – Jakby nagle się obudziła z letargu. Byłam o ciebie zazdrosna, ale wiedziałam, że w starciu z moją matką nie mam żadnych szans. Zawsze dostawała wszystko, czego chciała. Twój dziadek ją tego nauczył. Spełniał każdą jej zachciankę, jakby chciał zasłużyć na miłość. Nauczył ją, że wszystko może mieć, tylko ten jej Krzyś wciąż nie chciał w magiczny sposób zmaterializować się w drzwiach, dlatego wpadła w ogromną frustrację, którą zarażała wszystkich wokół...

– Dziadek wiedział o Krzysztofie? – zdziwił się Mikołaj.

– A skąd! Ja też na początku nie miałam o niczym pojęcia. Powiedziała mi, kiedy miałam kilkanaście lat – wyjaśniła Helena. – Długo się zastanawiałam, czy nie opowiedzieć tej historii tacie, ale nie zasłużył sobie na to. Nigdy nie poznał prawdy i tak chyba było dla niego lepiej. Za bardzo ją kochał. I on, i ja robiliśmy wszystko, żeby sobie zasłużyć na miłość twojej babci, ale ona była jakby nieobecna. W końcu uznałam, że choćbym nie wiem jak się starała, matka i tak tego nie zauważy, więc sobie odpuściłam.

– Babcia bardzo dużo przeszła – zauważył.

– Owszem, i tylko to w niewielkim stopniu ją tłumaczy – powiedziała matka, przygryzając wargę. – Ale tylko w niewielkim – dodała szybko.

Zapadła cisza, przerywana tylko śpiewem ptaków i gwarem rozmów mijających ich osób. Nagle Mikołaj poczuł, że to dobry moment, aby zapytać o ojca. Skoro Helena zdobyła się na taką szczerość, może podzieli się z nim także prawdą o tacie?

– Mamo... – zaczął oficjalnym tonem. – Kto jest moim ojcem?

Helena zbladła i wzrokiem odszukała ławkę. Usiadła, a Mikołaj do niej dołączył.

– Skąd to pytanie?

– Chyba miałaś świadomość, że ono prędzej czy później padnie.

– No tak, wierzyłam jednak, że nastąpi to później niż prędzej, ale... – zaczerpnęła głośno powietrza. – Skoro już padło, chyba muszę na nie odpowiedzieć. – Zaczęła czegoś szukać w torebce i po chwili wyjęła paczkę papierosów.

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Nie palę – rzuciła, odpalając papierosa. – To znaczy palę, ale bardzo rzadko. Noszę przy sobie awaryjnie paczkę. Nie paliłam od wielu miesięcy.

– W porządku, to u nas chyba rodzinne.

– Ty palisz? – Spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. – Ja wiem, że jesteś dorosły, ale...

– Spokojnie. Nie palę. Miałem na myśli babcię. Mamo, nie musisz się tak denerwować... Zdaję sobie sprawę z tego, że mój ojciec, kiedy zaszłaś w ciążę, był żonaty i...

– Skąd masz takie informacje? – zapytała zdumiona, zanosząc się kaszlem.

– Od babci.

– No tak, mogłam się tego spodziewać. Owszem, powiedziałam tak mojej matce, bo chciałam mieć święty spokój, ale... – Zaciągnęła się mocno papierosem. – Mikołaj, ja nie mam pojęcia, czy on był żonaty. To bardzo możliwe, tylko że... ja nie wiem.

Zmarszczył brwi, wpatrując się w matkę. Jak mogła nie wiedzieć? Nie znała ojca swojego dziecka? O czym ona, do diabła, mówi?

– Nie wiesz? – powtórzył jak echo.

– Nie wiem.

Schował twarz w dłoniach, ciężko oddychając.

– Rozumiem – powiedział powoli. – To znaczy... nie, do cholery, nic z tego nie rozumiem!

Zgasiła niedbale papierosa, rozglądając się za koszem. W końcu pewnie uznała, że wyrzuci niedopałek przy najbliższej okazji, bo ścisnęła go mocno w dłoniach.

– Widzisz, ja bardzo chciałam mieć dziecko – wyznała. – To nie była żadna wpadka. Czułam się niekochana przez matkę i chciałam mieć kogoś, kto będzie mnie bezgranicznie kochał. Wiem, że to było z mojej strony bardzo egoistyczne, zważywszy na to, że potem cię po prostu zostawiłam i wyjechałam do Paryża, ale wówczas naiwnie myślałam, że jeśli urodzę dziecko, ono będzie mnie zawsze kochać, mimo wszystko.

– Masz rację. To było naiwne myślenie – powiedział Mikołaj łamiącym się głosem.

Uśmiechnęła się smutno.

– Na horyzoncie nie było żadnego interesującego mężczyzny, więc zaczęłam sypiać z przypadkowymi facetami. – Wyjęła z torebki chusteczkę

i otarła oczy. – Nie jestem z siebie dumna. Wiesz, że u nas w Libiążu takie zachowanie nie przeszłoby bez echa, bo tam każdy każdego zna, więc jeździłam do większych miast. Jedna z moich koleżanek ze studiów mieszkała w Krakowie, inna w Katowicach. Chodziłyśmy do dyskotek, tam poznawałam różnych facetów... Nietrudno przewidzieć zakończenie tej historii. Celowo się nie zabezpieczałam, licząc na to, że jedna z takich nocy okaże się brzemienna w skutki. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Przykro mi, ale ja nie wiem, kim jest twój ojciec.

Potrzebował dłuższej chwili, aby przetrwać tę informację. Bolało, bolało jak cholera! Właśnie się dowiedział, że jest tak jakby znikąd, a przecież babcia zapewniała go, że każdy ma swoją historię.

Każdy, tylko nie on.

W pierwszej chwili miał ochotę zostawić matkę na ławce, wrócić po walizkę, pojechać na lotnisko i zakończyć ten rozdział w swoim życiu, szybko jednak zrozumiał, że nawet gdyby chciał, nie zamknie tak łatwo tego etapu. Cóż, gdyby chciał, ale... nie chciał. Spojrzał na matkę i nagle zrobiło mu się jej żal. Jak bardzo musiała czuć się samotna, że posunęła się do czegoś takiego?

Helena jakby zapadła się w sobie. Spodziewała się, że padną najgorsze słowa, a jej syn znienawidzi ją na zawsze, tymczasem poczuła, że Mikołaj mocno przytula ją do siebie.

– Musiało być ci bardzo ciężko – powiedział jej syn. Jej najwspanialszy syn! Ten, którego zostawiła, ten, któremu zniszczyła dzieciństwo. Miał prawo jej nienawidzić, miał prawo nie chcieć jej znać.

Potwierdziła, kiwając głową.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Ktoś o tym wie? – zapytał.

– Tylko Alain – przyznała. – Musiałam mu o wszystkim powiedzieć, zanim wzięliśmy ślub. Nie mogłabym wyjść za człowieka, który nie zna o mnie całej prawdy. To byłoby nie w porządku w bec niego.

– To naprawdę fajny gość...

Spojrzała mu w oczy z niepokojem.

– Nie powiesz o tym babci, prawda?

– Nie zamierzam rozmawiać z babcią o twoich prywatnych sprawach, jeśli nie chcesz.

Mocno ścisnęła jego dłoń.

– Dziękuję. – Otarła łzy i spojrzała na zegarek. – Cholera! Za trzy godziny masz samolot. Musimy wracać do domu. Alain już się na pewno niepokoi. Mam nadzieję, że zdążyłeś się spakować?

Potwierdził skinieniem.

W drodze na lotnisko nie mówił prawie nic. Wciąż analizował wszystko, czego tego dnia się dowiedział od matki. Zrozumiał w końcu to, co starała się mu przekazać babcia, mówiąc, że nie tylko ona, ale i cała rodzina żyje w cieniu tamtych dni. Córka zapłaciła wysoką cenę za to, co w przeszłości spotkało jej matkę.

Na lotnisku Helena nie potrafiła opanować łez. Mikołaj też był wzruszony. Już miał udać się do hali odpraw, kiedy go dogoniła.

– Wiesz, przez całe życie miałam wrażenie, że matka mnie z kimś porównuje – powiedziała. – Jakby był kiedyś ktoś lepszy ode mnie. Ja na każdym kroku ją tylko rozczarowywałam.

Słyszając te słowa, Mikołaj pomyślał tylko, że chyba wie, z kim babcia mogła porównywać swoją córkę.

Rozdział 20

Emilia

P OCZUŁAM NA SOBIE WZROK ŁUCJI. Zarówno moja siostra, jak i ciocia Krysia obchodziły się ze mną jak z jajkiem. Uważały, aby w moim towarzystwie nie powiedzieć czegoś, co mogłoby wpędzić mnie w zły nastrój, i pilnowały, żeby niczego mi nie brakowało. Ich starania były jednak skazane na porażkę. Nawet ukochany Żyrardów i obecność ciotki nie mogły poprawić mi humoru. Moje myśli błądziły między Warszawą, którą oddaliśmy Niemcom, a Krzysiem. To właśnie w tych dniach szczególnie mocno brakowało mi ukochanego. Nieustannie rozpamiętywałam porażkę powstania i myślałam o tych wszystkich, z którymi zetknął mnie los w walczącej Warszawie. Wielu z nich już nie było wśród nas. Dzisiaj wy, młodzi, uczycie się o powstaniu w szkołach. Nauczyciele mówią o ofiarach wśród powstańców i ludności cywilnej, historycy zastanawiają się nad sensem rozpoczęcia walk, ale dla was są to tylko suche fakty i liczby. Ja tym ludziom patrzyłam w oczy.

Łucja postawiła kubek z herbatą przy moim łóżku i pochyliła się nade mną, dotykając mojego czoła. Od kilku dni nie miałam gorączki, ale siostra i ciotka nie pozbyły się jeszcze nawyku sprawdzania temperatury.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na siostrę.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić. – Usiadła na brzegu łóżka, a ja przesunęłam się, aby zrobić jej miejsce.

– Nie spałam, tylko leżałam z zamkniętymi oczami – przyznałam.

– Jak się czujesz? – spytała troskliwie Łucja.

– Chyba dobrze. – Wzruszyłam ramionami. – Lusi, jak ty sobie radzisz? No wiesz, jak uporałaś się ze stratą Stanisława – dodałam, widząc jej zdziwioną minę.

Łucja oderwała ode mnie wzrok i wbiła go w jakiś punkt za oknem.

– Chyba sobie nie radzę – odpowiedziała smutno. – Każdego dnia rano budzę się i przez krótką chwilę czuję wewnętrzny spokój. To trwa ledwie kilka sekund, ale lubię to uczucie. A potem wszystko wraca. Dociera do mnie, że Stanisława już nie ma, a ja muszę radzić sobie sama z niemowlęciem, podczas gdy wokół szaleje wojna.

– Podziwiam cię.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Mnie? – zaśmiała się nerwowo. – Emilko, zapewniam cię, że ty nie masz czego we mnie podziwiać. Podczas gdy ja chowałam się w piwnicy, ty walczyłaś w powstaniu i narażałaś życie dla wolnej Warszawy.

– Chyba znamy inną definicję bohaterstwa. – Uśmiechnęłam się blado. – Czasem ci zazdroszczę – dodałam poważnie. – Ty przynajmniej wiesz, że twój mąż nie wróci i możesz żyć dalej... A ja? Co mam robić? Czekać? Czy mam w ogóle na kogo czekać? Wiesz, kiedy wybuchło powstanie, Krzysz coraz częściej mówił o ślubie. Chcieliśmy się pobrać, ale nie zdążyliśmy.

– Może to i dobrze.

Natychmiast się podniosłam.

– Jak możesz tak mówić? Gdybyśmy wzięli ślub...

– To dziś miałabyś jeszcze jeden powód do zmartwień – przerwała mi. – Nadal możesz ułożyć sobie życie. Jesteś taka młoda.

– Mówisz, jakbyś ty była stara! – oburzyłam się. – Ja już oddałam raz serce i nie zamierzam rozmieniać się na drobne. Tak prawdziwie można kochać tylko raz.

– Nie istnieje jeden rodzaj miłości – powiedziała z pełnym przekonaniem moja siostra – ale to nie czas i miejsce, żeby o tym rozmawiać. Kiedyś do tego wrócimy. – Złapała mnie za rękę, ale ja natychmiast ją wyrwałam. Westchnęła głośno. – Emilko, naprawdę nie masz mi czego zazdrościć. Ja już nie mogę mieć nadziei.

Nagle Henio zaczął głośno płakać, więc Łucja wstała i szybko wyszła z pokoju.

Pobyty u ciotki zdecydowanie dobrze zrobił siostrzeńcowi. W zaledwie kilka dni odzyskał kolorki i przybrał na wadze. W Żyrardowie również brakowało jedzenia, ale po tym, co obie z Łucją przeżyłyśmy, miasteczko wydawało nam się krainą mlekiem i miodem płynącą. Lubiłam siadać przy oknie i wpatrywać się w krętą uliczkę prowadzącą do domu ciotki. Wyobrażałam sobie, że nagle pojawia się na niej Krzyś... To nie mogło się zdarzyć – mój ukochany nie znał adresu cioci Krysi – ale nikt nie bronił mi marzyć.

Tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć, a kiedy już mi się udało, śniły mi się straszne rzeczy. Widziałam Niemców kaleczących ciało Krzysia, a później nagle przeniosłam się w nieznane mi miejsce i z przerażeniem obserwowałam płonący stos ludzkich ciał. Nagle zauważyłam, że jedno z nich próbuje się wydostać spod sterty trupów. To była Irenka! Próbowałam jej pomóc, ale pojawił się Niemiec w czarnym płaszczu i złapał mnie mocno wpół, nie pozwalając się ruszyć.

– Ona musi umrzeć. Musi! – powtarzał, podczas gdy ja krzyczałam i błagałam, żeby pozwolił mi pomóc dziewczynie.

Patrzyłam w jej pełne przerażenia oczy, kiedy płonęła żywcem... Gdy obraz znikł, nie bez zdumienia odkryłam, że jestem w naszym mieszkaniu w Warszawie. Poczułam, że włosy stają mi dęba, i z przerażeniem zrobiłam krok w stronę największego pokoju. Nie mam pojęcia skąd, ale wiedziałam, że to właśnie tam powinnam pójść. Nie rozumiałam źródła swojego strachu – byłam w domu, więc powinnam czuć się bezpiecznie, a jednak z sekundy na sekundę mój lęk stawał się większy. Drzwi zaskrzypiały, kiedy delikatnie je otworzyłam.

Na środku pokoju stała mama. Wyglądała, jakby na mnie czekała. W pierwszej chwili się ucieszyłam, lecz kiedy zobaczyłam jej minę, uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– Mamo, co ty tu robisz? – odezwałam się pełnym napięcia głosem.

– Oddaj mi dziecko. – Mama rozejrzała się niespokojnie, jakby czegoś lub kogoś się obawiała. – Pospiesz się, daj mi je. Ze mną będzie bezpieczne. Zaopiekuję się nim! Szybko, oddaj mi dziecko!

Zrobiłam dwa kroki w tył i intuicyjnie złapałam się za brzuch. O co chodziło mamie?

– Emilko, wiem, że tego nie rozumiesz, ale tak musi być! Czasem coś się dzieje wbrew nam, ale zaufaj mi, że bieg wydarzeń został dawno temu

zaplanowany. Nie możemy zmienić przeznaczenia. Daj mi dziecko!

Usiadłam przerażona na łóżku. Za oknem świtało. Schowałam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać. Od powstania regularnie prześladowały mnie koszmary, ale ten był najbardziej przerażający.

Dojście do siebie zajęło mi dłuższą chwilę. Pobolewał mnie brzuch, czułam się fatalnie. Gdy wstałam z łóżka, mój wzrok od razu przykuła niewielka czerwona plama na białym prześcieradle.

– Nie, nie, tylko nie to... – wyjąkałam, cofając się odruchowo, aż zahaczyłam nogą o fotel i upadłam na kolana. Zawylałam rozpaczliwie.

To właśnie w takiej pozycji zastała mnie Łucja, która weszła do pokoju. Próbowwała pomóc mi wstać, ale odepchnęłam jej rękę.

– Ratuj moje dziecko! Ratuj je! – zawylałam, ściskając ją mocno za ramiona. – Mama przyszła mi je zabrać, ale nie pozwól jej! Nie pozwól jej, błagam cię!

Moje rozpaczliwe krzyki musiały obudzić ciocię Krysę, gdyż wpadła do pokoju w nocnej koszuli.

– Co się dzieje? – Spojrzała na łóżko, dostrzegła plamę krwi i już wiedziała. – Och. – Spojrzała na mnie pełnym troski wzrokiem. – Emilko...

– Nie mogę stracić tego dziecka! Nie pozwólcie na to!

Gdzieś w głębi domu rozległ się płacz Henia. Ciotka szybko weszła w swoją rolę: kazała Łucji pójść do syna, zwinęła prześcieradło i ułożyła mnie na łóżku.

– Emilko, tylko spokojnie – usłyszałam jej kojący głos. Czasem kobiety w ciąży krwawią, ale to nie musi oznaczać najgorszego... Czy dzieje się jeszcze coś, co cię niepokoi?

Próbowałam się skoncentrować, ale było mi naprawdę trudno.

– Pobolewa mnie w dole brzucha – powiedziałam w końcu. – Nie przez cały czas, ale czuję przybierające na sile skurcze.

– W porządku – powiedziała ciotka, chociaż jej mina mówiła co innego. – Łucjo! – zawołała.

Po chwili do pokoju weszła siostra, tuląc w ramionach Henia.

– Daj mi dziecko, narzuć coś na siebie, bo jest chłodno, i idź w dół ulicy. Na samym końcu po lewej stronie w białym domku mieszka akuszerka. Nie ma czasu, by posyłać po lekarza, ale może ona coś zaradzi. Ja zostanę z Heniem i Emilką.

Łucja zrozumiała powagę sytuacji, bo szybko wybiegła z pokoju. Odruchowo spojrzałam na zegarek – zbliżała się szósta. Modliłam się, aby akuszerka, po którą poszła moja siostra, już wstała. Tak bardzo się bałam! Każdy kolejny skurcz był coraz silniejszy. Leżałam na łóżku, walcząc z bólem, i płakałam, chociaż z moich oczu nie płynęły łzy.

Ciocia próbowała mnie zapewniać, że wszystko skończy się na strachu, ale chyba sama już w to nie wierzyła. W moim sercu tliła się jeszcze nadzieja, ale w głębi duszy wiedziałam, że już nic nie można zrobić. Traciłam to dziecko. Natura robiła swoje. Czułam pulsujący ból brzucha. Moje ciało przygotowywało się do wysiłku. Szybko policzyłam – do terminu porodu zostało jakieś trzy i pół miesiąca. Powiedzmy, że mogłam się pomylić o dwa tygodnie. Jakie szanse na przeżycie miało moje dziecko, nawet jeśli urodziłoby się żywe? Dzisiaj pewnie nie małe. Wtedy żadne.

– Mama w nocy przyszła mi je odebrać – wyszeptałam pomiędzy jednym skurczem a drugim.

– Nawet tak nie mów!

– Kiedy to prawda!

W końcu do pokoju weszła prowadzona przez Łucję akuszerka. Pamiętam, że przeraził mnie jej wygląd – jej twarz wykrzywiała się w gniewnym grymasie, a ona sama sprawiała wrażenie bardzo niesympatycznej i groźnej.

– Na kiedy ma termin? – zapytała ciotkę, gestem wskazując na mnie, zupełnie jakbym była głucha i ślepa. To nie był jednak czas na uprzejmości.

– Na luty – wymamrotała przerażona ciocia.

Akuszerka tylko skinęła głową i podeszła do mnie, mówiąc uspokajającym tonem:

– Dziecko, wiem, że trudno ci teraz w to uwierzyć, ale natura nie jest głupia. Zaufaj jej. Wszystko wskazuje na to, że poród już się rozpoczął, ale zaraz cię zbadam i zobaczymy, co się dzieje.

– Ale jest jeszcze za wcześnie! Nie mogę stracić dziecka! – Złapałam ją rozpaczliwie za rękę.

– O tym, niestety, nie ty i nie ja będziemy decydować, ale Ten Na Górze. – Łagodnie wyswobodziła rękę z mojego uścisku i sprawnie mnie zbadała. – Tak jak myślałam. Rozwarcie już jest.

Kątem oka zauważyłam, że ciotka wyszła z Heniem z pokoju, a Łucja z niedowierzaniem pokręciła głową, chowając twarz w dłoniach.

– Co to znaczy? – zapytałam, krzywiąc się z bólu, bo zaczął się kolejny skurcz.

– To znaczy, że już nic nie możemy zrobić. Urodzisz dzisiaj, czy tego chcesz, czy nie.

Te słowa złamały mi serce. Wiedziałam, że dziecko nie ma żadnych szans – nie ponad trzy miesiące przed planowanym rozwiązaniem, kiedy za oknem szalała wojna. Najgorsza była bezsilność – nikt nie mógł nic poradzić.

– Słuchaj instynktu – powiedziała akuszerka. – Twoje ciało wie, co robić. Ja pomogę ci wydać dziecko na świat, ale tak naprawdę nie jestem tu niezbędna.

Jak ona mogła być tak spokojna, podczas gdy ja przeżywałam osobisty dramat?!

– Niech pani coś zrobi! – błagałam. – Nie wiem, co się dzieje z ojcem mojego dziecka. Nie mogę stracić też dzieciątka!

Łucja została ze mną do końca. Przeżyła wraz ze mną tę najbardziej intymną, ale też i najgorszą chwilę w moim życiu. Skupiła się na tym, aby pomóc mi przez to przejść, bo doskonale rozumiała, jak wielka spotkała mnie tragedia. Trzymała mnie za rękę i ocierała pot z mojego czoła, podczas gdy akuszerka wołała:

– Widzę główkę! Jeszcze chwila i będzie po wszystkim!

Rzeczywiście. Kiedy wydałam na świat dziecko, zapadła cisza. Zamknęłam oczy i niecierpliwie czekałam na pierwszy krzyk, ale nic takiego nie usłyszałam. Zacisnęłam mocniej powieki. Wiedziałam, że kiedy je otworzę, mój świat, a raczej to, co z niego zostało, zawali się i już nic nie będzie takie samo.

– Emilko... – Łucja łkała cichutko, opierając czoło o moją głowę.

W końcu zdobyłam się na nieludzki wysiłek i otworzyłam oczy. Spojrzałam na akuszerkę, która trzymała bezwładne ciało.

– Czy... ono żyje? – zapytałam, mimo że znałam odpowiedź.

– Przykro mi. – Spuściła wzrok. – To dziewczynka.

Dziewczynka. Córeczka moja i Krzysia. Owoc wielkiej miłości. Musiała mieć jakieś imię!

– Helenka – szepnęłam, kiedy akuszerka podała mi dziecko. Było takie malutkie! Mieściło się w dwóch dłoniach.

Chciałam płakać, ale nie miałam już łez. Byłam pusta w środku. Gdzieś obok Łucja łkała, złorzecząc Bogu i całemu światu, lecz to wszystko działo się daleko, jakby poza mną.

– Proszę ją zabrać – wymamrotałam, odpychając od siebie dziecko.

– Ależ... Emilko!

– Wyjdźcie i zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

Moja siostra jeszcze protestowała, ale ciotka, która pojawiła się w pokoju, przekonała ją, że jeśli chcę zostać teraz sama, powinna mi na to pozwolić.

– Emilka jest w szoku – powiedziała. – Potrzebuje czasu...

Tak, zdecydowanie potrzebowałam czasu. Dużo czasu.

Wtedy, wraz z pierwszą Helenką, odeszła jakaś część mnie. Zamknęłam szczelnie swoje serce i broniłam do niego dostępu. Coś we mnie drgnęło dopiero wtedy, kiedy ty, Mikołaju, przyszedłeś na świat. Przez ponad pół wieku nie pozwalałam nikomu zajrzeć w głąb mojej duszy, dusiłam wszystkie emocje. Widok drugiej córki wcale nie skruszył lodu w moim sercu. Dopiero pojawienie się w rodzinie kolejnego dziecka, czyli ciebie, wniosło do mojego życia spokój i radość.

Rozdział 21

Emilia

ROZLEGŁO SIĘ PUKANIE DO DRZWI. Znowu! Moja siostra najwyraźniej postawiła sobie za punkt honoru, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Pragnęłam tylko, aby wszyscy dali mi święty spokój. Chciałam spać. Czy tak wiele wymagałam? Łucja twierdziła, że owszem – podobno przespałam dwa miesiące i nie miałam pojęcia o bożym świecie, dlatego uznała, że w końcu przyszła pora, aby wstać z łóżka i zacząć żyć. Wzruszyłam ramionami. Nie zamierzałam podejmować tego trudu.

– Emilko! – Siostra nie odpuszczała tak łatwo. Nie posunęła się do tego, żeby wejść do pokoju bez pozwolenia, ale stała od dobrych kilkunastu minut pod drzwiami. – Jest Wigilia. Jeśli nie będziemy razem tego dnia, to kiedy?

Wcisnęłam głowę pod poduszkę, ale jej słowa nadal do mnie docierały, tyle że przytłumione.

– Wiem, że straciłaś wszystko, co było dla ciebie cenne, ale najważniejsze jest to, że żyjemy i jesteśmy tu razem. Jeszcze masz szansę ułożyć sobie życie.

W końcu osiągnęła cel – byłam tak wściekła, że po prostu musiałam wyjść z pokoju i powiedzieć jej, co o niej myślę. Otworzyłam drzwi z impetem i wpadłam prosto na nią.

– Mam szansę ułożyć sobie życie?! – wrzasnęłam jej prosto w twarz. – O czym ty mówisz? Nie masz pojęcia, co ja przeżywam! Ty przynajmniej

masz dziecko, dla którego żyjesz! Twój mąż umarł, ale jego cząstka żyje w Heniu! A co mam ja? Straciłam Krzysia, a nasze dziecko urodziło się martwe! Nie mam już nic!

Wróciłam do pokoju, zatraskując jej drzwi przed nosem. Po chwili usłyszałam szloch siostry, kroki cioci Krysi i jej stłumiony głos:

– Przynajmniej próbowałaś. Widać Emilia potrzebuje więcej czasu.

Nie wyszłam z łóżka ani tego dnia, ani następnego. Kolejnego też nie. Dni zlewały się ze sobą, a ja marzyłam tylko o tym, żeby umrzeć. Zaczęłam podziwiać Irenkę, która zdecydowała się na ten ostateczny krok. Mnie wciąż brakowało odwagi. Ciocia zapewne powiedziałaaby, że trzymam się życia, bo wciąż jeszcze mam nadzieję, iż spotka mnie coś dobrego, ale ja miałam to w nosie. Nie chciałam w to wierzyć. Chyba wolałam myśleć, że moje życie skończyło się wraz z odejściem córeczki. Nie potrafiłam znaleźć w sobie sił, aby się podnieść i iść dalej. Straciłam wszystko, co kochałam – narzeczonego, dziecko, rodziców, swoje miejsce na ziemi. Bałam się tego, co może przynieść nowy dzień.

* * *

Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok przyniósł wiele zmian. Łucja próbowała ze mną rozmawiać przez zamknięte drzwi, ale uparcie ją lekceważyłam.

– Warszawa wyzwolona! Sowieci wypędzili Niemców ze stolicy!

– Zaczęła się kolejna okupacja – mruknęłam tylko pod nosem i obróciłam się na drugi bok.

Kilka dni później podjęła kolejną próbę.

– Emilko, podobno Armia Krajowa została rozwiązana!

Później znowu.

– Na miłość boską, wyjdź już stamtąd! Nawet sobie nie wyobrażasz, co się dzieje w kraju! Sowieci aresztują przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, ofiarami represji padają żołnierze Armii Krajowej! Emilko!

Kiedy po raz pierwszy od tamtego straszego dnia wyszłam na dłużej z pokoju, ze zdziwieniem odnotowałam, że była już wiosna. Jak to możliwe, że przespałam kilka miesięcy? Słońce przyjemnie ogrzewało moją skórę, ale nie było w stanie stopić lodu w moim sercu.

Po ogrodzie spacerował Henio. Niewiarygodne! Obserwując go z dystansu, z niedowierzaniem pokręciłam głową. Łucja przez cały czas kręciła się w pobliżu, asekurując go na wypadek, gdyby miał się przewrócić, jednak on z każdym krokiem stąpał coraz pewniej.

Siostra chyba musiała wyczuć czyjąś obecność, gdyż nagle spojrzała w moją stronę. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się, wzięła Henia na rękę i czym prędzej podążyła w moją stronę.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – zaczęła, ale ja nadal nie wykazywałam najmniejszej chęci do konwersacji. – Będziesz żyć, Emilko, będziesz żyć jeszcze pełną piersią i chłonąć życie całą sobą!

Wzruszyłam ramionami. Nie podzielałam jej optymizmu.

– Nie mogę uwierzyć, że Henio już chodzi – szybko zmieniłam temat.

Siostra na tę wzmiankę cała się rozpromieniła. Synek był całym jej światem. Zazdrościłam jej tego z całego serca.

– Och, przecież ma już ponad rok!

– Jest bardzo podobny do Stanisława – zauważyłam.

Łucja spojrzała czule na synka.

– Zgadzam się. Kiedy na niego patrzę, widzę mojego męża. – Uśmiechnęła się smutno, po czym przeniosła wzrok na mnie. – Musimy porozmawiać...

Jęknęłam głośno, dając upust swojej dezaprobachie.

– Emilko, mówię poważnie. Zdajesz sobie chyba sprawę, że sytuacja polityczna bardzo się zmieniła? – Kiwnęłam głową, a ona kontynuowała: – W rękach Sowietów znalazła się polska elita. Ofiarami represji padają nie tylko dowódcy czy podoficerowie, ale także szeregowi. Z jakiegoś powodu komuniści nienawidzą akowców. Musisz być bardzo, bardzo ostrożna i uważać na to, co mówisz. Sowietci próbują zrobić z powstańców takich samych zbrodniarzy jak Niemcy.

Z każdym kolejnym słowem Łucji narastała we mnie frustracja. Nie dla takiej Polski chwyciliśmy za broń. Czułam się oszukana. Zginęło tylu ludzi, tyle osób zostało rannych w walce o wolną ojczyznę, tymczasem wszyscy oni zostali uznani za przestępców.

Marzyliśmy o niepodległej Polsce. Walczyliśmy do samego końca, ale nie osiągnęliśmy celu. W suwerennym kraju nie byłoby miejsca na totalitaryzm, a nie miałam wątpliwości, że właśnie na tym zależy Sowietom.

Łucja zrobiła krótką pauzę, po czym kontynuowała:

– Przyjdzie jeszcze czas, że będziemy mogli głośno mówić o powstaniu, ale na razie lepiej unikać tego tematu... To bardzo niebezpieczne.

Skinęłam tylko głową i wróciłam do domu. Ciągłe dużo leżałam, chociaż coraz częściej wychodziłam na powietrze. Wracałam do życia, co nie do końca mi się podobało. Podświadomie dążyłam do tego, aby tkwić w marazmie, gdyż bałam się tego, co jeszcze może mnie spotkać.

Pewnego dnia siedziałam w ogrodzie, chowając się w cieniu ogromnej wierzby, kiedy usłyszałam męski głos. Zdziwiłam się: w końcu w domu cioci rzadko bywali mężczyźni, a ten, na którego ja czekałam... no cóż, nic nie wskazywało na to, że mógłby się pojawić w Żyrardowie.

Nagle zza domu wybiegła rozemocjonowana Łucja. Dawno nie widziałam jej tak poruszonej. Najwyraźniej wizyta niespodziewanego gościa wprowadziła ją z równowagi.

– Emilko, Emilko! – krzyczała, biegnąc w moją stronę. Zaintrygowało mnie jej zachowanie. Zwykle była raczej opanowana.

– Co się stało, że tak krzyczysz?

– Ja... ja... – Najwyraźniej nie wiedziała, jak przekazać to, co miała mi do powiedzenia. W końcu chyba jednak uznała, że najprościej będzie wyłożyć kawę na ławę, bo wypaliła: – Janek przyjechał do ciebie.

Dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie, że wpatruję się w siostrę z otwartymi ustami. Mama zawsze powtarzała, że to niegrzeczne, więc zamknęłam buzię, ale to było jedyne, na co wówczas mogłam się zdobyć. Nie potrafiłam sklecić żadnego zdania.

– Co mam mu powiedzieć? – zniecierpliwiła się Łucja. – Zapytał, czy tutaj jesteś, a my z ciocią zaniemówiliśmy. Zamknęliśmy go w domu i ja od razu przybiegłam do ciebie.

– Zamknęliście go w domu? – Nie wiem czemu właśnie ta część wypowiedzi siostry zdziwiła mnie najbardziej. – Jak to? Zostawiliście go samego w domu? To niegrzeczne!

Mama z pewnością byłaby ze mnie dumna.

– A skąd! – zaprzeczyła. – Ciocia z nim została.

– Dobrze... – Wiadomość o pojawieniu się dawnego narzeczonego powoli zaczynała do mnie docierać. – Ale... co on tutaj robi?

Łucja wzruszyła ramionami.

– O to już będziesz musiała zapytać jego. Pójdiesz do niego czy mam mu powiedzieć, że cię tutaj nie ma?

Miałam tylko kilka sekund na podjęcie decyzji, która prawdopodobnie zaważyła na moim życiu.

– Pójdę.

Łucja wyraźnie się zmieszała.

– Może lepiej by było, gdybyś nie mówiła mu o Krzysiu i o dziecku... Przynajmniej na razie.

Chociaż w jednej kwestii się zgadzałyśmy. Nie miałam zamiaru rozmawiać z Jankiem na temat mojego ukochanego i córeczki, którą straciłam. Nie widziałam w tym najmniejszego sensu. Wiedziałam, że nie powinnam mu o tym mówić choćby ze względu na szacunek do tego, co nas kiedyś łączyło. Poza tym od jego wyjazdu na front wydarzyło się tak wiele, że teraz Janek wydawał mi się obcym człowiekiem. Bardzo się zmieniłam od tamtego czasu, nie byłam już tamtą beztroską nastolatką, którą znał, podejrzewałam więc, że i on też nie jest taki sam.

Na drżących nogach weszłam do domu. Nie miałam nawet okazji, aby się przyjrzeć Jankowi, gdyż kiedy tylko mnie zobaczył, przyciągnął mnie do siebie i zamknął w ramionach. Jego zapach wzbudzał odległe wspomnienia z życia dziewczyny, którą kiedyś byłam. Niby znajomy, a jednak obcy. Mój narzeczony sprzed wojny był wychudzony i wyglądał o wiele starzej. Kiedy w końcu wypuścił mnie z uścisku, nawet nie zerknęłam na niego, tylko posłałam znaczące spojrzenie ciotce i powiedziałam:

– Ciociu, czy zostało coś z obiadu? Myślę, że Janek powinien się posilić po podróży.

Skinęła głową i poszła do kuchni, a w ślad za nią podążyła Łucja. Zostaliśmy sami. W końcu musiałam na niego spojrzeć. Niechętnie skierowałam wzrok w jego stronę i nagle moje usta ułożyły się w szeroki uśmiech. Spodziewałam się po sobie innej reakcji, ale odetchnęłam z ulgą, patrząc w te dobrze znane, chociaż dawno niewidziane zielone oczy. Jak bardzo się różniły od błękitu spojrzenia Krzysia! Obecność Janka w żyrardowskim domku ciotki Krysi była najlepszym dowodem na to, że cała ta wojna po prostu mi się przyśniła. Nie wiązałam go z moimi powstańczymi wspomnieniami. Przypomniał mi o osobie, którą kiedyś byłam.

– Dobrze cię widzieć – powiedziałam i nawet nie musiałam kłamać, bo rzeczywiście tak pomyślałam.

– Ciebie też. – W jego spojrzeniu pojawił się blask. – Tysiące razy wyobrażałem sobie tę chwilę. Straciłem już nadzieję, że cię spotkam...

– Nie pisałeś – zauważyłam. Nie chciałam, aby to zabrzmiało jak zarzut, po prostu stwierdziłam fakt, a jednak Janek odebrał to inaczej.

– Przepraszam... – Spuścił ze wstydem głowę. – Jeszcze w trzydziestym dziewiątym trafiłem do obozu, gdzie przebywałem aż do jego wyzwolenia. Taki ze mnie żołnierz... – Położyłam mu palec na ustach, nie pozwalając dokończyć. – Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałem do ciebie napisać, ale ostatkiem sił powstrzymałem się przed tym.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiałam.

– Było mi wstyd. Wolałem chyba, żebyś myślała, że masz narzeczonego bohatera na froncie. Pomyślałem, że jeśli będzie nam dane jeszcze się spotkać, wszystko ci wyjaśnię.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Janek byłby już martwy. Czułam wściekłość. Byłam przekonana, że nie żyje, tymczasem on nie pisał, bo... było mu wstyd!

– Nie wierzę! Po prostu nie wierzę! – podniosłam głos. – Umierałam z niepokoju, nie miałam pojęcia, co się z tobą dzieje, a ty nie odzywałeś się, bo nie pozwalała ci na to męska duma!

Janek zamarł. Nigdy wcześniej na niego nie nakrzyczałam, ale musiał zrozumieć, że dziewczyna, którą poznał przed wojną, zniknęła i nie wróci.

– Emilko, to nie tak! Nie wiedziałem, czy przeżyję. Każdego dnia ocierałam się o śmierć. – Zawahał się. – Nie chciałem, by cokolwiek łączyło cię z tamtym miejscem, nawet jeśli to miały być tylko listy.

Prychnęłam głośno.

– A myślisz, że ja nie ocierałam się o śmierć? Że nie byłam jej świadkiem każdego dnia?

Podszedł do mnie powoli, żeby mnie nie wystraszyć, po czym ujął delikatnie moją rękę i już jej nie wypuścił. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w jego dłoń, jakby była tykającą bombą. Jego palce splecione z moimi. To nie tak miało wyglądać! To nie on miał mnie odnaleźć! Towarzyszyło mi wewnętrzne przekonanie, że nic nie jest takie, jakie powinno być, a jednak kiedy zobaczyłam Janka, poczułam się bezpiecznie.

– Przepraszam – szepnął. – Wiem, że powinienem był się odezwać.

– Nie pisałeś nawet do swoich rodziców! Szaleli z rozpacz! – Spojrzałam na niego z wyrzutem.

Spuścił głowę ze wstydem.

– Wiem. Nic mnie nie tłumaczy.

– Nie wierzę! Po prostu nie wierzę! My wszyscy myśleliśmy, że zginąłeś na wojnie! Byłam pewna, że nie żyjesz!

Nagle dotarł do niego sens wypowiedzianych przeze mnie słów.

– Nie czekałaś na mnie, prawda?

Już miałam potwierdzić jego przypuszczenia, ale przeraził mnie smutek bijący z jego oczu. Dobry Boże, ten człowiek nigdy nie przestał mnie kochać! Myślał o mnie codziennie w obozie. Jego spojrzenie mówiło wszystko. Były w nim ból i strach, a jednocześnie ogromna nadzieja i miłość. Nie mogłam mu tego zrobić. Drobnie kłamstwo jeszcze nikomu nie zniszczyło życia, a niespełniona miłość owszem. Uznałam, że kiedy przyjdzie czas, wyznam mu całą prawdę, ale... jeszcze nie teraz. Na poważną rozmowę przyjdzie pora, uznałam. Janek dopiero co wrócił z obozu, wyglądał fatalnie. Nie mogłam złamać mu serca. W gruncie rzeczy zawsze go lubiłam.

– Tego nie powiedziałam – oburzyłam się. – Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Domyśliłem się. Uznałem, że skoro Warszawa została zniszczona po powstaniu, najpewniej wyjechaliście do ciotki.

Sens wypowiedzianych przez niego słów docierał do mnie powoli. „Wyjechaliście”. Czyli on nie wiedział. O niczym nie wiedział!

– Rodzice nie żyją, tak jak mąż Łucji, a ona sama w ubiegłym roku została mamą... – zaczęłam, ale on nie pozwolił mi skończyć. Przygarnął mnie do siebie i zamknął w ramionach.

– Cii. Opowiesz mi wszystko innym razem. Mamy dużo czasu. Bardzo dużo czasu.

Wtuliłam się w niego. Jego zapach wydawał się obcy, a dłonie wyjątkowo nieporadne, ale zlekceważyłam to wrażenie. Potrzebowałam normalności, a Janek jak nikt inny kojarzył mi się ze zwyczajnym życiem. Tym sprzed wojny.

Ciocia Krysia zakwaterowała go w pokoju, który dotychczas zajmowałam ja. Jak już mówiłam, nie była pruderyjna i miała nowoczesne poglądy, jednak nawet ona nie pozwoliłaby mi nocować z chłopakiem bez ślubu.

Byłam zadowolona z takiego obrotu spraw, gdyż potrzebowałam czasu, aby dojść do siebie po szoku, jaki wywołało nagłe pojawienie się Janka, i zastanowić się, co dalej. Tej nocy spałam w pokoju Łucji. Określenie „spałam” nie do końca odpowiada rzeczywistości, gdyż rozmawialiśmy szeptem, by nie zbudzić Henia, niemal do samego rana.

– I co teraz? – zapytała.

Dobre pytanie! Sama się nad tym zastanawiałam, odkąd tylko zobaczyłam Janka.

– Nie mam pojęcia – przyznałam.

– Chyba powinnaś, bo ja wiem, porozmawiać z Jankiem i wytłumaczyć mu, że sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili milczenia wypowiedziałam na głos to, o czym myślałam intensywnie od kilku godzin.

– A jeśli to moja jedyna szansa na normalne życie? – zawahałam się. – Chciałabym mieć dom, zapomnieć o wojnie, i żyć, po prostu żyć, tak jak inni ludzie... Jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Dostrzegłam w ciemności, że Łucja kiwa z uznaniem głową.

– Podoba mi się twój tok myślenia.

– Ale czy to uczciwe wobec Janka? – zastanawiałam się na głos. – Czy ja w ogóle coś do niego czuję? Poza tym... – przełknęłam głośno ślinę – może wciąż istnieje cień szansy, że odnajdę Krzysia?

Łucja poruszyła się energicznie, ściągając ze mnie część kołdry.

– A ty wiecznie o tej miłości! – Panowały egipskie ciemności, ale nie trudno było mi sobie wyobrazić, jak przewraca oczami. – Miłość jest prze-reklamowana. Byłaś do szaleństwa zakochana w Krzysiu, no i co z tego masz? Ból, płacz i zgrzytanie zębów. Myślę, że z Jankiem mogłabyś mieć piękne życie.

Nie chciałam tak łatwo zrezygnować z miłości na rzecz bezpieczeństwa. Byłam taka młoda. Nawet klęska powstania nie nauczyła mnie, że ideały mają to do siebie, że sięgają bruku.

– A jeśli Krzyś żyje? Nie wyobrażam sobie sytuacji, że jestem żoną Janka i przypadkiem spotykam go na ulicy...

– Jeśli, jeśli... – przedrzeźniała mnie siostra. – Równie dobrze mógł zginąć w powstaniu, a ty, rezygnując z Janka, stracisz szansę na szczęśliwą rodzinę.

– To co mam zrobić? – Byłam zrozpaczona.

– Nie wiem – przyznała Łucja. – Nikt nie podejmie za ciebie tej decyzji. Mogę ci tylko powiedzieć, co ja bym zrobiła na twoim miejscu... Wyszła-bym za Janka i spróbowała zapomnieć o przeszłości – oświadczyła z pełnym przekonaniem.

Zapomnieć o przeszłości. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić...

Rano byliśmy zaspane – w końcu przegadałyśmy całą noc – a ja nadal nie byłam pewna, co powinnam zrobić. W końcu uznałam, że po prostu zobaczę, co przyniesie los.

Ciocia zaproponowała Jankowi bezterminową gościnę, z czego ochocho skorzystał.

– Dopóki się z Emilią nie urządzimy – dodał, przyjmując zaproszenie.

Jego słowa mnie zmroziły. Dla niego oczywiste było, że nasze poczynione przed wojną ustalenia są nadal aktualne. A dla mnie? Wciąż się wahałam, zastanawiałam się, czy powinnam mu opowiedzieć o Krzysztofie, czy może przemilczeć całą sprawę. W końcu zdecydowałam się na drugą z możliwości. Janek musiał się domyślać, że był ktoś inny. Byłam dla niego oschła i unikałam przebywania z nim na osobności. Zawsze prosiłam Łucję, żeby do nas dołączyła. Nigdy mnie o nic nie zapytał, a gdy kiedyś mimochodem rzucił, że przeszłość jest nieważna, domyśliłam się, że woli nie wiedzieć.

Dom, w którym Janek mieszkał z rodzicami przed wojną, został doszczętnie zniszczony. Jego mama i tata pomieszkiwali kątem u kuzynki, ale że krewna miała tylko jednopokojowe mieszkanie, Janek nie chciał robić jej kłopotu. Jego wizyta u cioci Krysi się przedłużała, wyczuwałam jego zniecierpliwienie, ale wciąż nie potrafiłam podjąć wiążącej decyzji. Podświadomie czekałam na cud. Liczyłam, że Krzys mnie odnajdzie w Żyrardowie, chociaż wiedziałam, że to mało prawdopodobne. Niby skąd miałby się tam wziąć?

Janek nie naciskał, ale wiedziałam, że w końcu powinnam coś postanowić. Wziąć życie w swoje ręce.

Pewnego dnia Janek oznajmił, że ma dla nas ciekawą perspektywę – załatwił sobie dobrze płatną pracę na południu Polski w Libiążu Wielkim. Nic mi ta nazwa nie mówiła, więc wyjaśnił, że to wieś w sąsiedztwie Jaworzna i Oświęcimia. Dopiero w późnych latach sześćdziesiątych Libiąż uzyskał prawa miejskie. Kiedy się tu sprowadziliśmy, był wsią, której mieszkańcy żyli z górnictwa, rolnictwa i hodowli. Libiąż zmienił się przez ostatnie kilkadziesiąt lat nie do poznania, ale przecież nie o tym miałam opowiadać... Wówczas jeszcze nie wiedziałam, jak potoczą się powojenne lasy tej niewielkiej miejscowości na południu kraju.

– Możemy zacząć wszystko od nowa – zapewnił mnie Janek. – Mam zagwarantowaną pracę w kopalni Janina. Chciałbym, żebyśmy wzięli ślub tu-

taj i wyjechali na południe już jako małżeństwo. – Spojrzał na mnie z niepokojem. – Chyba że zmieniłaś zdanie?

W pierwszej chwili chciałam poprosić, żeby dał mi jeszcze więcej czasu, gdyż to wszystko dzieje się zbyt szybko, ale czy mogłam mieć pewność, że czas cokolwiek zmieni? Minęło kilka tygodni, odkąd Janek na nowo pojawił się w moim życiu, a ja wciąż tkwiłam w zawieszeniu. Miałam już dość radzenia sobie z demonami przeszłości w pojedynkę.

– Myślę, że twój plan brzmi bardzo rozsądnie. – Uśmiechnęłam się nieśmiało.

Za moimi plecami Łucja odetchnęła z ulgą.

Rozdział 22

BURZA BYŁA CORAZ BLIŻEJ. MIKOŁAJ ZDECYDOWANYM RUCHEM ZAMKNAŁ OKNO I POWOLI ZASUNAŁ FIRANY. Jeszcze przez chwilę patrzył w jeden punkt za szybą, odwołując moment, kiedy się odwróci i spojrzy na babcię. Na usta cisnęło mu się tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć.

Kiedy Emilia skończyła opowiadać swoją historię, zapadła cisza. Potrzebował dłuższej chwili, aby przeanalizować wszystko to, co usłyszał od babci. W końcu odwrócił się w jej stronę. Siedząc wygodnie w fotelu, wpatrywała się w niego z rosnącym napięciem.

– Dlaczego nazwałaś mamę imieniem swojej zmarłej córki? – zapytał ostrożnie. – To nieco dziwne.

Babcia pokiwała głową, wpatrując się uparcie w jeden punkt na podłodze. Sprawiała wrażenie nieobecnej i Mikołaj pomyślał, że może nie usłyszała pytania. Już miał je powtórzyć, kiedy rozległ się jej zachrypnięty głos:

– Przypuszczam, że masz do mnie więcej pytań. To ciekawe, że zacząłeś właśnie od tego. Dzisiaj myślę, że byłam bardzo naiwna – przyznała – ale wtedy liczyłam na to, że uda mi się odczarować zły los, historia zatoczy koło, a ja w końcu odetchnę pełną piersią. Dałam Helenie imię po zmarłej siostrze na pamiątkę. Tak naprawdę nigdy nie pogodziłam się ze stratą dziecka.

Mikołaj usiadł naprzeciw babci.

– Liczyłaś na to, że moja mama zastąpi ci córkę, którą straciłaś?

Kiwnęła głową.

– Właśnie tak... Zastanawiałam się, jaka byłaby moja Helenka, gdyby żyła. – Westchnęła głośno. – Przypuszczałam, że z przyczyn zdrowotnych nie mogę mieć dzieci. Kiedy straciłam pierwszą córkę, bardzo krwawiłam. Potem lata leciały, a tu nic. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy wprost, ale wiedziałam, że mój mąż bardzo chce zostać ojcem. Gdy się z tym pogodziłam, nagle zaszłam w ciążę. Miałam już czterdzieści siedem lat.

– Ucieszyłaś się?

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że tak. – Emilia podniosła wzrok i spojrzała na wnuka. – Właściwie to byłam przerażona! Już poukładałam sobie świat. Może nie prowadziłam wspaniałego życia, ale czułam się bezpiecznie. Janek zawsze był gdzieś obok, gotów mnie wesprzeć, gdy była taka potrzeba, ale jego także nie dopuszczałam zbyt blisko. Cieszyłam się stabilizacją, a tu nagle to! Chwilę przed pięćdziesiątką! Nigdy nie potwierdziłam tej diagnozy u lekarza, ale byłam przekonana, że nie mogę mieć dzieci. Ta wiadomość mną wstrząsnęła. – Wyprostowała opuchnięte nogi. – Kiedy minął pierwszy szok, uznałam, że może w końcu los postanowił mi wynagrodzić wszystkie krzywdy i zesłał mi kogoś w zastępstwie dziecka, które straciłam.

Mikołaj smutno pokiwał głową. Przypomniawszy sobie ostatnie słowa, jakie mama wypowiedziała do niego na lotnisku: „Przez całe życie miałam wrażenie, że matka mnie z kimś porównuje”. Helena nie miała łatwego życia. Już na początku musiała stoczyć walkę o zainteresowanie i uczucia matki. Nie miała najmniejszych szans w tym nierównym boju, bo jak można pokonać zmarłe rodzeństwo, które pewnie we wszystkim byłoby lepsze?

– Mama to czuła – powiedział. – Czuła, że był ktoś jeszcze.

– Tak bardzo skrzywdziłam swoją córkę, a dziś jest za późno, by to naprawić. – Emilia schowała twarz w dłoniach. – Jest mi wstyd i zrobiłabym wszystko, aby cofnąć czas. Już nigdy nie popełniłabym tego błędu i nie nazwała córki imieniem zmarłej siostry. Sprowadziłam na Helenę fatum. A potem było tylko gorzej. Nie ona jedna nocami nie spała i płakała z powodu kolki, ale ja sobie wyobrażałam, że gdyby żyła moja Helenka, moja pierwsza Helenka...

– To byłaby idealnym dzieckiem – dokończył Mikołaj.

– Właśnie tak. Jak mogłam być taka głupia? – Pokręciła głową, jakby sama nie dowierzała, że mogła się tak zachowywać. – Dziś wiem, że każdy rodzic ma podobne problemy ze swoimi dziećmi: nie chcą jeść, grymaszą,

są niesforne, rozrabiają. Na miłość boską, taka jest natura dzieciaków! Ja jednak uważałam, że mam skaranie boskie z tą moją córką. Cóż, dzisiaj mogę powiedzieć, że ją kochałam, ale nie lubiłam. Irytowała mnie. Wyobrażałam sobie, że gdyby była córką moją i Krzysia... – urwała. – Zraniłam ją. Podciąłam jej skrzydła i nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Mama jest teraz szczęśliwa. – Nagle poczuł, że musi to powiedzieć. Zdawał sobie sprawę z tego, że to marne pocieszenie, ale chciał, żeby babcia wiedziała, że jej córce udało się w końcu ułożyć sobie życie.

– Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy. Mogę odetchnąć z ulgą. Nie naprawię całego zła, które wyrządziłam, ale lżej mi na duszy, kiedy wiem, że Helena zostawiła trudną przeszłość za sobą i w końcu ruszyła do przodu. To silna kobieta. O wiele silniejsza ode mnie.

– Może kiedyś uda wam się porozmawiać i...

– Bardzo bym chciała, ale nie zamierzam o to prosić. Dla twojej mamy to mogłoby być zbyt wiele. Nie myśl o mnie źle... Kochałam ją na swój sposób. Bałam się o nią. Moje macierzyństwo było niepełne, gdyż przez cały czas prześladował mnie lęk. Jedno dziecko straciłam, wojna zabrała mi mężczyznę, o którym myślałam, że jest miłością mojego życia. Obawiałam się, że mogę stracić kolejną bliską osobę, więc wolałam trzymać Helenę na dystans.

– Mężczyznę, o którym myślałaś, że jest miłością twojego życia? – powtórzył Mikołaj.

Emilia zamyśliła się na chwilę.

– W końcu zrozumiałam, co miała na myśli Łucja, kiedy powiedziała, że nie istnieje jeden rodzaj miłości – zaczęła, starannie dobierając słowa. – Wydawało mi się, że jeśli kocham twojego dziadka inaczej niż Krzysia, nie kocham go w ogóle, a to nie była prawda. Dotarło to do mnie jednak zbyt późno... – Otarła pojedynczą łzę. – Widzisz, dziecko? Wcale nie jestem taka mądra, za jaką mnie zawsze miałeś. Zraniłam zbyt wiele osób, a swoje błędy zrozumiałam dopiero wtedy, kiedy było już za późno, żeby je naprawić.

W serce Mikołaja nagle wstąpiła nadzieja. Zdążył już uwierzyć, że życie jego rodziny było zbudowane na kłamstwie i – co najgorsze – pozbawione miłości, jednak słowa babci temu przeczyły.

– Z Krzysiem łączą mnie piękne wspomnienia. – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Ta miłość zwała mnie z nóg, zawładnęła mną. Spędzili-

śmy ze sobą prawie dwa lata. Wokół szalała wojna, a to uczucie pomogło nam przetrwać najtrudniejsze chwile i nie stracić resztek nadziei i godności. Nie wiem, jak wyglądałoby nasze życie w innych warunkach. Czy związek mój i Krzysia zdałby egzamin, gdyby przyszło nam się zmierzyć z prozą życia? Z twoim dziadkiem spędziłam pięćdziesiąt sześć lat. Czymże są dwa lata szaleńczej, obezwładniającej miłości wobec niemal całego życia? Bywały lepsze i gorsze chwile. Pierwsze lata małżeństwa każde z nas spędziło pogrążone we własnych wspomnieniach z wojny. Mijaliśmy się, wciąż nie było nam do siebie po drodze. – Emilia szybko wyjęła z paczki papierosa. – Czy ty uwierzysz, że przeżyliśmy razem pięćdziesiąt sześć lat, a nigdy nie porozmawialiśmy szczerze o tym, czego doświadczyliśmy w czasie wojny? I wcale nie byliśmy wyjątkami. Wojna zabrała mojemu pokoleniu młodość. Byliśmy świadkami tak potwornych zbrodni, że żadne z nas nie chciało wracać w rozmowie do tamtych chwil, chociaż kiedy zamykaliśmy oczy, wciąż widzieliśmy okrutne sceny. Wojna zakończyła się ponad siedemdziesiąt lat temu, a wokół nas nadal jest pełno wojennych rozbitków. Spójrz na naszą rodzinę. Helena urodziła się dwadzieścia cztery, a ty pięćdziesiąt jeden lat po wojnie, a również cierpicie przez to, co się wówczas stało. Przekazałam wam w kodzie genetycznym wojenne traumy.

Mikołaj wciągnął głośno powietrze i postukał nerwowo w blat. Zamierzał zadać to najważniejsze pytanie, ale bał się tego, co może usłyszeć.

– Ale kochałaś dziadka, prawda? – odważył się.

– Kochałam, ale chyba zbyt późno to zrozumiałam – wyznała ze smutkiem. – Uważałam, że skoro nie czuję do niego tego, co w przeszłości połączyło mnie z Krzysiem, nasze małżeństwo jest pozbawione miłości. Dziś wiem, że owszem, w tym związku brakowało szaleństwa i porywów namiętności, ale było coś innego. Codzienność przeplatana ważnymi żywymi wyborami i doświadczeniem. – Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa. – W życiu jest czas na szal, zmysłowość i uniesienia, ale później przychodzą lata stateczności, spokoju, szacunku do drugiego człowieka. Żaden z tych okresów nie jest lepszy ani gorszy. Są po prostu inne.

Zapadła cisza przerywana odgłosami burzy szalejącej za oknem. Żadne z nich się nie odzywało, pogrążone w świecie własnych myśli, aż w końcu Mikołaj zdecydował się przerwać przedłużające się milczenie.

– Babciu – zwrócił się do Emilii. – Intrygują mnie jeszcze dwie sprawy.

– Tak?

– Czy Zosia rzeczywiście miała jakieś informacje o Krzysztofie?

Emilia zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia i przypuszczam, że już się tego nie dowiem. Nigdy już się nie spotkałyśmy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem – a więc babcia straciła w powstaniu kogoś jeszcze, bliską przyjaciółkę, nawet jeśli Zosia przeżyła wojenną zawieruchę.

– A Łucja? Jak potoczyły się losy twojej siostry? Pamiętam ją jak przez mgłę. Przyjechała kiedyś do Libiąża, chyba na moją komunię...

– Zgadza się – potwierdziła Emilia. – Rzadko się widywałyśmy, chociaż często do siebie pisałyśmy. Pozostawałyśmy w kontakcie. Łucja często zapraszała mnie do siebie, ale ja odmawiałam. Żyrardów był stanowczo zbyt blisko Warszawy, a ja się bałam powrotu w tamte rejony. Dziś wiem, że bezpodstawnie. Żałuję, że jej nie odwiedziłam, nie zobaczyłam, jak żyje. – Westchnęła głośno. – Masz rację, przyjechała na twoją komunię. Zawsze była bardzo rodzinna i uważała, że nie może jej zabraknąć na tak ważnej uroczystości. Odwiedzała nas czasem. Towarzyszyła nam w najważniejszych chwilach.

– Nie żyje? – domyślił się Mikołaj.

– Zmarła kilka miesięcy po twojej komunii. Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Do śmierci mieszkała w Żyrardowie – wyjaśniła Emilia. – Przez kilka pierwszych lat u ciotki Krysi, potem poznała jakiegoś mężczyznę i się z nim związała. Wzięli ślub, ale nie miała więcej dzieci. Kontakt z Heniem się urwał, ale wiem, że się ożenił, założył rodzinę.

– Była szczęśliwa?

Babcia zaciągnęła się papierosem, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Łucja? Myślę, że tak. Udało jej się przejść do porządku dziennego nad wojennymi traumami. Często w listach do mnie wspominała Stanisława, ale pisała o drugim mężu z miłością i szacunkiem. Andrzej bardzo kochał ją i Henia, chociaż ubolewał, że nie doczekali się większej gromadki. Umarł dość młodo i niespodziewanie. Zawał serca. Bardzo to przeżyła.

Mikołaj zawahał się, wiedząc, że to, co powie, może wstrząsnąć staruszką.

– Krzyś przeżył powstanie.

Patrzył na zmieniającą się twarz babci. Najpierw była zamyślona, by po chwili wykrzywić się w zaskoczeniu.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć?
- Babciu, odszukałem go – oznajmił poważnie. – To znaczy nie jego samego, a jego wnuczkę. Ma na imię Marta i korespondujemy ze sobą od kilku tygodni.
- Emilia drżącą dłonią zdusiła papierosa w popielniczce.
- Kontaktujecie się od kilku tygodni i nie zająknąłeś się ani słowem? Czy ty natknąłeś się na nią przypadkiem?
- Nie. To była zorganizowana akcja – przyznał z nieśmiałym uśmiechem.
- Której, jak mniemam, głównym celem było odnalezienie Krzysia?
- Zgadza się.
- Udało się? – Głos babci aż zadrżał od nadmiaru emocji.
- Niestety. – Spuścił głowę. – Krzysztof zmarł dwa lata temu.
- Dwa lata temu – powtórzyła, jakby próbowała jakoś przyswoić tę informację. Wyraz jej twarzy był nieprzenikniony.
- Przez całe życie mieszkał w Warszawie – dodał. – Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać.
- O tym, że Krzysztof przez całe życie mieszkał w Warszawie? – zdziwiła się.
- Może nieco niefortunnie się wyraziłem... Babciu, czy przez te wszystkie lata nigdy nawet nie pomyślałaś, że dobrze byłoby pojechać do Warszawy i zmierzyć się z tymi najtrudniejszymi wspomnieniami?
- Pomyślałam – wzruszyła ramionami – ale jakoś nigdy się nie złożyło.
- Wstał podekscytowany. Nie mógł usiedzieć na miejscu, kiedy rozmawiał z babcią na tak ważny temat.
- A czy czujesz się na siłach, aby odbyć taką podróż? – wypalił. – To znaczy... wiem, że doszłaś już do siebie po operacji, doskonale sobie radzisz i nie potrzebujesz pomocy w codziennych czynnościach. Nie jestem jednak pewien, jak zniesiesz kilkugodzinną podróż pociągiem do Warszawy.
- Wahała się, ale tylko przez kilka sekund.
- Przypuszczam, że zniosę ją dobrze, jednak obawiam się, że pieszo całej Warszawy już nie przejdę – zażartowała, aby rozładować napięcie.
- O to się nie martw. Marta, wnuczka Krzysia, będzie nam towarzyszyć. Wprawdzie ostrzegła, że dopiero niedawno zdała egzamin na prawo jazdy i nie jest najlepszym kierowcą, ale jakoś damy sobie radę.

Emilia zamrugała nerwowo.

– Wnuczka Krzysia spotka się z nami?

Mikołaj pokiwał żarliwie głową.

– Tak. Obiecała, że opowie ci, jak potoczyły się dalsze losy jej dziadka i jak wyglądało jego życie. Weźmie ze sobą zdjęcia i pamiątki rodzinne – zawahał się, obawiając się trochę reakcji babci. – Co ty na to?

– Co ja na to? – zaśmiała się. – Wygląda na to, że przyszedł czas, aby w końcu wrócić do Warszawy!

Rozdział 23

JAK ZAWSZE NIEZAWODNY MAŻ PANI MARYLKI PODWIÓZŁ EMILIĘ I MIKOŁAJA POD SAM DWORZEC. Kiedy już usiedli wygodnie w nowoczesnym wagonie pociągu Intercity, babcia z niedowierzaniem pokręciła głową.

– W dwie godziny i dwadzieścia minut z Krakowa do Warszawy! – Aż się zarumieniła z nadmiaru emocji. – Kto by pomyślał!

Krajobrazy za oknem zmieniały się, a Mikołaj z każdym kilometrem czuł narastający niepokój. Sam nie wiedział, dlaczego zbliżające się spotkanie z Martą aż tak bardzo go stresuje. Dopóki ich znajomość była tylko wirtualna, nie miał z tym problemu, lecz teraz, kiedy miał się z nią spotkać, już nie czuł się tak pewnie.

Źródłem niepokoju była również obawa o reakcję babci na spotkanie z wnuczką ukochanego z młodości. Emilia w jednym momencie jakby odzyskała i znów utraciła Krzysztofa. Mikołaj bał się, jakie emocje wywoła w staruszce Marta.

– O czym tak myślisz? – Z zamyślenia wyrwał go głos Emilii.

– O tym i o tamtym – odpowiedział wymijająco.

– Jaka ona jest?

– Kto? – zapytał, chociaż domyślał się, o kogo chodzi staruszce.

– Wnuczka Krzysztofa! – zachnęła się Emilia.

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Znamy się tylko wirtualnie, to znaczy przez internet.

– Znaczenie słowa „wirtualnie” nie jest mi obce, nie musisz ze mnie robić takiej zacofanej staruchy – zachichotała. – Dobrze ci się z nią koresponduje?

– Bardzo dobrze – potwierdził.

– Ile ona w ogóle ma lat?

– Dziewiętnaście. Jest rok młodsza ode mnie – wyjaśnił, a widząc znaczące spojrzenie Emilii, dodał: – Babciu, proszę!

– No co? Przecież nic nie mówię!

– Ale myślisz, a to wystarczy!

Staruszka uśmiechnęła się tajemniczo i oderwała wzrok od wnuka. Pociąg właśnie wjeżdżał na zadaszony peron dworca Warszawa Centralna. Kiedy się zorientowała, że jest już w stolicy, wyglądała na trochę przestraszona. Podróż minęła zdecydowanie zbyt szybko: nie zdążyła się jeszcze przygotować emocjonalnie, a już trzeba było wysiadać.

Mikołaj z tłumu ludzi spieszących się w sobie tylko znanym kierunku szybko wyłowił twarz z fotografii. Pomagając babci opuścić wagon, pomachał energicznie do sympatycznie wyglądającej niskiej blondynki, która właśnie zmierzała w ich kierunku. Emilia zatrzymała się, aby dokładniej się przyjrzeć wnuczce Krzysia, i z ulgą odnotowała, że nie widzi podobieństwa.

– Dzień dobry! – bąknęła zawstydzona dziewczyna, przenosząc spojrzenie z wnuka na babcię. – Jak minęła podróż? Nie spodziewałam się, że będę miała okazję panią poznać. Dziadek tak dużo o pani mówił! Może pomóc z bagażami? – zapytała, lecz Emilia z uśmiechem pokręciła głową.

– Dziękuję, młoda damo, ale pozwól, że z naszymi bagażami upora się mój wnuk. Jestem starej daty i czasem bywam konserwatywna. – Puściła do niej oczko, z miejsca zaskarbiając sobie sympatię dziewczyny. – Wiem, że czasy się zmieniają, ale ja jednak wolę, żeby to mężczyźni dźwigali, podczas gdy my, moja droga, zajmujemy się rozmową. Zresztą, na Boga, wcale nie mamy ciężkich bagaży! Przyjechaliśmy tylko na kilka godzin.

Marta z zainteresowaniem zerkała na Mikołaja, który był nieco zażenowany całą sytuacją. Wyglądało na to, że babcia nie zamierza dopuścić go do słowa, a on przecież liczył, że porozmawia z dziewczyną i pozna ją bliżej.

– Zaparkowałam przy Żółtych Tarasach – wyjaśniła Marta. – Nawet nie szukałam miejsca przy samym dworcu... Proponuję, abyśmy pojechali od razu na Starówkę. Zjemy coś, pójdziemy na spacer, porozmawiamy.

Emilia zadrżała, ale nie dała po sobie poznać, ile emocji kosztuje ją podróż w miejsca tak dobrze znane z młodości. Nie miała pojęcia, czy Marta wie, że to właśnie ze Starym Miastem wiążą się jej wspomnienia z powstania, jednak przypuszczała, że dziewczyna świadomie wybrała właśnie to miejsce.

Kiedy w końcu odnaleźli samochód i wyjechali na ulicę, Emilia onie miała. Miała wrażenie, że znalazła się w zupełnie obcym mieście. Stolica w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała Warszawy z dawnych lat. Rozglądała się niepewnie wokół siebie, zastanawiając się, gdzie, do licha, wiezie ich ta dziewczyna. Uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy Marta wjechała na Podwale. Niemcy zniszczyli niemal całą Starówkę, jednak udało się odbudować dzielnicę w taki sposób, że oddawała klimat i urok dawnych lat. Emilia odetchnęła z ulgą. Chociaż jej dom od wielu lat znajdował się ponad trzysta kilometrów stąd, przez chwilę poczuła, że jest u siebie.

Marta jechała powoli, rozglądając się za wolnym miejscem parkingowym. Kiedy tylko zobaczyła, że kilkadziesiąt metrów dalej kierowca forda właśnie wyjeżdża, dodała gazu. Zaparkowała powoli, nerwowo zerkając w lusterka. W końcu wyłączyła silnik i zaciągnęła hamulec ręczny.

– Udało się – odetchnęła z ulgą. – Nienawidzę parkować, a w Warszawie znalezienie wolnego miejsca graniczy z cudem. Dwukrotnie oblałam egzamin na parkowaniu równoległym... – Machnęła ręką. – No, nieważne! Najważniejsze, że jesteście na miejscu. Pomóc pani wysiąść?

– Dziękuję, poradzę sobie – zapewniła ją Emilia.

Po kilku minutach cała trójka kroczyła brukowaną uliczką, rozglądając się niepewnie.

– Może najpierw coś zjemy? – zasugerowała Marta. – Musicie być głodni po podróży!

– Ciii – uspokoila ją Emilia. – Po prostu... chodźmy, dobrze? Idźmy przed siebie i przez chwilę nie mówmy nic.

Marta spojrzała zaskoczona na Mikołaja, ale ten tylko skinął głową. Oboje zrozumieli, że babcia potrzebuje chwili samotności.

Emilia kroczyła dumnie, podpierając się kulą. Cieszyła się, że w ostatniej chwili zdecydowała się zabrać ją ze sobą – niby nie potrzebowała jej już na co dzień, ale doszła do wniosku, że dłuższy spacer po Warszawie może być dla niej męczący. Miała rację. Spojrzała w prawo na Barbakan i pozostałości murów obronnych. Wspomnienia odżyły. Miała wrażenie, że

to ledwie wczoraj biegała tymi uliczkami, roznosząc meldunki, rozkazy i dostarczając amunicję. A chwilę wcześniej spacerowała w cieniu kamienic z ukochanym mężczyzną...

Gdzie się podziała tamta dziewczyna? Gdzie się podziała Mila?

W momencie, kiedy opuściła Warszawę, dla rodziny i znajomych znów stała się Emilką, a wraz z upływem czasu po prostu Emilią. Wyszeptała swój dawny pseudonim konspiracyjny, by jeszcze raz go usłyszeć. Brzmiał tak lekko, dźwięcznie.

Podwale delikatnie skręciło i płynnie połączyło się z Nowomiejską. Emilia szła wąską uliczką w cieniu kamienic, zbliżając się do Rynku Starego Miasta, i wręcz słyszała, jak mocno bije jej serce.

– To musi być dla twojej babci bardzo emocjonująca wędrówka – szepnęła Marta.

– Myślę, że właśnie tego potrzebowała – przyznał Mikołaj.

Spojrzała na niego, nie mając pojęcia o tym, że ponad siedemdziesiąt lat temu jego babcia zerkała w podobny sposób na jej dziadka. Bo niby skąd mogła to wiedzieć?

– Jak było w Paryżu?

– O dziwo świetnie. – Mikołaj napomknął jej wcześniej o swoim stosunku do mamy.

– Paryż jest na mojej liście marzeń – wyznała.

– Czyli?

– No wiesz... Na liście miejsc, które chciałabym zobaczyć.

– Myślę, że to nie jest takie nieosiągalne – bąknął, próbując ukryć zakłopotanie.

Tymczasem Emilia minęła kościół Ducha Świętego i znajdujące się przy Nowomiejskiej bary, kawiarenki i sklepiki z pamiątkami. Wchodząc na Rynek, wciągnęła w płuca więcej powietrza. Zadbane kamieniczki przyciągały uwagę. W centralnym punkcie Rynku stała niepokonana, patrząca dumnie na okoliczne budynki Syrenka Warszawska.

„To niesamowite”, pomyślała Emilia. Po powstaniu Rynek Starego Miasta był cały w gruzach. Wyglądał tak, jakby już nigdy miał się nie podnieść z ruiny, a tymczasem dziś tętni życiem.

Marta i Mikołaj dogonili Emilię. Wnuk spojrzał na nią zaniepokojony.

– Babciu, może usiądziemy w którymś z ogródków? – zaproponował.

– Dobry pomysł – zgodziła się staruszka.

Chwilę później Marta zajadała się deserem bezowo-wiśniowym, a Emilia i Mikołaj puszystym sernikiem z bitą śmietaną. Babcia nie mogła odebrać wzroku od dziewczyny, co wprawiało wnuczkę Krzysztofa w zakłopotanie. W końcu Mikołaj uznał, że najwyższy czas przyjść Marcie z pomocą.

– Marta wzięła ze sobą rodzinne fotografie – powiedział.

Emilia skinęła głową.

– Opowiedz mi o twojej babci – zwróciła się do dziewczyny.

– O mojej babci? – zdziwiła się Marta. Przypuszczała, że Emilia będzie chciała rozmawiać o dziadku, a nie o jego żonie.

– Tak, o twojej babci.

– No cóż. – Marta wytarła serwetką kąciuki ust, przełykając ostatni kęs deseru. – Babcia jest sporo młodsza od pani i mojego dziadka. Zdaje się, że różnica wieku pomiędzy moimi dziadkami wynosiła czternaście lat.

Ta wiadomość nie zrobiła na Emilii większego wrażenia.

– Kiedy się pobrali? – dociekała.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Babcia miała wówczas dwadzieścia jeden, a dziadek trzydzieści pięć lat – powiedziała dziewczyna.

– Mam nadzieję, że stanowili udaną parę.

Marta się zawahała, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Jeśli chodzi o to, czy ich małżeństwo było udane, to myślę, że tak – przyznała. – Niemniej jednak dziadek wspominał panią niemal do śmierci, a babci chyba zawsze towarzyszył lęk, że bardziej kocha wspomnienie o pani niż ją.

– Użyłaś trafnego określenia – zauważyła Emilia. – Jesteś bardzo dobrą obserwatorką. Zrozumienie, że kocham wspomnienie twojego dziadka, a nie jego samego, zajęło mi o wiele więcej czasu.

Marta spuściła wzrok. Dziwnie się czuła w towarzystwie tej kobiety. Miała wrażenie, jakby rozmawiając z nią o dziadku, zdradzała swoją babcię.

– W każdym razie babcia zawsze żyła w cieniu pierwszej miłości swojego męża, czyli pani... – wymamrotała. – Podejrzewam, że musiało być jej bardzo trudno. Jak już wspomniałam, była znacznie młodsza od dziadka, więc to właśnie on był jej pierwszym ukochanym. – Upiła łyk mrożonej kawy. – Babcia często mawiała, że gdyby tylko mogła, urodziłaby się wczes-

śniej i wzięła udział w tym przeklętym powstaniu, aby dorównać bohater-
skiej Mili. Bez urazy...

– Oczywiście! – Emilia machnęła lekceważąco ręką. – Wcale jej się nie
dziwię. Wystarczy, że sobie przypomnę, jakie katusze przeżywał ze mną
mój mąż. Potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodziła twoja babcia.

– Może chciałaby pani z nią porozmawiać? – zapytała nagle Marta. –
Ona z pewnością powiedziała by pani o dziadku więcej niż ja.

Emilia aż zakrztusiła się dymem z papierosa, którym przed sekundą się
zaciągnęła.

– Nie! Nie chcę mieszać tej biednej kobiecie w głowie. A ty, moje dziec-
ko, nawet jej nie wspominaj, że się ze mną spotkałaś! – Spojrzała na nią ba-
dawczo. – Chyba że już ją uprzedziłaś o spotkaniu?

Gdy Marta zaczęła energicznie zaprzeczać, Emilia odetchnęła z ulgą.

– Jestem przekonana, że twoja babcia kochała Krzysztofa nad życie. To
był wspaniały, pełen ciepła i serdeczny człowiek, nie tylko przystojny męż-
czyzna. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Dziewczyny za nim
szalały, a ona na pewno nie była wyjątkiem. – Nagle spoważniała. – Pewnie
bardzo przeżyła jego śmierć. Owdowiałam kilkanaście lat temu, a czasem
nadal łapię się na tym, że mówię do męża. Kiedy spędziło się z kimś kilka-
dziesiąt lat, trudno na nowo nauczyć się samotności. Od śmierci Krzysztofa
minęły dwa lata, tak? – Urwała i poczekała chwilę, aż Marta potwierdzi ski-
nieniem głowy. – Przypuszczam, że twoja babcia nie uporała się jeszcze ze
swoim wdowieństwem. Na pewno tęskni za mężem i... Myślę, że moje po-
jawienie się w jej życiu mogłoby przynieść więcej szkody niż pożytku. Ona
potrzebuje przede wszystkim spokoju.

– Dziękuję – powiedziała wzruszona Marta. – Dziadek nigdy nie prze-
stał żyć nadzieją, że panią odnajdzie. Kiedy wrócił po wojnie do Warsza-
wy...

– No właśnie – przerwała zniecierpliwiona Emilia. – Po raz ostatni wi-
działam Krzysztofa pod koniec drugiego tygodnia powstania. Co się z nim
później działo?

Do stolika podszedł kelner i zapytał, czy niczego nie potrzebują. Nie po-
rzebowali.

– Najpierw walczył na Starym Mieście, a później na Czerniakowie – za-
częła Marta.

Emilia skinęła głową – to zgadzało się z tym, czego się dowiedziała jeszcze w czasie powstania.

– Czyli Zosia miała rację – rzucił Mikołaj, ale babcia szybko uciszyła go gestem.

– Dziadek został ranny na Czerniakowie, a potem Niemcy wywieźli go do obozu w Mauthausen – kontynuowała Marta. – Po wyzwoleniu obozu wrócił do Warszawy, gdzie powitały go plakaty o „płatnych pachołkach z AK”. Nie wychylał się. Nie wstydził się swojego udziału w powstaniu, ale też się nim nie chwalił. Uznał, że tak będzie bezpieczniej. – Zamilkła, by po chwili wrócić do urwanej myśli. – Dziadek wrócił do stolicy, bo chciał panią odnaleźć. Ktoś mu powiedział, że w czasie powstania została pani bardzo poważnie ranna i nie wiadomo, czy przeżyła, ale on nie tracił nadziei. W całej Warszawie rozwieszał na murach kartki – podobno w ten sposób szukano wówczas bliskich. – Zaczerpnęła głośno powietrza. – Jak już powiedziałam, dziadek wziął ślub z babcią w pięćdziesiątym szóstym roku, czyli jedenaście lat po swoim powrocie do miasta. Myślę, że po prostu stracił nadzieję, iż kiedykolwiek panią spotka...

Emilia posłała Mikołajowi ponad stołem wymowne spojrzenie. Jeszcze przed wyjazdem ustalili, że nie wspomną ani słowem o dziecku, które straciła w czterdziestym czwartym roku, a którego ojcem był dziadek Marty. „Po co rozdrapywać stare rany?” – powiedziała wówczas.

– Bardzo się cieszę, że się z tobą spotkałam – przyznała Emilia. – Po tylu latach w końcu się dowiedziałam, jak potoczyły się losy Krzysia. To dla mnie niezwykle istotne. Wiele razy się zastanawiałam, co działo się z nim po wojnie. Ani przez chwilę nie zwątpiłam w to, że żyje. Gdzieś podskórnie czułam, że udało mu się wyjść z powstania cało. Szybko straciłam nadzieję na to, że jeszcze się spotkamy, ale nigdy nie przestałam wierzyć, że przeżył wojnę i ma się całkiem nieźle – dodała wzruszona.

Marta zatrzymała na chwilę wzrok na rozmówczyni, jakby się zastanawiała nad następnym krokiem. W końcu sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kopertę formatu A5. Pogłaskała ją, jakby to był jej największy skarb, i nieśmiało uśmiechnęła się do Emilii.

– Mam ze sobą zdjęcia dziadka – powiedziała. – Kilka fotografii ze ślubu, zdjęcia z moim tatą, kiedy był jeszcze dzieckiem. Dziadek nie lubił się fotografować. Właściwie w rodzinie nie ma żadnych odbitek z okresu, kiedy mój ojciec był młody, a mnie jeszcze nie było na świecie. Gdy tata był

dzieckiem, dziadziś pozwolił pstryknąć sobie kilka zdjęć z synem. Mam również kilka fotografii wykonanych niedługo przed jego śmiercią.

Emilia skinęła głową i wyciągnęła dłoń po kopertę. Delikatnie wyciągnęła z niej ułożone chronologicznie zdjęcia i zaczęła je przeglądać. Uśmiechnęła się, widząc o kilka lat starszego Krzysia z gniewną miną. Fotografie ze ślubu przeglądała z dojmującym poczuciem straty, a kiedy zobaczyła swojego ukochanego trzymającego na rękach dziecko...

– Schowaj je, proszę. – Odsunęła zdjęcia. – Chyba wolę pamiętać Krzysztofa takiego, jakim go znałam. W moich myślach zawsze będzie miał dwadzieścia kilka lat...

Marta kiwnęła głową i włożyła fotografie z powrotem do koperty. Emilia uśmiechnęła się smutno, przypominając sobie wiersz, który niegdyś bardzo lubiła.

*Gdy się miało szczęście,
które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to – to jest bardzo mało...*¹⁴

¹⁴ Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, „Fotografia”.

Z zamyślenia wyrwał ją dopiero głos dziewczyny.

– A jak pani udało się wydostać z Warszawy?

– Cóż – westchnęła staruszka. – Rzeczywiście zostałam ranna w powstaniu. Dziś myślę, że to uratowało mi życie. Tylu powstańców zginęło, gdy ja leżałam w szpitalu i dochodziłam do siebie – urwała. – Później z moją siostrą wyszłyśmy z Warszawy z cywilami. W Pruszkowie uznano, że nie nadajemy się do pracy, więc zostałyśmy zwolnione. Stamtąd zawędrowałyśmy do Żyrardowa, gdzie mieszkała nasza ciotka. Koniec historii.

Mikołaj chciał dodać, że cała historia nie była wcale tak mało skomplikowana, jednak, pamiętając o tym, o co wcześniej poprosiła go Emilia, milczał. W końcu Marta przeprosiła ich na chwilę i wyszła do toalety.

– Dziecko, musiałbyś być ślepy, żeby nie widzieć, jak ta dziewczyna na ciebie zerka! – powiedziała od razu Emilia. – Nawet nie wiesz, jak się cie-

sze! Patrząc na was, nabieram pewności, że tak właśnie miało być, że to nasze – moje i Krzysia – spotkanie było właśnie po to, aby nasze wnuki mogły się odnaleźć po kilkudziesięciu latach! – Rozpromieniła się. – I tak historia zatoczyła koło...

– Babciu! Marta jest tylko moją znajomą, nikim więcej! – zaprotestował Mikołaj.

– No, może na razie jest tylko twoją znajomą – zgodziła się Emilia – ale jestem pewna, że to niebawem się zmieni.

Gdy Marta wróciła, Mikołaj uśmiechnął się do niej zakłopotany, a Emilia zakasłała, by zdusić niekontrolowany chichot. Kiedy ich obserwowała, przypomniały jej się początki znajomości z Krzysztofem. Kto by pomyślał, że minęły już siedemdziesiąt cztery lata!

– Możemy iść dalej? – zapytała Marta.

– Owszem. Skończę palić i możemy ruszać.

Już po chwili zmierzali w stronę placu Zamkowego – Emilia przodem, Marta i Mikołaj za nią. Przeszli przez Świętojańską, mijając lodziarnie i sklepy z pamiątkami – raj dla turystów. Staruszka zatrzymała się na chwilę przed archikatedrą Świętego Jana Chrzciciela, która w czasie powstania była polem walk między powstańcami i hitlerowcami. Ostatecznie została wysadzona w powietrze.

Świętojańska poprowadziła ją lekko w lewo, w stronę Zamku Królewskiego. Spojrzała w prawo, gdzie dumny Zygmunt patrzył w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Tuż obok zamku spoczywał trzon kolumny. Niemcy zniszczyli Kolumnę Zygmunta III Wazy w ostatnim dniu walk na Starówce – drugiego września. Przewrócenie pomnika było wydarzeniem symbolicznym, oznaczającym upadek Starego Miasta.

Nagle Emilia poczuła wdzięczność do następnych pokoleń warszawiaków. Do tych, którzy przyszli, kiedy powstańcy musieli opuścić miasto. Oni nie pozwolili zapomnieć o powstaniu. Właśnie tutaj, na Starówce, ta pamięć była najbardziej żywa.

Marta i Mikołaj czuli, że nie powinni przeszkadzać Emilii, dlatego stanęli w bezpiecznej odległości. To była jej chwila. Otarła łzę i spojrzała w niebo.

– Cześć i chwała bohaterom Warszawy – szepnęła.

Epilog

MIKOŁAJ ZAPIĄŁ PASY I ODWRÓCIŁ SIĘ, ABY JESZCZE RAZ SPOJRZEĆ NA BABCIĘ. Od czasu spaceru po Starówce była jakaś nieswoja – nie odzywała się, mamrotała coś pod nosem. Teraz też oparła się o zagłówek i zawiesiła spojrzenie gdzieś za oknem.

Nie był pewien, czy dobrze zrobił, zabierając ją do Warszawy. Przez ostatnie lata unikała gwałtownych uniesień, tymczasem on jednego dnia zaserwował jej mieszankę wybuchową – spacer po ulicach, na których przed kilkadziesiąt laty walczyła z powstańczą opaską na ramieniu, i spotkanie z wnuczką Krzysia. Nie był pewien, co kosztowało Emilię więcej emocji, wiedział jednak, że oba te wydarzenia nie pozostaną jej obojętne.

Staruszka tymczasem obserwowała zmieniający się za oknem krajobraz. Samochód włókł się żółwim tempem zakorkowaną ulicą Śródmieścia. Przebicie się przez Marszałkowską sprawiało problemy nawet doświadczonym kierowcom, a co dopiero młodej dziewczynie, która przed kilkoma miesiącami zdała egzamin na prawo jazdy.

Marta skręciła w Świętokrzyską. W oddali Emilia dostrzegła Pałac Kultury i Nauki – symbol siermiężnych czasów, które nadeszły po upadku powstania i wtargnięciu do Warszawy Sowieców. Zamknęła oczy, próbując uspokoić nerwowe bicie serca. Gdy je otworzyła, jej uwagę przykuły szklane wieżowce. Czuła lęk, myśląc o górujących nad nią tonach betonu, stali i szkła.

Nagle gdzieś tam na ulicy mignęła jej znajoma postać. Aż się poderwała, kiedy zrozumiała, kogo zobaczyła. To niemożliwe! Serce waliło jej w piersi

jak oszalała. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że zwariowała – bo niby jak wytłumaczyć obecność młodego chłopaka z powstańczą opaską w samym środku współczesnej Warszawy? To był jej Krzyś! I wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Jak to możliwe?

I nagle zrozumiała. W pierwszej chwili się przeraziła, ale odegnała od siebie strach. Chciała spokojnie przejść na drugą stronę. Jej ukochany, jej Krzyś, już na nią czekał. Jak mogłaby się bać, skoro w końcu miała go spotkać?

– Babciu! – Nagle usłyszała przerażony głos Mikołaja.

Chciała mu wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że właśnie dopełnia się jej przeznaczenie, bo właśnie na tym polega życie, ale nie była w stanie już nic powiedzieć. Traciła władzę nad własnym umysłem i ciałem.

To zadziwiające, że musiała przyjechać do tego miasta, w którym wszystko się zaczęło, aby móc w końcu zaznać spokoju.

KONIEC

Bibliografia

- Bukalska Patrycja, „Sierpniowe dziewczęta’44”, Trio, Warszawa 2013.
- Czerwińska-Buczek Małgorzata, „Pod okupacją i w powstaniu. Wspomnienia konspiracyjne”, Bellona, Warszawa 2016.
- Fredro-Boniecka Maria, Krajewski Wiktor, „Łączniczki. Wspomnienia z Powstania Warszawskiego”, W.A.B., Warszawa 2015.
- Herbich Anna, „Dziewczyny z Powstania”, Znak Horyzont, Kraków 2014.
- Kaczyńska Danuta, „Dziewczęta z Parasola”, Oficyna Wydawnicza Wiesław R. Kufirski, Warszawa 1993.
- Koper Sławomir, „Miłość w Powstaniu Warszawskim”, Czerwone i Czarne, Warszawa 2013.
- Majewski Jerzy S., Urzykowski Tomasz, „Przewodnik po powstańczej Warszawie”, Świat Książki, Warszawa 2014.
- Szarota Tomasz, „Okupowanej Warszawy dzień powszedni”, Czytelnik, Warszawa 2010.
- Szlachetko Grzegorz, „Wira z Powstania. Wspomnienia”, W.A.B. Warszawa 2016.
- „Wielka Księga Armii Krajowej”, opracowanie zbiorowe, Znak Horyzont, Kraków 2015.

Podziękowania

Mojemu mężowi, który pewnego dnia wyruszył ze mną w podróż do Warszawy śladami moich bohaterów.

Mikołajowi, który dzielnie przetrwał tę wędrówkę, mimo że w międzyczasie dostał gorączki!

Wiktorowi za chęć poznania, za pytania i za wspólną pasję.

Magdzie Wali za konsultacje historyczne i za to, że znalazła chwilę, aby przeczytać ten tekst w stanie surowym i wyłapać ewentualne błędy merytoryczne.

Agnieszce Góreckiej, Monice Maćkowiak i Justynie Gałce, dzięki którym moje książki mają w ogóle szansę trafić do czytelnika.

Weronice Smieszek za fantastyczne portrety i za umiejętność wydobywania z każdego tego, co w nim najpiękniejsze.

I przede wszystkim – moim czytelnikom, bez których moje marzenia o pisarstwie nigdy nie miałyby prawa się ziścić, bo pisarz nie istnieje bez czytelników.

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Epilog
Bibliografia
Podziękowania